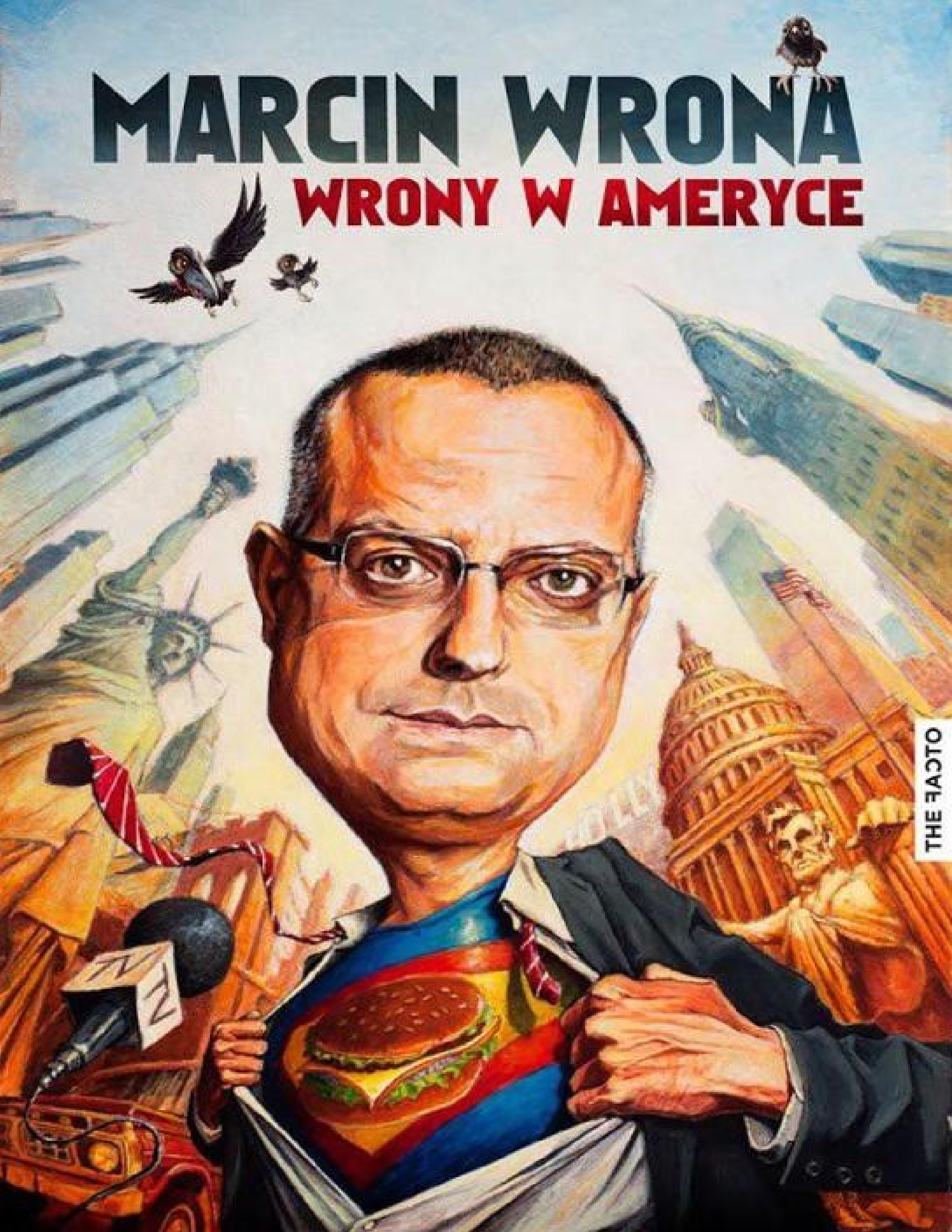


MARCIN WRONA

WRONY W AMERYCE



OLCPE EHT

Zdjęcia:
Olga Wrona, Dominika Langowska
Projekt okładki:
Tomasz Larek
Redakcja, korekta, projekt graficzny i łamanie:

biały-ogród.pl

ISBN 978-83-61808-21-3

© Copyright by Marcin Wrona 2012
© Copyright by The Facto 2012

Wydawca:

THE FACTO

The Facto Sp. z o.o.
ul. Skierniewicka 21/53, 01-230 Warszawa
www.thefacto.pl

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Wstęp](#)
- [Trudne początki](#)
- [Wpadka](#)
- [DMV, czyli Bareja po amerykańsku](#)
- [Witaj szkoło](#)
- [Cześć podwójnym podwójniakom](#)
- [Grubasy](#)
- [Jak to się robi pod Waszyngtonem](#)
- [Fajne fury i galony](#)
- [Z policją nie ma żartów](#)
- [Za mundurem USA sznurem](#)
- [Łoś, po prostu łoś](#)
- [Pogrzeb gwiazdy](#)
- [Kraina wielkiej wiary](#)
- [Papierowe domy](#)
- [Bieda made in USA](#)
- [Masakry, balony, szaleńcy](#)
- [Wieś śpiewa i demoluje](#)
- [Nasi](#)
- [Dozwolone od lat...](#)
- [Best Friends Forever](#)
- [Poprawni, chociaż niepoprawni](#)
- [Waszyngton za otwartymi drzwiami](#)
- [Pawlenty, czytaj Polenti](#)
- [Raj na ziemi](#)
- [Moja Ameryka](#)

Stany to kraj żółtej linii. Na niej zaczyna się Twoja przygoda z Ameryką i na niej kończy. Wszystko, co dzieje się między żółtymi liniami Straży Granicznej, jest już kwestią całkowicie indywidualnego odbioru. Wielu, którzy poznali smak Ameryki, jest nią zauroczonych do końca życia. Wielu poprzysięgło, że nigdy tam nie wróci. Lista powodów, dla których jedni wielbią ten kraj, a inni nie zostawiają na nim suchej nitki, jest baaaardzo długa. Ale nie spotkałem nikogo, kto wobec mitu USA pozostałby obojętny.

Wrony Amerykę pokochały. Pamiętam, jak Marcin, starając się o ten wyjazd i jakby nie wiedząc, czy ten sen w ogóle może się spełnić, opowiadał mi o pomysśle na pokazywanie zaoceanicznej rzeczywistości, na to, kim powinien być dziennikarz, który tam pojedzie. Co powinien prezentować, jak zainteresować widza „Faktów” tym, co tysiące kilometrów od Wisły. Z każdą minutą zapalał się bardziej, rozwodził nad zaletami miejsc, które trzeba pokazać, zdarzeń, wobec których nie możemy przejść obojętnie, naszego sojuszu z Wielkim Bratem, tego wszystkiego, co dla milionów Polaków mieści się pod hasłami: *american dream* i *american way of life*. Po godzinie wiedziałem, że mam przed sobą idealnego kandydata na tę trudną placówkę. Kogoś, kto godnie zastąpi tam wracającą do kraju Kasię Sławińską. A jeśli z czymkolwiek będę miał problem, to raczej z nadmiarem entuzjazmu i pomysłów lądujących w skrzynce mailowej z adresu Wrona@tvn.pl.

Dziś widać, jak bardzo Olę i Marcina ta Ameryka wciągnęła, jak zaczynają się dziwić nie temu, co tamtejsze, ale temu, co zastają podczas podróży nad Wisłę. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle dla korespondenta. Moment, w którym zaczniesz myśleć po amerykańsku, może się okazać nie do przyjęcia dla polskiego widza. Ale w pewnym sensie tego zafascynowania Stanami Marcinowi zazdroszczę. Placówka za granicą to dla dziennikarza wielkie wyzwanie, ale też samotność, poczucie oddalenia, tęsknota za krajem. Marcin na to wszystko też choruje, ale ta nieprzemijająca fascynacja Stanami jest jak balsam na tęskniącą polską duszę. Dlaczego tak się dzieje? Co w tym kraju żółtej linii jest tak *sexy*? I dlaczego hamburgery po wielu latach za Oceanem wciąż smakują lepiej niż schabowy?

Żeby się tego dowiedzieć, żeby zrozumieć *Wrona's point of view*, trzeba przeczytać tę książkę.

Miłej lektury.

Kamil Durczok

„Kaśka wraca. Szukają następcy” – wyszeptał mi na ucho przyjaciel podczas imprezy kończącej sezon produkcyjny TVN w czerwcu 2006. Ta „Kaśka” to Katarzyna Sławińska, która przez trzy lata była korespondentką „Faktów” w Waszyngtonie. Była pierwszą naszą korespondentką, czyli od zera musiała wszystko wymyślić, zrobić i sprawdzić, czy działa. Jak ta krucha istotka sama dała sobie z tym wszystkim radę? Do dziś nie wiem.

Przyjaciel zaczął delikatnie popychać mnie w kierunku amerykańskiej decyzji, a ponieważ zawsze trochę współzawodniczyliśmy, w pewnym momencie powiedział: „Sam bym pojechał, ale... szef mnie nie puści”. Tu mnie miał. Skoro on chce jechać, to ja też. Poza tym zawsze chciałem spróbować życia w Ameryce. W 1991 roku miałem gigantyczne szczęście. Jakimś cudem znalazłem się w grupie dziesięciorga dziennikarzy, którzy wyjechali na stypendium do USA. Pamiętam roboczą nazwę tego programu – „Stypendium dla Młodych, Obiecujących Dziennikarzy”. Ha, ha, ha.

Jedyne, co mogliśmy obiecać na początku lat dziewięćdziesiątych, to kłopoty. Mniejsza z tym, jak rozrabialiśmy podczas tego wyjazdu, bo jeden z nas ma dziś ważne stanowisko urzędowe i chwilowa amnezja jest tu w cenie.

Latem 2006 roku Ola przygotowywała się do powrotu do pracy w TVN (tak, tak, jesteśmy tak zwanym małżeństwem firmowym, poznaliśmy się w pracy), bo Marysia była już na tyle duża, że mogła pójść do przedszkola, ale do głosu doszedł mój paskudny egoizm i jeszcze paskudniejsze ego. Byłem potężnie zmęczony ośmioma latami pracy przy programie „Pod Napięciem” i, jak widać skutecznie, przekonałem Olę, że Ameryka to jest to, czego Wrony najbardziej potrzebują.

Nie dość, że Ola kolejny raz schowała do szuflady swoje plany i ambicje zawodowe, to jeszcze wykazała się sporą dawką wiary i zaufania. Zdecydowała się bowiem wyjechać na dwa lata (tyle w pierwotnym założeniu miał trwać nasz pobyt) do kraju, w którym nigdy nie była. Uwierzyła mi na słowo, że będzie dobrze. A na początku nie było dobrze. Było źle, bardzo źle.

Okazuje się, że kilkanaście wizyt turystycznych czy zawodowych w Ameryce nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem. Na przykład gdyby ktoś przed naszym przyjazdem powiedział mi, że w Ameryce, w Waszyngtonie, zaraz koło Białego Domu, kradną auta, roześmiałbym mu się w twarz. Przecież auta kradną w Polsce, z tego słyniemy, ale w Ameryce? Nie. Nigdy.

A guzik prawda. Pierwsze miesiące w Stanach oznaczały dla nas życie pod kreską. Byliśmy całkowicie splukani. Koszty życia w Ameryce wcale nie są tak małe, jak może się wydawać po krótkich wypadach turystycznych, ale o tym nieco później. Zatem nie mieliśmy pieniędzy, a potrzebowaliśmy auta, bo bez auta nie można się tu nigdzie ruszyć. Wszędzie jest daleko, a komunikacja miejska to namiastka tego, co znamy z Polski.



Uwaga, tam z boku po lewej stronie zdjęcia kradną fury! Nawet te stare rozpady, na które porządny złodziej w Polsce nawet by nie splunął

Za ostatni grosz kupiliśmy osiemnastoletnią toyotę camry. Auto było złomem, który poruszał się chyba tylko siłą woli. Trzy tygodnie po kupieniu Cacuszka, tak pieśczośliwie nazwaliśmy grata, pojechałem w okolice Białego Domu. Wracam po godzinie i nie wierzę własnym oczom. Auta nie ma! Dzwonię na policję, a oni mi opowiadają, że może nie zapłaciłem za parking i samochód odholowano. Bzdura. Zatem czekam na radiowóz. Czekam i czekam, i czekam. Policjant przyjechał po dwóch czy trzech godzinach (nie do pomyślenia w Polsce) i oświadczył, że nie mam co liczyć na odnalezienie auta. I miał rację, jak kamień w wodę, Cacuszka nigdy nie znaleziono. Na dodatek nie opłaciłem ubezpieczenia od kradzieży, no bo kto kradnie osiemnastoletnie graty? Okazało się, że i owszem, kradną. Na części. Zostaliśmy całkowicie bez pieniędzy i bez auta.

Na tym nie koniec. Jakies trzy miesiące po zniknięciu Cacuszka dostałem pocztą do zapłacenia mandat. Uwaga! Mandat za niedozwolone parkowanie znikniętego auta! Data – dwa tygodnie po kradzieży! Złodziej jeździł sobie autem po Waszyngtonie, parkował, gdzie chciał, a policja za złe parkowanie ścigała mnie. Zadałem kobiecie od mandatów proste pytanie – jakim cudem nie zorientowali się, że wypisują mandat za skradzione auto. Okazało się, że system komputerowy policjantów od kradzieży nie jest połączony z systemem tych od mandatów. Dziesięć miesięcy musiałem czekać na anulowanie mandatu za złe parkowanie auta, którego nie miałem, bo mi je ukradziono.

Zawodowo też było, mówiąc delikatnie, słabo. W Polsce praca reportera ogromnej telewizji komercyjnej jest dość przyjemna. Bierzesz telefon, dzwonisz do eksperta, urzędnika czy kogokolwiek innego, kogo chcesz nagrać, wypowiadasz magiczne trzy litery TVN i załatwione. W Stanach też działają trzy litery, ale inne: CNN, NBC, CBS itp., itd. TVN tu nie działa. Co więcej, często trzeba się nabiedzić, wyjaśniając, co to jest ten Poland.

Po pierwsze, wielu Amerykanów, słysząc „Poland”, mówi: „No jasne. Znam. U was można wszędzie palić marihuanę. Amsterdam to piękne miasto”. No i zaczyna się, że Holland to nie Poland, choć Poland ma też swoją Holland, ale to inna bajka.

Jak sympatyczny rozmówca załapie, że na początku jest literka P, trzeba mu szybko wyjaśnić, że nie ma to nic wspólnego z wodą butelkowaną do picia. Jest tu bowiem szeroko dostępna woda Poland Spring ze stanu Maine. Źródła są w niespełna pięciotysięcznej miejscowości Poland, której nazwa nie ma nic wspólnego z Polską. Wikipedia twierdzi, że miejscowość nazwano tak dla upamiętnienia indiańskiego wodza, który został zabity w 1756 roku. Wódz podobno nazywał się Poland (nie

wierzę!). Inne źródła podają, że nazwa pochodzi od tytułu ulubionej pieśni Mosesa Emery'ego, jednego z pierwszych osadników na tych terenach.

Tak czy inaczej, w rozmowie ze statystycznym Amerykaninem lepiej nie wspominać o wodzu indiańskim, bo wtedy się już całkiem pogrążymy.

A poważnie sprawę traktując, nie ma się o co obrażać za to, że wielu nas tu nie kojarzy. Ameryka ma interesy na całym świecie. Są tu ludzie nie tylko z naszego zakątka Europy, ale również z całej Azji i Afryki, z Ameryki Południowej i Australii. Trudno wiedzieć wszystko o wszystkich krajach. My też mamy problemy z tym, gdzie znajdują się poszczególne amerykańskie stany. Nie mówiąc o ich wielkości czy zaludnieniu.

Jednym słowem, reporterowi z Polski trudno się tu przebić, a Amerykanie interesują się głównie tym, co się dzieje na ich podwórku. Nie ma co liczyć na wywiady z politykami dla telewizji z Europy. Europejczycy nie głosują w amerykańskich wyborach, po co zatem tracić dla nich czas. Zrozumienie amerykańskiego pragmatyzmu zajęło mi sporo czasu i kosztowało wiele nerwów.

Dziwnie czuje się też człek, który dwadzieścia lat przepracował w Polsce, dzielnie prowadził rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy w banku i pracował na wiarygodność kredytową. Taki jegomość wchodzi do amerykańskiego banku i zaczyna od zera. Mieliśmy w tych pierwszych, najtrudniejszych miesiącach spore problemy z tym, żeby założyć kartę kredytową, a później dostać kredyt na auto. Dla amerykańskiego systemu bankowego nie istnieliśmy nigdy wcześniej, pojawiliśmy się nagle i powoli musieliśmy się wciągnąć w tryby systemu, który chwilę później doprowadził do wielkiego bum na Wall Street.

Amerykańska bankowość miała dla nas kilka niespodzianek. Najbardziej zaskakującą był powrót do przeszłości, czyli czek. W Polsce czek były obecne przez chwilę na początku lat dziewięćdziesiątych, a później chyba jakoś zupełnie zniknęły. Tu czek są i mają się bardzo dobrze. Co miesiąc do domu przychodzą rachunki z załączonymi kopertami zwrotnymi na czek. Od pewnego czasu za wodę, prąd czy kablówkę można płacić też przelewem, tak jak w Polsce robimy to już od bardzo dawna, ale mam wrażenie, że większość Amerykanów ciągle woli wypisywać czek. Co więcej, czekami można też płacić w sklepach. Wystarczy wyobrazić sobie zniecierpliwioną kolejkę, która czeka, aż niewiasta w wieku późno średnim wypisze czek za swoje zakupy. Czasem trwa to w nieskończoność.

Tych pułapek na początku mieliśmy sporo. W pewnym momencie zaczęliśmy się z Olą nawet poważnie zastanawiać nad powrotem do Polski, tak bardzo było nam trudno. Dziś wiemy, że dobrze się stało, że zostaliśmy. Poznajemy kraj, który jest trochę jak inna planeta, choć z tego samego Układu Słonecznego. Jest tu trochę inne przyciąganie, trochę inny skład atmosfery i dzięki temu ten kraj potrafi zafascynować.

Mój kolega, który dwie dekady temu wprowadzał mnie w amerykańskie realia, powiedział: „Zapomnij o wszystkim, co czytałeś i słyszałeś o Ameryce, później zacznij obserwować i się uczyć. Nigdy nie oceniaj”.

Staramy się tę przestrozę pamiętać, choć czasem nie jest łatwo.

„Czyli ciąża jest nieplanowana” – powiedziała pielęgniarka i spojrzała na nas z wyraźną dezaprobatą. Usiłowaliśmy raz jeszcze wytłumaczyć, że najwyraźniej nas nie zrozumiała. Że jak najbardziej planowaliśmy drugie dziecko, że z zapałem zabraliśmy się do pracy i oczekiwaliśmy na rezultat, z którym radośnie przybiegliśmy właśnie do przychodni.

Niczym niewzruszona pielęgniarka zaczęła znowu zadawać pytania:

– Czy lekarz prowadził państwa starania o dziecko?

– Nie.

– Czy chodzili państwo na kursy przygotowawcze?

– Nie, bo mamy już jedno dziecko i wiemy, jak się do wszystkiego zabrać.

– Czy pierwsze dziecko urodziło się w placówce naszej firmy ubezpieczeniowej?

– Nie.

– Czy urodziło się w Stanach Zjednoczonych?

– Nie.

– Czyli są państwo nieprzygotowani do ciąży i porodu, a ciąża jest nieplanowana.

Ręce opadły nam do kolan. Pokonała nas procedura. Pytania zadawał jakiś bezduszny system komputerowy, a pielęgniarka spokojnie je odczytywała. Tak oto dojrzałe małżeństwo ze sporym doświadczeniem zostało potraktowane jak para nieodpowiedzialnych młokosów.

Tu na marginesie trzeba dodać, że w Stanach Zjednoczonych połowa ciąż jest nieplanowana. Co przerażające, jak powiedział nam profesor James Tsuruta z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Chapel Hill, połowa tych nieplanowanych ciąż kończy się aborcją. Straszliwie smutna informacja, której nie da się spokojnie przyjąć.

Nam po rozmowie z pielęgniarką nie pozostało nic innego, jak wybrać się na kurs rodzenia. Ponieważ nie mamy w Ameryce rodziny, nie mieliśmy wtedy opiekunki do dziecka, a Marysia miała zaledwie trzy lata, musieliśmy zabrać ją ze sobą. No i zaczęło się.

– Czyje to dziecko? – zapytała nauczycielka od rodzenia.

– Nasze – odparliśmy zgodnym chórem.

– Jak to? To dlaczego są państwo na kursie rodzenia?

– Bo nam kazali.

Z minuty na minutę sytuacja stawała się coraz dziwniejsza. Kursanci patrzyli na nas bez sympatii i zrozumienia. Jeszcze gorzej było z tymi niewiastami niezwykle przejętymi swoimi pierwszymi ciążami. Znowu potraktowano nas jak nieodpowiedzialną parę, która przyszła na poważny kurs robić sobie żarty z przejętych ludzi. Mówiąc krótko, wyszliśmy i nigdy już nie wróciliśmy na żadne kursy rodzenia.

Z Polski byliśmy przyzwyczajeni do jednego lekarza prowadzącego ciążę. Spotykasz się z lekarzem w regularnych odstępach czasu, on/ona dobrze cię zna, zna przebieg ciąży i zna malucha w brzuszku. To daje poczucie bezpieczeństwa, ciągłości i duży komfort w tych najważniejszych chwilach.

W Ameryce wygląda to trochę inaczej. Nie lepiej, nie gorzej, ale inaczej.

Jak powiedział nam lekarz, z którym spotkaliśmy się podczas pierwszej wizyty, najlepiej, gdy ciążę prowadzi zespół lekarzy. Podczas każdej wizyty bada mamę i dzidziusia inny doktor, dzięki temu ma

świeże spojrzenie i może łatwo wyłapać ewentualne błędy popełnione przez kolegę, który przeprowadzał poprzednie badanie. Ma to sens. Dla nas najważniejsze było jednak poczucie komfortu i ciągłości, lekarz zrozumiał i zgodził się poprowadzić ciążę. Może poszło z nim łatwo dlatego, że jego rodzina kilka pokoleń temu wyemigrowała do Ameryki z Ukrainy i łamanie zasad miał we krwi. Tak jak my.

Gdy dzień przyjścia Janka na świat był coraz bliżej, znajomi Amerykanie zapytali, kiedy robimy *Baby Shower*, bo czasu już coraz mniej. Słowo *shower* można przetłumaczyć jako deszczyc albo prysznic, choć również oznacza imprezę. Nam przed oczami od razu stanął jednak Prysznic Dla Niemowlaka. Łatwo sobie wyobrazić nasze osłupienie. Jaki prysznic? O co chodzi?

Cierpliwi przyjaciele ze spokojem wytłumaczyli, że zwyczaj nie ma nic wspólnego z kąpaniem nienarodzonego malucha i nie musimy się obawiać niczego złego. *Baby Shower* to bardzo fajna amerykańska tradycja. Przyjaciółki i koleżanki przyszłej mamy niedługo przed rozwiązaniem organizują imprezę, na którą przynoszą prezenty dla nowego obywatela świata. Wcześniej przygotowuje się drobiazgową listę, tak żeby dzieciak nie miał dwóch podgrzewaczy do butli, które nie mają czego podgrzewać. Jednak na wypadek, gdyby wśród podarunków znalazło się coś, czego ani mama, ani dziecko nie potrzebują, sprzedawcy wydają tak zwane poświadczenie prezentu. Z takim poświadczeniem można wybrać się do sklepu i oddać bądź zamienić na coś innego ten niepotrzebny przedmiot.

Sama impreza przypomina wręcz wieczór paniński czy kawalerski. Oczywiście, bez ekscesów! Przed domem przyszłej mamy często pojawiają się dekoracje ogłaszające całemu sąsiedztwu, że właśnie tu odbywa się *Baby Shower*. Najczęściej są to plakaty, transparenty albo baloniki. Dom stroi się też po urodzeniu dziecka, wtedy plakatami z bocianem niosącym w dziobie zawiniątko z maluchem.

Sam dzień zero to ogromny komfort. Absolutnie nie chcemy tu narzekać na to, w jakich warunkach rodziliśmy Marysię w Polsce. Nasi lekarze, pielęgniarki i położne byli znakomici i bardzo dobrze ich wspominamy. Ale nasza przychodnia w Stanach każdej rodzinie zapewnia osobną salę porodową połączoną z gabinetem, w którym wykonuje się pierwsze badanie, mierzenie i ważenie dziecka. Pełna intymność.

Mąż przez cały czas może towarzyszyć żonie, ba, można nawet przyprowadzić dodatkowych członków rodziny, jeśli tylko przyszła mama ma na to ochotę.

Zaraz po porodzie rodzina trafia do najwyższej dwuosobowej sali. W szpitalu, w którym na świat przyszedł Janek, to właśnie były największe sale, jakimi dysponowali. My mieliśmy szczęście, bo dostaliśmy salę tylko dla jednej rodziny.

I znowu tak jak podczas porodu mąż może spędzić z mamą i dzieckiem noc we wspólnej sali rodzinnej. Dla taty przeznaczony jest specjalny rozkładany fotel i dodatkowa pościel. Dziecko ani na chwilę nie zostaje odłączone od mamy, cały czas jest z rodziną.

O ile nie myli nas pamięć, w warszawskim szpitalu, w którym urodziła się Marysia, mama i dziecko zostawali w szpitalu przez trzy dni po porodzie naturalnym i cztery albo pięć dni po cesarce. Tu przeżyliśmy największy szok. Następnego dnia rano po urodzeniu się Janka odwiedził nas lekarz, zbadał mamę, zbadał syna i powiedział: „Do widzenia”. Grzecznie odpowiedzieliśmy: „Do widzenia” i wróciliśmy do podziwiania Jana. Po jakiejś godzinie wróciła do nas pielęgniarka i spytała, co my tu jeszcze robimy. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że amerykańskim standardem jest wysyłanie rodziny do domu zaraz następnego dnia po porodzie naturalnym.

Powody są dwa. Po pierwsze, dzienny koszt pobytu rodziny w szpitalu liczony jest tu w tysiącach dolarów. Jeśli nie ma komplikacji, jeśli wszyscy są zdrowi, szpital, a co za tym idzie – firma ubezpieczeniowa, zaoszczędza mnóstwo pieniędzy. Po drugie, jak zauważyliśmy, Amerykanie traktują pobyt w szpitalu jak ostateczność, jeśli wszystko jest w porządku, sami garną się do powrotu do domu.

Mieliśmy nadzieję, że podobnie jak w Polsce pediatra albo położna odwiedzą nas w domu kilka dni po urodzeniu się małego, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Tu znowu różnica. Owszem, lekarz chce zbadać dziecko, ale nikt nie przyjedzie do ciebie do domu. Z trzydniowym dzieckiem tarabisz się do przychodni i siedzisz w kolejce, czekając, aż cię wywołają.

Ponieważ Amerykanie są przyzwyczajeni do wychodzenia z dzieckiem z domu zaraz po porodzie, kilkudniowe maleństwa co chwilę widzi się z mamami na zakupach w supermarketach, na koncertach czy wreszcie, o zgrozo, w samolotach. Założenie jest proste, mały człowiek to człowiek taki sam jak każdy inny, tylko że mały. Zatem nie ma najmniejszego powodu, żeby chuchać na niego i dmuchać. Stosuje się tu wręcz zasadę zimnego chowu, czyli hartowania od pierwszych dni życia. O zawał serca przyprawił nas na początku widok noworodków bez obecnych u nas na każdym kroku czapeczek, kocyków, rękawiczek i becików.

Zresztą beciki to kolejny problem. Nie istnieją. Nie ma szans na to, żeby kupić tu dobry i sprawdzony w polskich bojach becik.

Amerykańska mama wraca do pracy już kilka tygodni po porodzie. Gdy opowiadamy znajomym o naszych urlopach macierzyńskich, o możliwości wzięcia bezpłatnego urlopu wychowawczego czy wreszcie o becikowym, z niedowierzaniem kręcą głowami i mówią coś o europejskim socjalizmie i o tym, że państwo nas rozpieszcza za pieniądze podatników.

Jeśli mama musi wrócić do pracy, a tata nie może opiekować się maluchem, bo też pracuje, Amerykanom pozostają prywatne żłobki. Często prowadzone są one w domu przez jedną lub dwie kobiety dla zaledwie kilkorga dzieci. W okolicach Waszyngtonu cena za taki punkt opieki nad kilkumiesięcznym maluchem to pięćdziesiąt dolarów dziennie. W skali miesiąca robi się z tego grubo ponad tysiąc dolarów.

Na własnej skórze przekonujemy się tu na każdym kroku, jak drogie jest wychowywanie dziecka w Stanach, dlatego wielu ludzi coraz częściej odchodzi od klasycznego amerykańskiego modelu dwa plus trzy. Po prostu nie stać ich na dzieci i na zapewnienie im przyszłości. Może dlatego z takim zapałem pytano nas, czy planowaliśmy przyjście Janka na świat.

DMV, czyli Bareja po amerykańsku

Te nieszczęsne trzy litery powodują, że rośnie mi ciśnienie, do głowy przychodzą pomysły na najbardziej wymyślne morderstwa i tortury i, generalnie rzecz biorąc, odechciewa się żyć. O DMV krążą legendy i dowcipy, a satyrycy wiedzą, że jeśli brakuje im pomysłów na nowe skecze, zawsze można poopowiadać o tej zniechęcającej, przeklętej instytucji.

DMV to Department of Motor Vehicles, po naszymu Biuro do spraw Pojazdów Zmotoryzowanych, czyli po prostu Wydział Komunikacji. Ale władza DMV jest praktycznie nieograniczona. Tam można zarejestrować się w spisie uprawnionych do głosowania, tam rejestruje się samochód i tam wyrabia się prawo jazdy, a prawo jazdy to więcej niż samo upoważnienie do prowadzenia samochodu. W Ameryce nie ma dowodów osobistych, czyli prawko jest tu wszystkim w jednym.

Gdy zaraz po przyjeździe powiedzieliśmy naszemu przyjacielowi, że czeka nas wyprawa do DMV, z politowaniem pokiwał głową, spytał, czy mamy dużo czasu, i kazał się uzbroić w cierpliwość.

Tu trzeba wyjaśnić, że dla amerykańskich władz polskie prawo jazdy praktycznie nie ma żadnego znaczenia, podobnie jak międzynarodowe. Zatem trzeba od zera, jak nastolatek, zabrać się do nauki przepisów, zdawania testów i jazdy z egzaminatorem. Żeby wsiąść na tę szaloną karuzelę, w stanie Wirginia trzeba spełnić trzy warunki. Być w USA legalnie, mieć wynajęte bądź kupione mieszkanie w tym stanie i wreszcie posiadać dwa dokumenty stwierdzające tożsamość, wydane przez jakiegokolwiek amerykańskie władze.

I tu się zaczęło. Lista dokumentów akceptowanych przez DMV jest długa i... absurdalna. Na liście są: amerykańskie pozwolenie na broń, licencja pilota, karta żołnierza, amerykańskie prawo jazdy ze stanu innego niż Wirginia, amerykański paszport itd., itp. Jednym słowem, katastrofa! Bo skąd Wrony, które do Ameryki przyjechały z Polski, mogły mieć choć jeden z tych szalonych dokumentów? A potrzebne były dwa. My nerwowo się pociliśmy, a w DMV zebrało się konsylium. Pan z okienka zawołał swoją szefową, ona zawołała menedżera, który z kolei zadzwonił do głównego DMV w Richmond, stolicy stanu Wirginia. Po trwających w nieskończoność naradach uznano, że jednym z dokumentów może być nasza amerykańska wiza. W końcu wydały ją amerykańskie władze konsularne.

Na drugi dokument jednak nikt nie miał pomysłu. Do dzieła ruszyła zatem biurokratyczna psychologia. Menedżer naszego biura kazał napisać list do swojego szefa w Richmond, szef miał sprawę rozpatrzyć, na co dostał chyba trzy tygodnie. Po tym czasie miał do nas napisać list z tekstem: „ten list może być traktowany jako drugi dokument”. Udało się. Pismo po jakimś czasie przyszło.

Odetchnęliśmy z ulgą. Wydawało nam się, że to już koniec kłopotów. O naiwni!

Amerykańskie przepisy o ruchu drogowym są generalnie łatwiejsze niż nasze. Liczy się w zasadzie tylko kilka znaków drogowych, trzeba się przyzwyczaić do szybkiego przeliczania z mil na kilometry (z grubsza sześćdziesiąt mil to sto kilometrów) i zapamiętać trzy żelazne, święte zasady obowiązujące na amerykańskich drogach.

Znak stop to świętość nad świętościami. Na wielu skrzyżowaniach każda z dróg dojazdowych ma ustawiony stop. Z tego, co pamiętam, w kraju ten znak traktujemy średnio poważnie, w Stanach stop to podstawa życia na drodze. Dojeżdżasz do skrzyżowania, całkowicie zatrzymujesz auto, odliczasz do trzech i dopiero zabierasz się do dalszej jazdy. Jeśli na skrzyżowaniu jest kilka stopów, to pierwszy

zjeżdża ten, kto pierwszy się zatrzymał. Jeśli samochody przyjechały w tym samym czasie, działa zasada prawej ręki. Proste? Teoretycznie tak, w praktyce nie. Znam wielu rodaków, którzy przez ten nieszczęsny znak egzamin na prawko musieli zdawać po kilka razy. A bo nie zatrzymali auta całkowicie, a bo nie odliczyli sobie w głowie do trzech albo dlatego, że nie zorientowali się, które z kilku stojących aut ma zjeżdżać pierwsze.

Autobus szkolny, ten znany nam z filmów żółty, amerykański ogórek, to kolejna pułapka. Urządzenie to jest wyposażone w wysuwany znak stop (a jakże, stop jest zawsze i wszędzie) oraz w mrugające czerwone światła, które również oznaczają... wiadomo, co oznaczają, stop. Uruchomienie tego systemu to sygnał, że do autobusu będą wsiadały bądź będą z niego wysiadały dzieci. Wtedy ruch na ulicy dosłownie zamiera na obydwu pasach. Takiego autobusu nie wolno wyprzedzać i nie wolno koło niego przejeżdżać. Złamanie tego zakazu jest karane niebotycznie wysokimi mandatami. Znam też takich, którym zapamiętanie tej zasady przysporzyło sporo problemów. No dobrze, przyznam się. Jedna z Wron jakiś czas temu w chwilowym roztargnieniu wyprzedziła taki autobus przy akompaniamencie klaksonów, wzwisk i przy wszechobecnym wygrażaniu pięściami. Nigdy więcej się to nie powtórzyło.

Zasada trzecia to istny kosmos. Generalnie wszyscy jadą tu z tą samą prędkością (gdzie podziła się nasze przekraczanie dozwolonej prędkości, o ile się da, a nawet trochę więcej), nikt się nie spieszy i nikt specjalnie nie garnie się do wyprzedzania. Gdy zapytasz Amerykanina o odległość między Waszyngtonem a Nowym Jorkiem, powie ci: „Od czterech do pięciu godzin”, między Waszyngtonem a Orlando na Florydzie: „Okolo czternastu godzin”. Dlaczego tak? Ano dlatego, że skoro wszyscy jadą z tą samą prędkością, czyli o jakieś pięć mil na godzinę więcej niż wolno, to każdy będzie miał taki sam czas dojazdu. Dzięki temu skoro wiesz, ile czasu zajmie ci jazda, łatwiej będzie zaplanować postoje na tankowanie, jedzenie czy... te inne sprawy.

Tę jazdę z taką samą prędkością trochę trudno zrozumieć. Amerykanie aż do bólu przestrzegają prawa, za wszelką cenę starają się unikać niepotrzebnego kontaktu z policją, ale przede wszystkim każdy tu wie, że mandat oznacza zwiększenie składki ubezpieczeniowej na samochód. Im więcej mandatów, tym droższe ubezpieczenie. W naszym przypadku przy trzech mandatach w ciągu pięciu lat (wszystkie moje!) miesięczne ubezpieczenie za auto to trochę ponad sto dolarów za OC i AC w jednym.

Wracając do DMV. Ruszyliśmy do nauki przepisów. Z tym poszło nam całkiem dobrze, a potem zaczęły się schody, czyli jazdy. Na egzamin praktyczny przyjeżdżasz własnym autem. Proszę, nie pytajcie, jak to możliwe, sami mamy kłopot ze zrozumieniem tego paradoksu. Do auta wsiada egzaminator i się zaczyna. Ja w dniu egzaminu polskie prawko miałem od dwudziestu lat, żeby więc rozluźnić atmosferę zagałem delikatnie, że to zabawne po tylu latach znowu zdawać jazdy. „A czy ja pana o coś pytałam? Proszę się nie odzywać, proszę jechać” – walnęła egzaminatorka. Ciarki przeszły mi po plecach. „A gdzie mam skręcić” – zapytałem cichutko i z pokorą. „Jak będzie pan miał skręcić, to panu powiem. Jechać!”

Było źle, ale się udało. Ponownie tę drogę przez mękę przechodziłem przy zdawaniu egzaminu na motocyklowe prawo jazdy. Ufff, też się udało. Swoją drogą, Ameryka to wymarzone miejsce do jazdy na dwóch kółkach, tu wszyscy kierowcy zwracają na motocyklistę uwagę i starają mu się pomóc.

Ponieważ jesteśmy obcokrajowcami bez prawa do stałego pobytu w USA, prawo jazdy mamy tylko na rok. Co dwanaście miesięcy czeka nas wyprawa do DMV i zabawa z przedłużaniem prawka. Za każdym razem jest inaczej. Albo dlatego, że co chwilę zmieniają się przepisy, albo dlatego, że urzędnicy danego dnia stosują takie rozporządzenia, które akurat przyjdą im do głowy.

To chyba było po naszych dwóch latach w Stanach. Sympatyczna pani w urzędzie oświadczyła, że przedłuży mi prawo jazdy tylko wtedy, gdy przyniosę pismo od mojego szefa w Waszyngtonie zaświadczone, że ja to ja. Na wiele sposobów tłumaczyłem niewieście, że to ja jestem tu szefem

placówki. Skończyło się na tym, że napisałem najbardziej idiotyczne zaświadczenie, jakie widział świat. „Zaświadczam, że Marcin Wrona jest szefem placówki «Faktów» TVN w Waszyngtonie. Podpisano: Marcin Wrona, Szef Placówki «Faktów» TVN w Waszyngtonie”. Kobieta bardzo się ucieszyła, przyjęła pismo i wydała mi prawo jazdy.

Mówiąc krótko, z naszą biurokracją nie jest tak źle, jak nam się wydawało, gdy wyjeżdżaliśmy do Stanów. Ale dla całkowitej uczciwości jeszcze krótka opowiastka o Janku. Najmłodsza z Wron przyszła na świat w Ameryce. Błyskawicznie postanowiliśmy przejść urzędowy szlak, żeby Jana zameldować w naszym mieszkaniu w Polsce. W ojczystym akcie urodzenia chłopak ma wpisane – miejsce urodzenia: hrabstwo Fairfax. Wygląda dumnie, choć ja wolę mój Kraków.

Z aktem urodzenia, paszportem i innymi szpargałami poszliśmy do odpowiedniego urzędu meldunkowego. A tam pani oświadczyła, że naszego syna nie zamelduje w naszym mieszkaniu, bo nie wie, czy Janek nie zrzekł się polskiego obywatelstwa. Delikatnie tłumaczyliśmy, że sześciomiesięczny Jan mógłby najwyżej zrzec się zapaskudzenia pieluchy. Na nic się to zdało i sprawa dotarła chyba do jednego z ministerstw, gdzie ustalono, że Jan to Jan i taki z niego Polak jak z każdej innej Wrony.

Biurokracja RULEZ, jak to piszą kibice, wszędzie jak świat długi i szeroki.

Do szalu doprowadzały mnie plakaty z uśmiechniętym słoneczkiem i napisem: „Witaj szkoło”. A co tu fajnego w końcu wakacji i powrocie do szkoły. Przez całe życie miałem takie podejście do edukacji jak mój ulubiony bohater książkowy młodzieńczych lat Marcin Bigoszewski z *Głowy na tranzystorach* Hanny Ożogowskiej. Szkoła to przykry przymus, dowód na wyzysk młodego człowieka i jedno wielkie nieszczęście.

Widać, Maja odziedziczyła po tacie szkolno-pedagogiczną niechęć, ale w jej przypadku była ona mocno uwarunkowana geograficznie. W Warszawie, zaraz przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, Maja chodziła do najlepszego przedszkola w okolicy, a mimo to każdy dzień zaczynał się od godzinnej hysterii i potoku łez. Przedszkole było naprawdę świetne, z rewelacyjnymi nauczycielkami i superfajną panią dyrektorką, a mimo to Maja była jak dusza potępiona.

Kilka miesięcy później byliśmy już w naszej amerykańskiej wiosce. Zaraz naprzeciwko naszego domu jest maleńkie przedszkole działające przy kościele luterańskim. Stwierdziliśmy z Olą: „raz kozie śmierć” i posłaliśmy tam trzyletnią Marię, mimo że kompletnie nie znała ani miejsca, ani języka. Byliśmy przygotowani na katastrofę, na wycie, które będzie słychać nawet w Białym Domu, a tu nic. Maja z takim samym uśmiechem szła do przedszkola, jak i z niego wracała.

Do dziś nie wiemy, dlaczego coś w niej kliknęło, ale miłość do szkoły, której w Polsce za nic nie mogliśmy w niej wzbudzić, tu rozkwitła w pełni. Maria uwielbiała przedszkole i uwielbia szkołę, nawet jest jedną z najlepszych uczennic.

Swoją drogą, mnie też wydawało się, że takim całkiem tragicznym uczniem wcale nie byłem. A tymczasem, gdy odwiedziłem z moim operatorem Edytę, koleżankę z liceum, która mieszka w San Francisco, usłyszałem, jak mówi do zbaraniałego Marcina Wyszogrodzkiego: „A wiesz, że Wrubel (moja licealna ksywka z młodzieńczym buntem pisana przez „u”) był najgorszym uczniem w klasie i nauczyciele mówili, że nic z niego nie będzie?”. Pewnie nauczyciele mieli rację, ale żeby znowu taki najgorszy?

Amerykańskie szkoły są inne niż u nas i to chyba pod każdym względem. W Europie panuje opinia, że amerykańska edukacja jest do kitu, że produkuje nic niewiedzących ignorantów i, generalnie rzecz biorąc, na szkoły w Stanach Zjednoczonych patrzymy z politowaniem. Czy słusznie? Nie wiem.

Zacznijmy od pierwszego szczebelka edukacji. Nie ma tu przedszkoli publicznych. Istnieją tylko prywatne, w większości działające przy kościołach i parafiach. Nasze przedszkole miało zaledwie pięć salek lekcyjnych, w których mieściły się najwyżej kilkunastoosobowe grypy dzieciaków. Normalny przedszkolny dzień zaczynał się o dziewiątej trzydzieści rano, a kończył o wpół do pierwszej. I to wszystko, tylko trzy godziny dziennie! To nie daje najmniejszych szans na to, żeby mama mogła pójść do pracy.

Gdy Maja była już trochę większa, zapisaliśmy ją na tak zwane EP (*enrichment program*), coś w rodzaju dwugodzinnych zajęć dodatkowych wzbogacających dziecko, które odbywały się trzy razy w tygodniu. Dzięki temu mała za pięćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie spędzała w przedszkolu od trzech do pięciu godzin dziennie.

Drogo, bardzo drogo za niewiele ponad dwadzieścia godzin tygodniowo. Ceny są wysokie, a standard przedszkoli, nawet w okolicach amerykańskiej stolicy, jest, mówiąc delikatnie, kiepski.

Obejrzelismy z Olą wiele przedszkoli, gdy przyszła kolej na edukację Janka. Placówki przy ruchliwych drogach z rozpadającymi się płotami, budynki sprzed lat wymagające remontu, place zabaw z wypłowiałymi, pogiętymi huśtawkami i karuzelami. Dramat! A za wszystko trzeba słono płacić.

I Amerykanie płacą, bo nie mają wyjścia. Nic dziwnego, że przedszkola to biznes, na którym można nieźle zarobić. Jeden z naszych bliskich znajomych jest współwłaścicielem przedszkola na przedmieściach Waszyngtonu. On postawił na jakość. Jego przedszkole ma rewelacyjny program zajęć, zawodową kadrę pedagogiczną, zdrowe wyżywienie i reklamę włącznie z superfajną stroną internetową. Miesiąc w tym przedszkolu kosztuje tysiąc pięćset dolarów od szkraba. W zależności od kursu wymiany walut jest to od czterech do pięciu tysięcy złotych! Ale ponieważ przedszkole jest na najwyższym światowym poziomie, chętni walą drzwiami i oknami.

Przekonaliśmy się z Olą, że Amerykanie z tutejszej klasy średniej na dzieciach nie oszczędzają. Wychodzą z prostego założenia, że od najmłodszych lat w malucha trzeba inwestować, żeby był lepiej przygotowany do współzawodnictwa i startu w dorosłe życie. Dzieci wielu naszych znajomych mają precyzyjnie, godzina po godzinie rozpisany każdy dzień tygodnia. Po szkole od razu są jakieś zajęcia dodatkowe.

Tu wierzy się, że dziecko zawsze ma jakiś talent, jakąś zdolność, którą trzeba rozwinąć, bo dzięki temu będzie wyjątkowe i unikalne. Znowu myśli się tu pod kątem przyszłego współzawodnictwa i walki o lepsze oceny, lepszą pracę i płacę.

Dlatego małego jankesa zachęca się do starań i wysiłku. Zachęca się w sposób, który wychodzi nam już trochę bokiem. Na każdym kroku słyhać pełne rodzicielskiego zaangażowania okrzyki: „Good job! Yeah! Great!”. To „good job”, czyli świetna robota, słyszymy, gdy dziecko wygrywa jakieś zawody, gdy przybiega na metę ostatnie i gdy wywala się i pada jak długie, nie kończąc biegu. Wszędzie i zawsze jest to irytujące „good job!”. Rozumiem pozytywną motywację, ale bez przesady. Jak się wywalileś, jak zapomniałeś tekstu piosenki, jak ci się nie udało, to nie zrobiłeś „świetnej roboty”. Staraleś się, fakt, ale musisz jeszcze popracować. W życiu ważny jest złoty środek, a nie „good job!” na każdym kroku.

Wróćmy jednak do szkół. Gdy dzieciak przebrnie przez przedszkole, a rodzicom uda się uniknąć bankructwa, otwierają się przed nimi trzy możliwości. Mogą posłać dziecko do szkoły publicznej, prywatnej albo mogą nie posyłać latorośli do żadnej szkoły. Mimo tych kilku lat w Stanach Zjednoczonych opcja numer trzy nadal nie mieści nam się w głowach. Legalnie, w pełni zgodnie z prawem można nie posyłać dziecka do szkoły!

We wszystkich pięćdziesięciu amerykańskich stanach w różnej formie funkcjonuje instytucja edukacji domowej (*home schooling*). Jak podaje Krajowe Centrum Statystyczne Szkolnictwa, w 2007 roku półtora miliona uczniów zamiast w szkole uczyło się w domu. Liczba domowo edukowanych rośnie, spotkałem się nawet z wyliczeniami, z których wynika, że dziś już około dwóch milionów młodych Amerykanów uczy się w domu.

W zależności od stanu takie domowe uczenie odbywa się albo pod nadzorem jakiegoś wydziału edukacji, który sprawdza, czy dziecko jest czegokolwiek uczone, albo rodziców nie nadzoruje nikt. W jednym ze stanów obowiązkowe wymagania ograniczają się do nauki ortografii, gramatyki, matematyki i postawy obywatelskiej. W innym stanie uczyć dziecko może tylko rodzic z dyplomem ukończenia szkoły średniej lub z certyfikatem pedagogicznym. Ale generalnie rzecz biorąc, obowiązuje tu pełna dowolność.

Zwykle rodzice, którzy wybierają ten – z naszego punktu widzenia – ekstremalny eksperyment edukacyjny, twierdzą, że decydują się na domową edukację, by zachować wysokie standardy moralne i religijne albo aby ochronić dziecko przed szkolną przemocą, zepsuciem i narkotykami.

Z tymi ostatnimi faktycznie w szkołach jest duży problem. Niedawno pewien odwiedzający nas

młodzieniec z Polski ze zdziwieniem zwrócił uwagę na tabliczki z napisem „Drug Free School Zone” ustawione wokół szkół. Zapytał, czy aby na pewno chodzi o narkotyki i czy to, że wokół szkoły jest strefa wolna od narkotyków, oznacza, że gdzie indziej narkotyki są legalne?



Strefę bez narkotyków koło szkoły jeszcze rozumiem, ale żeby postrzelać nie było wolno, to już przesada

Narkotyki nigdzie w Stanach Zjednoczonych nie są legalne z wyjątkiem kilku stanów, które dopuściły do obrotu „marihuanę dla celów leczniczych”. Po niedawnej wizycie w Kalifornii odnoszę wrażenie, że wszyscy są tam na coś chorzy, bo zielsko jarane jest na potęgę na każdym kroku. Ale wracając do stref bez narkotyków. Człowiek złapany w takim miejscu na handlu zakazanymi substancjami podlega dotkliwszym niż zazwyczaj karom. Na przykład w Waszyngtonie diler bądź ewentualny klient schwyty w strefie na jakiegokolwiek działalności związanej z narkotykami może dostać grzywnę w wysokości do trzystu dolarów i areszt do stu osiemdziesięciu dni. W Portland w stanie Oregon osoba zatrzymana pod zarzutami narkotykowymi przez dziewięćdziesiąt dni nie może w ogóle pojawić się w strefie pod groźbą natychmiastowego ponownego aresztowania. Egzekwowanie tego prawa różnie wygląda na poziomie lokalnym, od pewnego czasu trwa jednak dyskusja nad sensem istnienia takich stref, bo dilerzy i tak są w stanie dotrzeć do szkół.

Jak podaje NIDA, krajowy instytut badający nadużywanie narkotyków, blisko trzydzieści siedem procent uczniów ostatniej klasy szkoły średniej używa bądź używało marihuany, ponad jedenaście procent miało kontakt z marihuaną syntetyczną, po kilka procent przyjmuje inne, nielegalne narkotyki i środki farmakologiczne.

Zatem rodzice decydujący się na uczenie dziecka w domu mogą mieć trochę racji, gdy mówią, że boją się o swoją latorośl. Do wyboru pozostają jeszcze dwie edukacyjne drogi. Szkoły publiczne bądź prywatne.

Przy tych pierwszych obowiązuje ścisła rejonizacja, dlatego rodzice, którzy chcą posłać dziecko do dobrej szkoły publicznej, często przeprowadzają się tak, by mieszkać w jej rejonie. Nasze miasteczko Falls Church ma dość dobre placówki edukacyjne, które są wysoko oceniane na tle całych Stanów Zjednoczonych. Zdarza się, że ludzie przeprowadzają się tu nawet ze stanu New Jersey, aby posłać dzieci do dobrej, publicznej szkoły. To ma oczywiście swoje konsekwencje – w naszej okolicy nieruchomości są bardzo drogie, bo są tu niezłe szkoły. W Stanach wszystko kręci się wokół lokalizacji i pieniędzy.

My po długich, wielogodzinnych naradach postanowiliśmy, że pošlemy Marię do szkoły katolickiej.

Zdecydowała opinia o bardzo wysokim poziomie nauczania w St. James i o dyscyplinie wprowadzonej przez siostrę Nancy. Siostra dyrektorka ma w sobie coś takiego, że sam, gdy ją widzę, mimo że nie jestem katolikiem, staje na baczność i zastanawiam się, czy nie nabroiłem.

O dziwo, Maria siostry się nie boi i mówi, że jest superfajna. Dla nas fajne jest jeszcze to, że w szkole nie ma ciągłego pokazu mody i wyścigu na ciuchy i gadzety. Dzieciaki tak jak w filmach o prywatnych szkołach z Ameryki czy Wielkiej Brytanii chodzą w mundurkach, nie wolno im malować pazurów ani gęby, biżuteria jest na czarnej liście, nie wspominając o komórkach czy urządzeniach zaczynających się na „i”.

Przyzwyczajeni z Polski do planów lekcji, do rozlicznych przedmiotów, różnych godzin startu i końca szkolnego dnia ze zdziwieniem zauważyliśmy, że tu codziennie, od pierwszej do ostatniej klasy, szkoła zaczyna się i kończy dla wszystkich o tej samej porze. Maria zaczyna o ósmej rano i kończy o piętnastej tak jak wszystkie inne klasy.

Nie ma przyrody, geografii, fizyki, chemii. Tu jest zupełnie inny podział przedmiotów. Jest *science*, czyli nauka obejmująca wszystko, co doświadczalne i naukowe, jest matematyka, język angielski z kaligrafią, sztuka łącząca muzykę i plastykę, WF, no i religia. I to wszystko. W zasadzie trzy ważne grupy przedmiotów.

I jeszcze taki drobiazg. Niby to nieistotne, ale mnie zdziwiło szalenie: dzieci nie piszą ani długopisami, ani piórami, tylko ołówkami. Jakieś to dziwne.

Muszę przyznać, że mimo iż w mediach elektronicznych pracuję od 1989 roku i gadaniem zarabiam na życie, to mam poważny problem, gdy przychodzi mi coś powiedzieć do dużego zgromadzenia. Przed kamerą, na żywo jeszcze nie jest tak źle, w końcu mówię tylko do operatora, ale kiedy patrzą na mnie ludzie, zjadają mnie nerwy.

Maryśka nie ma takiego problemu, bo od pierwszej klasy co kilka miesięcy każde dziecko musi przygotować jakąś prezentację. Jest to albo recenzja książki, albo raport na temat ulubionego świętego czy opowieść o życiu wybranego zwierza. Uczeń staje przed klasą i nawija przez kilka minut, a później nauczyciel i klasa oceniają występ. Dziecko od najmłodszych lat jest przyzwyczajane do tego, że musi umieć się jak najlepiej zaprezentować.

Jedna rzecz nie daje nam tylko spokoju. St. James to szkoła dość elitarna. Zauważyliśmy, że rodzice białych amerykańskich dzieci trzymają się razem, a jakoś tak na uboczu są rodzice obcokrajowcy, emigranci i kolorowi. Rozmawialiśmy o tym z kilkoma z nich i wszyscy mamy podobne odczucia. Przykre to trochę – patrz rozdział „Poprawni”.

Po szkołach podstawowych, gimnazjach i liceach zaczyna się prawdziwa jazda bez trzymanki. To, co wykańcza amerykańskie szkolnictwo, to cena edukacji wyższej. Gdy sprawdzałem listę najlepszych koledżów w Ameryce, uderzyło mnie to, że całkowity roczny koszt studiów (podaję za magazynem „Forbes”) w większości z nich waha się w granicach od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Całe studia najpierw licencjackie, a później magisterskie potrafią kosztować trzysta tysięcy dolarów i więcej. Nic dziwnego, że dziś łączny szkolny dług Amerykanów wynosi prawie bilion dolarów! Niespłacone kredyty studenckie ma trzydzieści siedem milionów Amerykanów. To tak jakby zadłużona była cała Polska. Co więcej, w kryzysowej Ameryce co drugi absolwent koledżu idzie prosto na bezrobocie, nie ma dla niego pracy. I jak taki człowiek ma spłacić setki tysięcy dolarów kredytu studenckiego?



Katolicka szkoła Mai co roku świętuje Halloween. W końcu jak nie duchy, to koszt edukacji solidnie przstraszy dzieci i rodziców

Dodam jeszcze, że z opublikowanych w 2009 roku danych wynika, że co siódmy Amerykanin może być uznany za analfabetę. Nie jest bowiem w stanie przeczytać prostego artykułu, bajeczki dla dziecka ani instrukcji dotyczącej zażywania leku.

Ten argument to woda na młyn dla krytyków amerykańskiego szkolnictwa. Wiem. Ale my obserwujemy Maję i Janka. Odnosimy wrażenie, że nie napycha im się głów niepotrzebnymi rzeczami. Ja nigdy przez ponad czterdzieści lat życia nie znalazłem się w sytuacji, w której absolutnie konieczna była znajomość teorii Bohra, a przez Bohra o mało co nie musiałem powtarzać klasy.

Amerykańska szkoła w fajny sposób poszerza uczniom horyzonty, ciekawe tylko, co z tego wyniknie, gdy skończy mi się kontrakt w Waszyngtonie i wrócimy do naszych szkół. Kolega, który przyjechał do Polski po kilku latach w Stanach Zjednoczonych, musiał cofnąć dziecko do niższej klasy, bo nauczycielka oświadczyła, że „sobie nie radzi”.

Byłem świadkiem szkolnego startu adoptowanych z Polski dzieci Toma i Kelly, naszych bliskich przyjaciół. Mimo że dzieciaki nie mówiły słowa po angielsku, nikt im nie powiedział, że sobie nie radzą. To nauczyciel musiał poradzić sobie z wyzwaniem. Jestem z nauczycielskiej rodziny, mama, ciocie i wujkowie są nauczycielami i przyznam, że sam już nie wiem, który model szkoły daje dziecku lepszy start w dorosłe życie. Może znowu powinna zadziałać zasada, że te modele nie są ani lepsze, ani gorsze, tylko inne.

Cześć podwójnym podwójniakom

Odwiedziła nas znajoma. Kobieta na pierwszy rzut oka, ucha i umysłu rozsądna, z rodziną zaprzyjaźniona od lat. W Stanach już kiedyś była, czyli jak nam dała do zrozumienia, o Ameryce wszystko wiedziała.

„Ohydne macie tu żarcie” – powiedziała na powitanie – „Nic się tu nie da zjeść, nawet jogurty są wstrętne, bleee”. Tu z pokorą trzeba zaznaczyć, że na świecie niewiele jest rzeczy, które Wrony, zwłaszcza męską Wronę, wyprowadzają z równowagi w ciągu trzech sekund, ale kategoryczne krytykowanie amerykańskiego papu jest w ścisłej czołówce.

No bo jak tu ze spokojem przyjąć wykonanie wyroku na tym, co serwują tu w restauracja, barach, pubach i niezliczonych fast foodach? W Ameryce można zjeść wszystko, czego tylko dusza zapagnie, w wersji tłustej, lajt, wegetariańskiej czy wegańskiej. Trzeba tylko chcieć i nie można ograniczać się do hamburgera za dolara z najtańszego fast foodu pod słońcem.

A skoro o hamburgerze – tu Wrona musiał przerwać pisanie, by szybko zlikwidować nagły napad ślinotoku... – skoro o hamburgerze już mowa, to dokonajmy podziału geograficznego. Naszym zdaniem na Zachodzie rządzi In-N-Out, a na Wschodzie – Five Guys.

In-N-Out Burger to najlepsza sieć tanich hamburgerowni na świecie i basta. Powstała w 1948 roku w Kalifornii i do dzisiaj kojarzy się głównie z tym stanem. Choć ostatnio zauważyliśmy ich fast foody na przykład w okolicach Salt Lake City w Utah.



Nie ma co owijać w bawełnę, w tej pysznej hamburgerowni czarne chmury gromadzą się nad wszystkimi koncepcjami odchudzalniczymi

Za pięć, sześć dolarów można kupić zestaw marzenie (znowu ślinotok), czyli *double double* (podwójny podwójny) z frytami i napojem gazowanym. Podwójność podwójnego polega na dwóch plackach mięsa hamburgerowego i dwóch plastrach sera, to wszystko z cebulą, pomidorem, sałatą i z boskim sosem. Taki zestawik może powalić każdego, sam podwójny podwójniak ma sześćset

siedemdziesiąt kalorii! Do tego fryty oraz napój i łądujemy w okolicy tysiąca kalorii wchłanianych za jednym posiedzeniem, ale słowo Wrony, że warto (tu pojawił się rosnący z każdym zdaniem sprzeciw żeńskiej Wrony, która nad produkty ociekające tłuszczem przedkłada to, co zdrowe i lekkostrawne).

Menu In-N-Out'a jest banalnie proste. Zamawia się numer 1, 2 lub 3 – czyli *double double*, cheeseburgera albo hamburgera, każdy zestaw z fryteczkami i gazowanym. Ale sieć ma swoją tajemnicę. Tajemnicę dla prawdziwych znawców, koneserów tego cudu sztuki hamburgerowej. Tajne menu, którego pozycje przekazywane są jak najstarsze podania ludów pierwotnych jedynie drogą ustną. Otóż wtajemniczony może zamówić potrójnego potrójniaka albo nawet poczwórniaka! Jest też hamburger proteinowy, czyli wszystko tradycyjnie, tylko zamiast w bułę pakunek jest zawinięty w duże liście sałaty. Jest też hamburger po zwierzęcemu z mięsem przygotowywanym w sosie musztardowym.

Tak szczerze mówiąc, to tajemne menu można odnaleźć na stronie internetowej sieci pod hasłem „Nie takie znowu tajne menu”. Ale trzeba wiedzieć, czego szukać. In-N-Out szczeni się tym, że żaden składnik ich przepysznych pyszności nigdy nie został zamrożony, i chyba im wierzymy.

Na wschodzie naszą ukochaną siecią jest Five Guys, czyli pięciu facetów. Złośliwcy i oprawcy mówią, że sieć dlatego tak się nazywa, bo jeśli będziesz tam jadł, to po kilku miesiącach będziesz ważył (albo, nie daj Boże, ważyła) tyle, co pięciu roślących facetów. Z nieukrywaną niechęcią sprawdziliśmy kaloryczność naszych ulubieńców. Lepiej było nie patrzeć...

Mistrzowski cheeseburger z bekonem ma dziewięćset dwadzieścia kalorii, duże frytki – tysiąc czterysta siedemdziesiąt cztery. No dobrze, może nie jest to jedzenie na każdy dzień, może nawet nie na każdy tydzień, ale raz w miesiącu można wchłonąć takie dwa i pół tysiąca kalorii. Geniusz tej sieci, która raz za razem jest wybierana najwspanialszą hamburgerownią na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, polega na tym, że do każdej porcji dokładają ci jeszcze troszkę, tak od serca i za darmo. Nie zjeść tej dodatkowej porcji fryteczek najdroższych czy bekoniku kochanego to grzech prawdziwy.

Na znakomitego hamburgera można też trafić oczywiście poza sieciami, podróżując po Ameryce. Wskazówka numer jeden – lokal musi wyglądać paskudnie, wskazówka numer dwa – im mniejsza miejscina, im dziura bardziej zabita dechami, tym lepsze jedzenie.

Ta prawda znakomicie sprawdza się przy słynnych amerykańskich śniadaniach (znowu niekontrolowany napływ śliny i znowu tylko u Wrony męskiej). Śniadanie marzeń (uwaga, podajemy zestaw dla jednego człowieka) to dwa jajka, dwie kiełbaski, dwa plasterki bekonu, *hash browns*, czyli ziemniaki tarte na grubej tarce, a następnie przysmażone na patelni, ewentualnie *grits*, czyli grysik, dwa amerykańskie naleśniki z obrzydliwie słodkim syropem i dwa tosty z dżemem. Do tego kilka kubków kawy.



UWAGA! Solniczka jest rozmiarów normalnej, ludzkiej solniczki. Napój gazowany jest w nieludzkiej megaszklaneczce

To nie żart, słowo. Zapraszamy na amerykańską prowincję, do rolniczego Iowa, do zachodniego Illinois czy do południowego Teksasu. W Teksasie zestaw może być nawet większy, bo tam wszystko jest większe niż w pozostałych amerykańskich stanach.

Żeby zjeść takie śniadaniowe pyszności, trzeba szukać czegoś, co ma w nazwie słowo *diner* albo, chyba dla zmylenia przeciwnika, nazywa się kafejką. Naszą ulubioną jest właśnie kafejka u Lucy w Arlington w stanie Virginia. Lucy nigdy tam nie widzieliśmy, ale śniadania są w stanie zabić nawet najtwardszego wojownika.



Restauracja to ta buda na prawo, działa od 1957 roku. W środku trochę śmierdzi, ale hamburgery są bombowe

Żeberka i barbecue (często w skrócie pisane BBQ), czyli sosy, marynaty, grill i różnorodne mięsiwa. Z tymi żeberkami można walczyć na kilka sposobów. Nie wchodząc w szczegóły (komputer może nie wytrzymać kolejnego ślinienia), za żebra bezapelacyjnie trzeba zabrać się w Teksasie i Tennessee, a zwłaszcza w Memphis w stanie Tennessee. Na głównej ulicy starej części miasta w każdym lokalu słychać jazz, bluesa i chrzęst obgryzanych żeberek. Są wyśmienite. Trzeba też spróbować czegoś, co jest absolutnym rarytasem, a nazywa się *pulled pork*. Ta wieprzowina

w marynatce i sosie jest długo duszona na wolnym ogniu. Jest duszona tak długo, że sama z siebie rozpada się na kawałki, a wtedy takie coś jest pakowane do buły i podawane jako kanapka. Niebiańska kanapka, która niezawodnie uciapie nowicjusza sosem od stóp do głów.

Czas na polski wynalazek, czyli hot doga. A tak, istnieje teoria, według której nasi mieli wkład w wymyślenie hot doga takiego, jakiego znamy dziś. Mianowicie około roku 1870 na nowojorskiej Coney Island niemiecki imigrant Charles Feltman zaczął sprzedawać kiełbaski w bułce. Spokojnie, tu jeszcze naszych nie ma. Pan Charles sobie sprzedawał swoje buły, a w lipcu 1892 roku gdzieś w Polsce na świat przyszedł Nathan Handwerker. Nathan dorósł i wyemigrował do Ameryki. Zaczął pracować u Feltmana, podszkolił się i otworzył swój biznes, gdzie sprzedawał parówki w bułce za połowę feltmanowej ceny. I tak narodziła się słynna sieć hotdogarni Nathan's. Firma w swoich oficjalnych materiałach podaje, że jej założyciel urodził się gdzieś nad Wisłą. Czyli nasi wymyślili hot doga i już! No, może w tym wymyśleniu od początku do końca jest trochę przesady, ale swój wkład mamy. Co więcej, słynny konkurs, a w zasadzie mistrzostwa świata w jedzeniu hot dogów na czas odbywają się co roku czwartego lipca, czyli w amerykańskie święto niepodległości, właśnie na Coney Island, tam, gdzie powstała pierwsza hotdogarnia Nathan's. Mistrz z 2011 roku w dziesięć minut zjadł sześćdziesiąt dwa hot dogi. Całe! Parówki razem z bułkami!

A skoro już jesteśmy w Nowym Jorku, to jeszcze słów kilka o pizzy. Nowojorska, sprzedawana na trójkątne kawałki jest bezapelacyjnie najlepsza na świecie. Nie wiemy, jak oni to robią, ale serowa bez dodatków w Nowym Jorku smakuje bajecznie. Trzeba tylko trafić do prawdziwej włosko-nowojorskiej pizzerii. Najlepiej sprawdzić, czy w porze lunchu, czyli między dwunastą a trzynastą, są tam tłumy robotników i policjantów, zwłaszcza ci ostatni są znanymi smakoszami nowojorskiej pizzy.

Z dobrej pizzy powinny kapać duże krople tłuszczu – pyszności.

Swoistą pizzową wojnę zafundowała sobie amerykańska stolica. W waszyngtońskiej dzielnicy Adams Morgan zaledwie kilka przecznic od naszej ambasady powstało kilka pizzerii specjalizujących się w pizzach gigantach. Jeden trójkątny kawałek jumbo pizzy ma niejednokrotnie wielkość całej tradycyjnej pizzy. Te jumbo kawałki mają swoich wielbicieli wśród podchmielonych weekendowych imprezowiczów z Adams Morgan. A dlaczego wojna? Każda z kilku pizzerii na wielkich szyldach ogłasza, że to oni byli pierwsi, oni wymyślili, że pizza może być jumbo i tylko oni są autentyczni. Niech sobie wojują, a pizzę mają naprawdę największą na świecie.

Ameryka ma też wysmienite kuchnie etniczne. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie czego szukać.

Na przykład w Cleveland w stanie Ohio warto wybrać się do restauracji węgierskiej, bo miasto jest stolicą imigrantów z Węgier. Naszym przewodnikiem był kiedyś doktor Tomasz Rogula z Cleveland Clinic, znakomity polski lekarz z jednego z najlepszych amerykańskich szpitali. Objedliśmy się okrutnie gulaszami i plackami, a jak na ironię doktor specjalizuje się w robieniu operacji zmniejszania żołądka tym, którzy najwyraźniej objadali się przez dłuższy, stanowczo za długi, czas.

W Chicago, wiadomo, pierogi, pyzy, kotlety z kapustą, grzybowa... Wszystko jak u mamy. Chicago słynie ze znakomitej polskiej kuchni, w końcu to nasze największe miasto w Stanach.

W San Francisco trzeba wybrać się do dzielnicy azjatyckiej, ale uwaga, kuchnia chińska to nie jest ta znana nam, zeuropeizowana i spolszczona kuchnia niby-chińska. Tam można się czasem nieźle przestraszyć. Kiedyś byliśmy w restauracji chińskiej w Chinatown, czyli w chińskiej dzielnicy w Nowym Jorku. Kelner dosadzał gości, jak leci, do ogromnych okrągłych stołów na kilkanaście osób. Była tylko jedna kopia menu po angielsku, z której zresztą niewiele wynikało. Nagle kelner przyniósł naszej azjatyckiej sąsiadce półmisek smażonych kurzych stóp, które niewiasta zaczęła ze smakiem ssąco obgryzać. Wyglądało to dość kiepsko.

W Waszyngtonie warto odwiedzić restauracje etiopskie. Egzotyczny jest sposób jedzenia, bo wszystko je się rękami, sztucce nie istnieją. Papkowane potrawy chwyta się w kawałki naleśnikowatego chleba. Wygląda to zabawnie, a smakuje wysmienicie, zwłaszcza gdy na żywo

przygrywa etiopski zespół muzyczny. Kto nie słyszał, nie pojmie, jaki to kosmos.

W Waszyngtonie jest też kultowa knajpa Ben's Chili Bowl. Lokal ma ponad pięćdziesiąt lat, serwuje hot dogi i chili. Chili to potrawa kuchni teksańsko-meksykańskiej składająca się z papryczek, pomidorów, cebuli, mielonego mięsa i fasoli. Wszystko oprócz fasoli jest drobno pokrojone i długo duszone. Jednym słowem, powstaje nieciekawa papka o ciekawym smaku. Takie chili można zjeść w miseczce z tartym serem albo polewa się nim hot dog. W Ben's Chili Bowl robią jedno i drugie. A o kultowości lokalu niech świadczy to, że gdy Barack Obama sprowadził się do Białego Domu, ówczesny burmistrz miasta zabrał go właśnie do Bena na hot dog. Ściany knajpki zdobią zdjęcia znakomitych gości lokalu. Był tam Nicolas Sarkozy, Barack Obama, była Hillary Clinton i wielu, wielu innych. Ale jak głosi wielki napis, za darmo mogą jeść tylko Barack Obama i genialny amerykański komik i aktor Bill Cosby. Cosby ma tu nawet danie nazwane na swoją cześć.

O znakomitościach amerykańskiej kuchni można pisać i pisać. Osobną historią są amerykańskie pączki (każdy pączek to istna bomba kaloryczna) czy uwielbiane przez wszystkich *cupcakes*, najśłynniejsze to nasze lokalne Georgetown Cupcakes rozślawione przez telewizję TLC i znane całej Ameryce jako DC Cupcakes. Dzieło dwóch sióstr o greckich korzeniach, które postanowiły ziścić swój *american dream* i po kilku latach pracy w korporacjach zajęły się czymś, co lubią najbardziej, czyli pieczeniem ciastek. Opłaciło się! Siostry są dziś milionerkami. Po ich słodkie wyroby codziennie niezależnie od pory roku ustawiają się gigantyczne kolejki. Obecnie można je też zamówić z dostawą do domu lub wysłać w dowolne miejsce Stanów. Czy smak DC Cupcakes jest wart takiego zachodu – rzecz gustu. Osobiście nie jesteśmy wielkimi fanami, ale Amerykanie kompletnie oszaleli na ich punkcie. A o to przecież chodziło!

Inna historia to lody, najbardziej wymyślne robi Ben and Jerry's ze stanu Vermont. Firma założona z nudów przez dwóch hippisów teraz jest gigantycznym koncernem lodziarskim. A gdzie amerykański *cheese cake*, czyli serniczek – dla jednych deser doskonały, dla innych słodka maź niczym nieprzypominająca polskiego pysznego sernika...

No i jak można mówić: „macie tu ohydne żarcie”? Ameryka to raj dla każdego prawdziwego smakosza, trzeba tylko chcieć i umieć szukać, a znajdzie się prawdziwe skarby. Choć przyznajemy, że zaraz po przeprowadzce do Stanów trudno było nas przekonać do amerykańskiego jedzenia. Ale te czasy na szczęście minęły.

Gdy wyjeżdżałem do Ameryki, ważyłem sto osiem kilogramów. Wmawiałem sobie, że nie jest tak źle, choć w Polsce ponad stukilogramowy gość to grubas. Nie ma dyskusji. Ale w Ameryce... Wow! Tu usłyszałem, że jestem „postawnym mężczyzną”, że „dobrze wyglądam”, że „nawet mogę trochę przybrać na wadze”.

Istny raj na ziemi. No i się zaczęło. Z bolesną szczerością muszę powiedzieć, że pewnego dnia, na początku czwartego roku w Stanach waga pokazała sto dwadzieścia cztery kilogramy. Nie pomogło przestawianie wagi w inne miejsce, nie pomogło podskakiwanie, rozebranie się do rosołu, nie pomogło nic. Były sto dwadzieścia cztery kilogramy i kropka.

Mimo tej przerażającej wagi znajomi Amerykanie dalej mówili mi, że nie ma tragedii. Faktycznie, w porównaniu z przemykającymi tu i ówdzie wielorybami nie wyglądałem jeszcze najgorzej. Wystarczy przeczytać raporty organizacji rządowych i pozarządowych, żeby zrozumieć rozmiary otluszczonej katastrofy.

Co trzeci Amerykanin jest otyły, otyłość jest na pierwszym miejscu wśród chorób prowadzących do przedwczesnej śmierci Amerykanów. Z tą potężną nadwagą w Stanach jest coraz gorzej. Przez ostatnie piętnaście lat liczba grubasów wzrosła prawie dwukrotnie. CDC, czyli rządowe Centrum Zwalczenia i Zapobiegania Chorób, podało, że w 2008 roku na leczenie wszystkich powikłań i chorób związanych z otyłością Amerykanie wydali sto czterdzieści siedem miliardów dolarów! Chyba wystarczy tych przytłaczających, przerażających liczb.

Wrony długo zastanawiały się nad tym, skąd bierze się tak gigantyczny problem. Chyba sporo zrozumieliśmy, kiedy Marysia poszła do szkoły. Jedyny lunch oferowany przez jej szkołę to pizza. W przedszkolu Janka dzieci przeważnie dostają makaron polany roztopionym serem, pizzę albo hot dogi. Bo tak wygląda zbiorowe żywienie dzieciaków. W szkołach publicznych uczniowie jedzą to, co niezdrowe i tłuste, na korytarzach stoją automaty z batonami, czekoladami i słodzonymi napojami gazowanymi. Dzieciaki to uwielbiają, ich tkanka tłuszczowa też. I tak rośnie młode pokolenie grubasów. CDC twierdzi, że prawie trzynaście milionów amerykańskich dzieci cierpi z powodu otyłości.

Sprawa jest na tyle poważna, że amerykańska Pierwsza Dama Michelle Obama ruszyła do dzieła. Sama pani Michelle jest smukła, wysoka i wysportowana. Amerykanie ją uwielbiają i chętnie jej słuchają. Dlatego z jej inicjatywy wystartowała akcja „Let’s Move” – „Ruszajmy się”. Michelle Obama uprawia z dziećmi w szkołach aerobik, widać ją na zdjęciach, jak kręci hula hop, tańczy i generalnie rzecz biorąc – się rusza.

Pierwsza Dama zachęca do jedzenia warzyw i owoców, ba, sama zaczęła nawet uprawiać ogródek w Białym Domu. W 2011 roku Ola wylosowała wejściówki na wielkanocny festyn w ogrodach Białego Domu. Wrony bawiły się świetnie, a ze stoiska przy ogródku Pani Prezydentowej wyniosły torebeczki z nasionkami marchewki i kilku innych warzyw. Tak Michelle Obama namawia do zdrowego odżywiania się.



Nie wiem, po prostu nie wiem i już. Z jakiegoś powodu pani wolontariuszka postanowiła zrobić zdjęcie tak, żeby Biały Dom chylił się ku upadkowi. Ale pamiątka fajna

Te wysiłki żony trochę pokrzyżował prezydent, który zabrał goszczącego w Waszyngtonie ówczesnego rosyjskiego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, na... hamburgery! Panowie zajadali się w Arlington w stanie Wirginia tłustymi i niezdrowymi hamburgerami, które w tym czasie z całej siły piętnowała Michelle Obama. Amerykańscy satyrycy mieli przez kilka dni spory ubaw.

Ale zupełnie nie jest do śmiechu, kiedy przewertuje się doniesienia o dzieciach rekordzistach.

Najpierw zetknąłem się z przerażającą historia Alexandra Drapera. To czternastoletni chłopiec z Karoliny Południowej. Powtarzam, czternastoletni chłopiec! Ten czternastolatek ważył dwieście pięćdziesiąt jeden kilogramów, gdy policja odebrała go matce, której postawiono zarzut zaniedbania dziecka. Mama tłumaczyła, że dziecko przytyło, bo musiała pracować na dwie, a nawet trzy zmiany, nie miała czasu gotować i dawała synowi jedzenie z fast foodów. Rozumiem, ale dwieście pięćdziesiąt jeden kilogramów? U czternastolatka? No bez przesady.

Niestety, Alexander nie był ani pierwszy, ani ostatni. Niedawno amerykańska prasa rozpisywała się o ośmioletnim chłopcu ze stanu Ohio, który ważył ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. On też został odebrany matce, która, podobnie jak matka Alexandra nie uważała, że ponosi winę za ciężką otyłość swojego dziecka.

Wśród tych opowieści musi znaleźć się miejsce dla Donny Simpson. Donnę poznałem chyba w 2010 roku. Wtedy ważyła jakieś dwieście dziewięćdziesiąt kilogramów i zasłynęła tym, że postanowiła przytyć do czterystu pięćdziesięciu kilogramów, bo chciała zostać największą i najcięższą kobietą na świecie.

Odwiedziłem ją w domu w małym miasteczku w stanie New Jersey, gdzie mieszkała z synem, córeczką i narzeczoną, który uwielbiał ją tuczyć. Donna już wtedy była najcięższą kobietą na świecie, która urodziła dziecko. Prowadziła stronę internetową, na której zamieszczała swoje dość odważne zdjęcia – nie znajduję delikatnych słów dla opisanie fotografii niewiasty ważącej prawie trzysta kilogramów, która pozuje w stroju kąpielowym. Miała setki fanów na wszystkich kontynentach, którzy pocztą kurierską przesyłali jej torty, ciasta i wszelakie inne smakołyki. Każdy fan płacił po kilkadziesiąt dolarów miesięcznie, żeby móc oglądać Donnę.

Gdy lekarzom i dietetykom pokazywałem zdjęcia tej dużej dziewczyny, z przerażeniem łapali się za głowy. Jak mówili, Donna powoli popełniała samobójstwo. Dziś wiele wskazuje na to, że szalony pomysł przytycia do czterystu pięćdziesięciu kilogramów ma już za sobą. Rozstała się z tuczącym ją narzeczoną i ogłosiła, że idzie na dietę. Z całego serca życzę jej powodzenia.

Gdy jedna część Ameryki tyje na potęgę, druga jeździ na rowerze, biega, pływa i uprawia sporty wszelkie. Ameryka to kraj kontrastów, ale również naukowych metod i sposobów na wszystko. Sam przyłączyłem się do jednego z najpopularniejszych programów, które w naukowy sposób podchodzą do odchudzania. W cztery miesiące bez specjalnego wysiłku straciłem piętnaście kilogramów. Razem ze mną na meetingi przychodzi cały przekrój amerykańskiego społeczeństwa. Chudniemy razem i dobrze nam z tym.

Na tych meetingach dowiedziałem się o amerykańskim żywieniu czegoś, czego nigdy bym nie przypuszczał. Na początku lat sześćdziesiątych standardowy talerz obiadowy miał średnicę prawie dwudziestu trzech centymetrów i mieścił jedzenie warte jakieś osiemset kalorii. Przez lata średnica talerza rosła sobie powoli, talerz mieścił coraz większe porcje i dziś jego średnica to ponad trzydzieści centymetrów, a zwyczajowe danie obiadowe ma do tysiąca dziewięciuset kalorii. Chyba nie ma się co dziwić powszechnemu tyciu Amerykanów.

Na całego za analizowanie problemu zabrali się amerykańscy naukowcy. Kilka lat temu z ekipą „Faktów” TVN poleciliśmy do Bostonu, by spotkać się z doktorem Nicholasem Christakisem, który jest lekarzem i socjologiem, a co najważniejsze, wykłada na słynnym Uniwersytecie Harvarda. Otóż Christakis wyliczył, że otyłość rozprzestrzenia się dokładnie tak samo jak wirus choroby zakaźnej. Z jego modelu wynika, że jeśli twoi rodzice są grubi, ty też będziesz, jeśli twój sąsiad jest gruby, ciebie czeka to samo, jeśli przyjaciele tyją, ty też będziesz tył. Dlatego od lat w Stanach Zjednoczonych mówi się o epidemii otyłości.

Gdzie nauka nie daje rady, tam do dzieła rusza skalpel. Jak Ameryka długa i szeroka powstają kliniki, w których operacyjnie zmniejsza się żołądki. Swój wkład we wszczepianie gastrycznych bajpasów ma też nasz człowiek. Wspomniany już doktor Tomasz Rogula pracuje w Cleveland Clinic, jednym z najlepszych szpitali w USA. Zrobił ponad dwa tysiące operacji, a zespół, w którym operuje, odkrył, że gastryczne bajpasy nie tylko zmniejszają żołądek i pozwalają schudnąć, ale również raz na zawsze leczą z cukrzycy typu drugiego.

Skoro jedna trzecia Amerykanów to grubasy, powoli musi zmieniać się amerykański świat. Najlepiej widać to na lotniskach i w samolotach. Większość linii lotniczych opracowała specjalne procedury dotyczące pasażerów z widoczną nadwagą. Jeśli jegomość jest „za duży”, musi kupić dla siebie dwa bilety – po jednym siedzeniu na półdupiek. W niektórych liniach lotniczych taka masa krytyczna pasażera to już sto trzysta kilogramów.

Nie ma się co śmiać. Kiedyś siedziałem w samolocie w klasie ekonomicznej koło dżentelmena mojej postury. Musieliśmy się umówić, kiedy sięgamy po napój, kiedy odkładamy książkę, kiedy przechylamy się na lewą, a kiedy na prawą stronę. Dobrze, że facet miał poczucie humoru, bo mogło skończyć się tak jak z aktorem i satyrykiem Kevinem Smithem. Smith znany z wielu filmów jako Cichy Bob wpakował się do samolotu linii Southwest i... musiał wysiąść, bo był za gruby, żeby zmieścić się w fotelu. Dokładnie rzecz biorąc, z pokładu wyrzuciła go obsługa. Rozpętała się burza. Okazało się, że Cichy Bob wcale nie jest taki cichy, jak by się wydawało. Na Twitterze wymyślał linię lotniczą od najgorszych, sprawę szybko podchwyciły amerykańskie media i w końcu Southwest bardzo przeprosił aktora i zaoferował mu voucher na sto dolarów. Na Twitterze Smith w mało parlamentarny sposób odpisał, co linia lotnicza może sobie zrobić z tym kuponem.

Ponieważ od kiedy pamiętam, sam jestem wielki, swobodnie używam słowa gruby czy grubas. W Ameryce by to nie przeszło. Tu obowiązuje poprawność polityczna (o tym fenomenie zżerającym Amerykę od środka więcej nieco później). Tu nie ma ludzi grubych ani grubasów. Tu używa się sformułowań typu „nasi więksi klienci”, „pasażerowie potrzebujący nieco więcej miejsca” czy „odwiedzające nas duże osoby”. Zatem „większy klient” myśli sobie: „Skoro nie jestem gruby, tylko większy, to zamówię sobie jeszcze jedną porcję lodów”. I tak Amerykanie, sami siebie okłamując, tyją w zastraszającym tempie.

Jak to się robi pod Waszyngtonem

„Aha, może krótki rozdział, jak się odchudziłeś, na specjalne życzenie wydawcy:)” – napisał pewnego dnia w mailu wiadomo kto, wydawca. A że życzenie wydawcy spełnić trzeba, żwawo zabrałem się do pracy.

Skoro z troską i pełnym zrozumieniem pochylił się nad powszechnym amerykańskim tyciem, to czas na skuteczne odchudzanie. Z całą stanowczością chcę tu zaznaczyć, że to, o czym teraz będzie, działa w moim przypadku, działa w przypadku kilku moich znajomych, ale wcale nie musi to być złota metoda, która będzie skuteczna dla każdego „dużego obywatela”.

Grubasy doskonale wiedzą, że przybieranie na wadze i powiększanie swojego obwodu w pasie w zasadzie nie wymaga żadnego wysiłku. Działanie odwrotne jest wręcz niezgodne z naturą. Przypomina katorgę, a każdy odchudzający się grubas cierpi i męczy się szalenie.

Sam przez ostatnie trzy dekady wypróbowałem chyba wszystkie bardziej i mniej znane diety cud. Była dieta pszeniczna, gdy przez trzy tygodnie je się tylko obrzydliwą gotowaną pszenicę, była dieta kopenhaska, po której pozostał mi wstręt do jajek na twardo, sałaty i befsztyków, były wysokotłuszczowe diety z minimalną ilością węglowodanów... Mówiąc krótko, były tego dziesiątki. Wszystko działało na chwilę, a później efekt jo-jo i waga znowu stękała z wrażenia, gdy na nią wchodziłem.

Gdy zbliżałem się do mojego rekordu (przypomnę, sto dwadzieścia cztery kilogramy!), przyjaciel zaczął niby od niechcienia opowiadać, jak to sam się kiedyś odchudził i do dziś pilnuje swojej wagi. David zna mnie doskonale i wie, że żadne zaciąganie na siłę, żadne nachalne namawianie nie zadziała. Zajęło mu to kilka tygodni i wreszcie wspólnie wybraliśmy się na meeting „odchudzaczy”.

Zanim w detalach o tym, co, jak i dlaczego dzieje się w tym tajemniczym miejscu, dwa słowa o bardzo amerykańskim sposobie radzenia sobie z problemami. Amerykanie na każdą sytuację, na każdy problem mają grupy wsparcia, meetingi i podręczniki uczące, jak sobie pomóc. Na wielką skalę zaczęło się to w Stanach Zjednoczonych chyba w 1935 roku, gdy powstał ruch Anonimowych Alkoholików. W ciągu dziesięcioleci jak grzyby po deszczu wyrosły setki rozmaitych grup. W naszym Falls Church odbywają się regularnie meetingi Anonimowych Alkoholików, ludzi uzależnionych od seksu, jedzenia, narkotyków czy nawet od miłości, w tym wypadku miłości w rozumieniu emocjonalnym.

Gdy z okazji czterdziestych urodzin postanowiłem dać sobie najlepszy z możliwych prezentów, czyli rzucenie palenia, odnalazłem w okolicy meetingi Anonimowych Nikotynistów.

W kościele luterańskim naprzeciwko naszego domu co tydzień spotyka się grupa pomagająca ludziom, którzy stracili bliskiego członka rodziny. Są też grupy wspierające cierpiących z powodu konkretnych chorób, otaczające opieką żony żołnierzy, którzy są na wojnie, czy samych żołnierzy, którzy z wojny właśnie wrócili.

Mam znajomych, którzy należą nawet do czterech różnych grup wsparcia, a na dodatek raz w tygodniu lądują na kozetce u psychoanalityka.

W Stanach bez względu na twój problem znajdziesz grupę, która cię wesprze.

Amerykanie na takich meetingach są niezwykle szczerzy i otwarci. Głośno i publicznie mówią o swoich uczuciach i bólu, niejednokrotnie obficie leją się łzy. Z Polski, z doświadczeń młodości

wyniosłem przekonanie, że nie wolno płakać, nie wolno mówić o swoich słabościach, nie wolno wnosić problemów z domu. Amerykanie na odwrót, budują całe społeczności oparte na silnej więzi i wspólnocie problemów.

A co do łez, pamiętam, jak kiedyś rozmawiałem z żołnierzem piechoty amerykańskiej. Był w pełnym mundurze z bronią podczas szkolenia na poligonie w bazie Camp Shelby w stanie Missisipi. Płakał jak dziecko, gdy mówił, że syn urodzi mu się dopiero, gdy on będzie na misji w Afganistanie. Koledzy zamiast go wyśmiać, że zachowuje się jak mięczak, zaczęli go pocieszać i poklepywać po plecach. Tu łzy nie są oznaką słabości.

Skoro każdy problem można rozwiązać dzięki jakiejś grupie wsparcia, dzięki jakimś meetingom, to trzeba było tylko czasu, by ktoś postanowił zrobić na tym interes. I tak na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku powstał program oparty na meetingach i na precyzyjnej instrukcji mówiącej, co i w jaki sposób należy jeść, żeby stać na straży swojej wagi.

Dla mnie to był klucz do sukcesu. Spotykamy się raz w tygodniu. Bez obciachu opowiadamy o naszych wpadkach, gdy na przykład nie mogliśmy się powstrzymać na widok superlodów, fajnego hamburgera czy pysznego burrito. Nasza liderka, która sama schudła pięćdziesiąt kilogramów, pociesza, podtrzymuje na duchu i daje praktyczne rady, dzięki którym łatwiej trzymać się programu.

A jak ten program działa? W zależności od wieku, wagi, wzrostu i płci każdy dostaje wyliczoną przez komputer swoją pulę punktów do zjedzenia na dzień. Wraz ze spadkiem wagi maleje liczba punktów i jemy coraz mniej. W Stanach Zjednoczonych na każdym opakowaniu produktu żywnościowego jest podana dokładna zawartość cukrów, tłuszczu, węglowodanów czy błonnika w jednej porcji. Dzięki specjalnemu kalkulatorowi można sobie wyliczyć, ile punktów ma jedna kromka chleba, plasterk sera, szynki czy jedno jajko.

No dobrze, a gdzie tu interes? Ano za te meetingi trzeba płacić, członkostwo w organizacji kosztuje czterdzieści trzy dolary na miesiąc. Co więcej, organizacja to wielka firma spożywcza, która produkuje swoje gotowe mrożone dania, chipsy, batony, cukierki, a nawet lody. Wszystko z wyliczoną wcześniej liczbą punktów.

Gdy zameldowałem się na pierwszym meetingu, system wyliczył, że mogę zjadać pięćdziesiąt pięć punktów dziennie. Kiedy podzieliłem się tą wiadomością z innymi chudnącymi, zobaczyłem w ich oczach jakieś złe błyski, jakby niechęć i nienawiść. Nasza liderka szybko wyjaśniła, że ci, którzy schudli do swojej „zdrowej” wagi, a zwłaszcza panie, mają często najwyżej dwadzieścia sześć punktów na dzień, stąd ta zawiść.

Na początku pięćdziesiąt pięć punktów to było bardzo mało, dziś mam czterdzieści osiem i wydaje mi się, że to bardzo dużo, codziennie odkładam sobie kilkanaście niezjedzonych punktów tak na zaś.

Moje śniadanie to ekstra cienka bułeczka za trzy punkty, trójkącik odtłuszczonego serka za jeden punkt, jajko za dwa, plasterk bekonu również za dwa i kawa z odrobiną mleka za jeden punkt. Do tego ogórki, pomidory, czasem jakieś marcheweczki – wszystko za zero (zero!) punktów. Warzywa i owoce z wyjątkiem ziemniaków, awokado czy wszelkich strączkowych mają zero punktów. Nawet banan!

Zatem między posiłkami wsuwam owoce. Na obiad z tych przygotowanych przez firmę mrożonek zjadam sobie jakiś makaron (tak, makaron!, ale porcja jest bardzo mała), kurczaka z ryżem czy coś podobnego, staram się, żeby miało to jakieś siedem punktów. Kolacja to znowu bułeczka – cieniasek za trzy, wegetariański hamburger też za trzy punkty, serek za jeden i dużo warzyw.

Przez lata gubiło mnie wieczorne opychanie się. Próbowiałem legendarnego niejedzenia po dziewiętnastej, bo podobno jak się zje później, to organizm przerabia wszystko na tłuszcz. Na jednym z pierwszych meetingów usłyszałem, że to nieprawda, że można jeść nawet przez sen, byle nie przekroczyć swojego punktowego limitu.

I tak co wieczór zjadam owocową michę pełną winogron, gruszek, jabłek i czereśni (zero

punktów!). Do tego małą przygotowaną przez Strażników paczuszkę chipsów i torbę popcornu, razem za sześć punktów.

Tak wygląda idealny dzień, choć zdarza się, że zjem coś nawet w fast foodzie, punktację większości fast foodów można sprawdzić w internecie. Program daje też wspaniały bonus. Co tydzień każdy chudnący dostaje prezent, dodatkowe czterdzieści dziewięć punktów na weekendowe szaleństwo.

Brzmi jak jakaś kosmiczna ściema, wielka bzdura wyssana z palca, ale to działa!

Przyznam, że ciągłe liczenie punktów, zapisywanie wyliczeń w kajeciku czy rozbieranie na czynniki pierwsze posiłków podawanych w restauracjach jest nieco upierdliwe, ale warto.

Strażnicy Wagi, bo tak nazywa się to przedsięwzięcie, nie obiecują gwałtownych spadków wagi, schudnięcia w trzy dni. To jest proces. W pierwszej fazie odchudzania idealny spadek wagi to mniej więcej kilogram na tydzień. W moim przypadku takie chudnięcie jest dość bezbolesne. Ola się śmieje, że jem częściej, niż dawniej to bywało. Sama zajada to, co gotuję z dostępnych w internecie „punktowych” przepisów. Jednym słowem świetnie się bawię i chudnę.

Na meetingach zachęca się nas do ruchu, a to przychodzi mi najtrudniej, bo ruszyć tak ciężką pupę nie jest łatwo, ale się staram. W końcu kilkanaście kilogramów to nie w kij dmuchał, a tyle już schudłem.

Wspominałem już, że Amerykanie atakują zbędne kilogramy na różne sposoby, nawet operacyjnie, ale nie tylko. Każdy grubas przyzna, że ma wśród znajomych kogoś, kto je tyle samo co on, a może nawet więcej, i nie tyje. Jak doniósł „The Washington Post”, laboratorium w Phoenix w stanie Arizona zajęło się zbadaniem tego problemu. Podejrzewa się, że za wszystkim stoją geny, ale domysły naukowców mają udowodnić eksperymenty przewidziane na długie lata.

Pierwszy eksperyment ma polegać na podawaniu „chudziakom” czterech tysięcy kalorii dziennie i sprawdzaniu, ile z tego spalają w procesie metabolizmu. Drugi, chyba ciekawszy, będzie polegał na przekarmianiu chudych i niedokarmianiu grubych. Będzie wielce interesujące, jeśli okaże się, że niedokarmiony człowiek z nadwagą będzie dalej tył, a przekarmiany szczupłak nie przytyje nic a nic.

Drogi wydawco (i czytelniku), jeśli te sposoby na zrzucenie kilogramów cię nie przekonują, to jeszcze słowo o szczepionce na otyłość. Wrony jej nie próbowały, ale naukowcy są już podobno po próbach na myszach, które po czterech dniach od podania szczepionki straciły dziesięć procent masy ciała.

Dla tych, którzy nie chcą grup wsparcia, nie mają czasu czekać, aż myszy, wrony i inne zwierzaki sprawdzą szczepionkę przeciwko otyłości, FDA, czyli Amerykańska Agencja do Spraw Żywności i Leków, co jakiś czas na rynek farmaceutyczny wpuszcza nowe lekarstwo na otyłość. Problem w tym, że te leki mają często bardzo przykre skutki uboczne.

Ja wolę moje punkty, grupę wsparcia z szalonymi starszymi paniami i naklejki z napisem „bravo”, które dostaję za każdy zrzucony kilogram. Gdy straciłem pierwsze dziesięć procent masy ciała, co zajęło mi trochę więcej czasu niż mysie cztery dni, dostałem nawet w nagrodę błyszczący breloczek! W końcu coś mi się należy za te czterdzieści trzy dolary na miesiąc.

Oby każdemu chudło się tak radośnie jak grubemu Wronie za Oceanem.

„A po ile u was benzyna?” – pytają znajomi. Bez względu na to, jaka pada odpowiedź, niezmiennie słyszę, że mam szczęście, bo w Polsce jest już po... (nic nie wpisuję, bo i tak, gdy książka się ukaze, paliwo będzie droższe niż w dniu pisania tych słów). Czasem tylko wzdycham, ale gdy jestem wyspany i mam ochotę na gorącą wymianę poglądów, zaczynam tłumaczyć, że to nie jest takie proste.

Gdy objąłem amerykańską placówkę TVN, naszą służbową toyotę corollę tankowałem za dwadzieścia cztery dolary. W szczycie kryzysu za bak płaciłem nawet ponad pięćdziesiąt dolarów. Amerykanie, którzy nigdy wcześniej nie zwracali uwagi na cenę paliwa, teraz dokładnie oglądają każdy cent wlany do baku.

W Stanach nie oblicza się tak jak u nas, ile litrów auto spala na sto kilometrów. Choćby dlatego, że za Wielką Wodą zamiast litrów są galony, a zamiast kilometrów mile. Co zatem robią Amerykanie? Obliczają, ile mil auto przejedzie na jednym galonie. Później obliczają na przykład, ile mil mają z domu do pracy i z powrotem. W ten sposób wiedzą, ile galonów kosztują ich codzienne dojazdy.

W galonie mieszczą się niespełna cztery litry (3,8 litra). Latem 2012 roku galon paliwa kosztował trzy i pół dolara. Cena mocno uśredniona, bo na zachodzie Ameryki tankowanie jest zawsze droższe niż na wschodzie. Czyli litr wychodził nam za jakieś osiemdziesiąt centów, co w przeliczeniu na nasze dawało trzy złote za litr. Kiedy dokonywałem tych skomplikowanych przeliczeń w obecności kolegów w Polsce, w ich oczach widziałem wszystko na „z” – złość, zazdrość, a nawet zawiść. Szybko padały zdania w stylu: „Oni więcej zarabiają, a paliwo mają dwa razy tańsze! Skandal! To na co oni narzekają?!?!”.

Tu rozpoczyna się wspomniane wcześniej mocno skomplikowane tłumaczenie, z którego w zamiarze autora ma wynikać, że taniej znaczy drożej.

Amerykańskie auta to automaty. Amerykanie nie znoszą manualnych skrzyń biegów, co więcej – nie mają pojęcia, o co chodzi z tym trzecim pedałem, kiedy zmieniać biegi i w ogóle po co to całe zamieszanie, kiedy można prościej i wygodniej. W tym względzie widać stuprocentową amerykanizację Oli, która na drążek zmiany biegów patrzy z wyraźnym zdziwieniem i niechęcią.

No dobrze, automat to wygoda, zwłaszcza w waszyngtońskich korkach, które ostatnio przebiły swoją długością nawet te z Chicago i Los Angeles. Obecnie amerykańska stolica dzierży korkową palmę pierwszeństwa. Przeciętny kierowca w Waszyngtonie spędza w korkach siedemdziesiąt godzin rocznie. To prawie trzy dni stania w miejscu! Na takie korki giganty automat to idealne rozwiązanie. Ale samochód z automatyczną skrzynią biegów spala od pięciu do piętnastu procent paliwa więcej niż auto ze skrzynią manualną.

Argument drugi to wielkość samochodów. Tu muszę przyznać się ze wstydem, że jadąc do Ameryki, miałem pewne chłopięce marzenie, które postanowiłem spełnić za wszelką cenę, nawet przy oporze Oli. Jej sprzeciw wynikał z rozsądku i trzeźwego myślenia, mój upór z braku tych zacnych cech. I tak oto w maju 2008 roku kupiłem wielką amerykańską furę. Chevrolet suburban to największe coś, co robią na amerykańskim rynku samochodowym. Auto ma trzy rzędy siedzeń, mieści dziewięć osób, a przy tym wszystkim ma ogromny bagażnik. Wymiary? Proszę bardzo, dwa metry wysokości i blisko sześć metrów długości!

Ola na suburbana mówi „autobus” albo „czołg”, ale sama przyznaje, że tego kolosa prowadzi się

jednym palcem. To właśnie tym autem przejechaliśmy z przyjaciółmi trasę od Waszyngtonu, przez Nową Anglię, Montreal, aż po kanadyjskie Vancouver na zachodnim wybrzeżu i z powrotem do Waszyngtonu. Wyszło nam kilkanaście tysięcy kilometrów!

Dlaczego piszę o suburbanie w kontekście paliwa? Z jednego prostego powodu. Dlatego, że chcę teraz wszem wobec zadać pytanie konkursowe. Jaką pojemność silnika ma największe auto osobowe świata? Lutownicę wygrał ten, kto powiedział: „od 5,3 do 6,2 litra”. Nasz „czołg” jest największy, ale to nie jedyny duży samochód. Inne auta rodzinne, bo za takie uchodzi suburban, mają niewiele mniejsze silniki. A zatem spalają ponad dwadzieścia litrów na sto kilometrów w jeździe miejskiej. Ze łzami w oczach wspominam naszego polskiego diesla, który miał średnie spalanie na poziomie sześciu litrów ropy na setkę. Z takiego punktu widzenia jazda po Polsce to taniocza.

Wreszcie argument trzeci, czyli odległość z punktu A do punktu B. Wrony według amerykańskich standardów mieszkają prawie w centrum Waszyngtonu, bo z naszego Falls Church do centrum stolicy mamy zaledwie piętnaście kilometrów. Ale nasz kolega, który mieszka na północ od Baltimore w stanie Maryland, do Waszyngtonu ma jakieś osiemdziesiąt kilometrów i za każdym razem przekonuje nas, że to wcale nie jest daleko. Z okolic Baltimore i Richmond w stanie Wirginia do Waszyngtonu codziennie dojeżdżają setki tysięcy ludzi, którzy pracują w stolicy. Spora część z nich ma ponad sto kilometrów do pracy!

Gigantyczne odległości Amerykanie mają do pokonania w każdej części kraju. Sama aglomeracja Los Angeles ma jakieś sto kilometrów długości. Z polskiej perspektywy wydaje się, że z Waszyngtonu do Nowego Jorku jest rzut kamieniem. Ten rzut to trzysta sześćdziesiąt kilometrów, czyli od czterech do pięciu godzin jazdy.

Pamiętam, jak kiedyś odwiedziliśmy jakąś dziurę w Teksasie. Jegomość miejscowy w luźnej rozmowie powiedział, że musi pojechać po papierosy, i poprosił, żebyśmy na niego poczekali, bo zaraz wróci. Wrócił za półtorej godziny. Kiedy z oburzeniem powiedzieliśmy, że to nieładnie kazać na siebie tyle czasu czekać, dzentelmen zrobił wielkie oczy i powiedział, że wrócił „zaraz”, bo po fajki ma czterdzieści minut jazdy w jedną stronę. Jak się okazało, jeszcze ciekawiej ma się odległość, jaką raz na tydzień pokonuje do spożywczaka, bo to prawdziwa wyprawa. Ponad sto pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę.

Niewielu znajomych pozwala mi na przeprowadzenie tak długiego wywodu, który kończy się oczywistym wnioskiem. Mimo że w Polsce paliwo jest znacznie droższe, to w związku z automatycznymi skrzyniami biegów, pojemnością silników i wreszcie odległościami to Amerykanie wydają więcej na dojazdy do pracy lub na zakupy czy za paliwo na weekendowe wypady.

Kilku znajomych z wyraźnym zdenerwowaniem oświadczyło mi, że „nie ma ze mną o czym gadać, bo ta Ameryka przewróciła mi w głowie”, i znajomość się zakończyła.

Inni nie dają za wygraną i z ceny paliwa zręcznie przeskakują na rozmowę o cenie samochodów. To prawda. W Stanach auta są tańsze niż u nas, chyba że mówimy o markach europejskich sprowadzanych z Europy, bo wtedy jest prawie tak samo drogo.

W dobrych czasach, przed wybuchem kryzysu z 2008 roku, gdy dolar kosztował dwa i pół złotego, amerykańskie samochody były dla nas bajecznie tanie. Później wszystko stanęło na głowie, ale ciągle jest dość tanio.

Jeśli ktoś zapragnąłby kupić auto w Stanach, proponuję przejście szybkiego kursu, który pozwoli na zapoznanie się z tym niezwykłym rytuałem.

Każdy samochód u dilerów ma oficjalną fabryczną naklejkę z opisem wyposażenia i proponowaną ceną sprzedaży (MSRP). Drogi kliencie, nigdy, ale to nigdy nie wyjmuj z portfela gotówki czy karty kredytowej i nie płać tej naklejkowej ceny. MSRP to punkt wyjścia, to moment, w którym rozpoczyna się rytualny taniec, siłowanie się na argumenty i fortele. Przeważnie wygrywa diler, ale można dużo ugrać.

Oto, jak wyglądał zakup naszego „czołgu”. Wsparty przez przyjaciela, rodowitego Amerykanina, wybrałem się do największego przedstawicielstwa Chevroleta w okolicy. Powiedziałem, jakie auto mnie interesuje, z jakim wyposażeniem i w jakim kolorze. „Nie ma sprawy, nie mamy tu takiego auta, ale ci sprowadzimy na jutro. Dostaniesz niezły rabat”.

Radosny wróciłem dzień później. Auto było. W innym kolorze i z innym wyposażeniem. Kiedy dałem do zrozumienia, że nie na coś takiego się umawialiśmy, diler ze zdenerwowaniem zaczął kręcić głową i wyliczać, ile kosztowało go sprowadzenie tego auta. Wręcz powiedział, że zrobię mu świństwo, jeśli nie kupię tego samochodu. Nie kupiłem i raz jeszcze, na szczęście znowu przy świadku, powiedziałem, o co mi chodzi.

Dzień później czekało na mnie auto w wymarzonej wersji. Diler podał cenę, którą miałem zapłacić. Przypomniałem mu, że miał być rabat. „Jaki rabat?!?!” – wykrzyknął chłop, po czym ciężko westchnął i... zaczęło się. Kazał mi na karteczce napisać, jaką cenę jestem gotów zapłacić, i złożyć koło tego mój podpis. Z karteczką powędrował do swojego przełożonego. Po kilkunastu minutach wrócił z karteczką, na której szef napisał swoją propozycję, prawie tak wysoką jak cena fabryczna. Bieganie z karteluzkami trwało trzy godziny! Dilerzy biorą cię na przetrzymanie, chcą cię złamać, stosują każdą formę tortury psychicznej znanej ludzkości. Po trzech godzinach mój sprzedawca wykrzyknął, że jeśli nie sprzeda mi tego auta, straci premię, a ma niepracującą żonę i dzieci. Wzruszyłem się. Na szczęście przyjaciel, z którym byłem, szepnął mi na ucho: „Nie daj mu się!”.

Walczyłem dalej. Doszliśmy do spornych dwustu dolarów. Sprzedawca sięgnął po ostatni trik i ze mną wygrał. Wziął piłkę do koszykówki, pokazał mi kosz zawieszony w pomieszczeniu obok i powiedział, że daje mi trzy rzuty osobiste. Jeśli trafię choć raz, opuści mi o te dwieście dolarów. Poddałem się. Poziom absurdu całkowicie mnie przerósł.

Mimo to byłem dumny, że cena, którą zapłaciłem, była o kilka tysięcy dolarów niższa od MSRP, dopiero wiele miesięcy później dowiedziałem się, że mogłem zaoszczędzić znacznie więcej. Mój kolega, znakomity lekarz wyglądający jak mól książkowy, okazał się mistrzem dilerskich negocjacji. Dziś wiem, że kupno auta powinno trwać mniej więcej trzy dni, że kilka razy powinno się wstawać od stołu i grozić wyjściem z salonu samochodowego. Wreszcie, przynajmniej raz powinno się naprawdę wyjść. Nie wolno wtedy wrócić. Trzeba czekać na telefon od sprzedawcy, który ma zaproponować korzystną dla nas ofertę.

Trzy dni kupowania auta to zdecydowanie ponad moje siły, dlatego ostatnie motoryzacyjne marzenie spełniłem dzięki koledze, który postanowił sprzedać swoje cacko.

Na czterdzieste urodziny Ola podarowała mi stellę, śliczną replikę starej vespy z czterobiegową manualną skrzynią i dwusuwowym silnikiem o pojemności stu pięćdziesięciu centymetrów sześciennych. Skuter był wspaniały. Zrobiłem motocyklowe prawo jazdy i cieszyłem się nim przez ponad dwa lata. Jednak z coraz większą zazdrością patrzyłem na współczesnych amerykańskich kowbojów na pięknych, wielkich motocyklach.

Dość szybko przekonałem się, że nigdy nie będzie mnie stać na kupno harleya, nowa maszyna potrafi kosztować nawet trzydzieści osiem tysięcy dolarów! Takiego „wypasa” widziałem w salonie na przedmieściach Bostonu. Ja miałem cztery tysiące i ani centa więcej. Wtedy kolega, z którym niegdyś pracowałem w jednej firmie, oświadczył, że sprzedaje swoją yamahę V star custom, motor jak z bajki, z wielkim silnikiem o pojemności tysiąca stu centymetrów sześciennych.

Bez kłótni, gierki i szaleństw przeprowadziliśmy transakcję. Na początku rozsądek podpowiadał Oli, że powinna się trzymać jak najdalej od tego potwora, ale dość szybko wsiadła na maszynę razem ze mną. Jeździmy od czasu do czasu. To zupełnie inna przyjemność niż w Polsce. W Stanach nie ma tych bzykających na każdym kroku ścigaczy. Na motorze jedzie się spokojnie i dostojnie.

Trwający od 2008 roku kryzys sprawia, że w Ameryce można trafić na świetną okazję tak jak w przypadku naszego motoru. Niestety, przez kryzys coraz gorzej sprzedają się wielkie auta. Od wielu

miesiący usiłujemy sprzedać „czołg”, bo jest dla nas za wielki, a ja wyleczyłem się z marzeń o największych amerykańskich furach.

Mimo że „mamy takie tanie paliwo”, Amerykanie liczą i wyliczają, że trzeba się przesiadać na małe autka, z których do tej pory się wyśmiewali. Wielu ludzi nadal nie może się otrząsnąć z szoku, jakim jest widok Fiatów na amerykańskich ulicach. Tu naprawdę jazda autem, mimo że ceny paliwa są wciąż niższe niż w Europie, staje się coraz droższym przedsięwzięciem.

Nie chcę się chwalić, a może właśnie bardzo chcę?... W każdym razie jestem dumnym posiadaczem Srebrnego i Złotego Medalu za Zasługi dla Policji. Z polskimi policjantami spędziłem setki godzin w radiowozach w czasach Radia Kraków i RMF, a później w „Faktach” i przy „Pod Napięciem” zrobiliśmy razem mnóstwo relacji i programów. Czasem miłych dla policji, a czasem powodujących, że przy zatrzymaniu na drodze dostawałem maksymalny mandat i maksymalną liczbę punktów karnych. Tak czy inaczej, zawsze dobrze się czułem w towarzystwie gliniarzy i dlatego zaraz po przyjeździe do Stanów zacząłem obserwować sobie amerykańską policję.

Różnice w podejściu Amerykanów do obywateli w mundurach najlepiej pokazuje zatrzymanie osobnika prowadzącego samochód. Pewnie trochę się to już zmieniło, ale w Polsce kierowca wydobywa się z samochodu, podchodzi do policjanta i słowem oraz gestem zaczyna tłumaczyć: „Panie władzo, nic się nie stało, nie przekroczyłem prędkości, no co pan... A może się jakoś dogadamy?”.

Stany Zjednoczone na wszystko mają procedury, swoją drogą, procedury kiedyś zjedzą ten kraj. Książkowe zatrzymanie wygląda tak – w pewnej chwili w lusterku wstecznym widzisz koguty radiowozu, przez głośniki pada hasło: „Proszę zjechać na pobocze!”. Zjeżdżasz, wyłączasz silnik, wyłączasz radio, dowód rejestracyjny i prawo jazdy kładziesz na desce nad kierownicą, otwierasz okno od strony kierowcy, ręce kładziesz na kierownicy i nieruchomo czekasz na oficera. To nie przejęzyczenie, tutaj każdy policjant to „oficer”.

Wieki temu znajoma była w Ameryce na wakacjach. Zatrzymuje ją radiowóz policyjny, a ona po polsku gramoli się z samochodu. Pada komenda: „natychmiast wrócić do auta!”, a ona swoje, podchodzi do policjanta i... kilka sekund później leży na jezdni twarzą do ziemi zakuta w kajdanki. Policyjna brutalność? Można oczywiście tłumaczyć to również w ten sposób, ale ja się z tym nie zgadzam.

Tylko w 2011 roku w Stanach Zjednoczonych zostało zastrzelonych sześćdziesięciu siedmiu policjantów. W wielu amerykańskich stanach każdy bez większego problemu może sobie legalnie kupić broń. W naszej Wirginii wystarczy skończyć osiemnaście lat, żeby kupić karabin myśliwski albo shotgun. Na prawo do kupna pistoletu albo rewolweru delikwent musi poczekać do skończenia dwudziestu jeden lat.

Procedura zakupu broni jest komicznie prosta. Właściciel sklepu rusznikarskiego w internecie sprawdza niekaralność klienta, trwa to kilka minut i kosztuje dwa dolary. I tyle. Zakupioną broń trzeba nosić w widocznym miejscu. Na noszenie ukrytego pistoletu trzeba mieć specjalne pozwolenie, które dostaje się po ukończeniu jednodniowego kursu i wpłaceniu nieco ponad stu dolarów.

Dlaczego to wszystko piszę? Ano dlatego, że każdy interweniujący policjant musi tu zakładać, że zatrzymywany przez niego osobnik ma albo może mieć broń. Tu nawet małe dzieci na farmach uczy się strzelać. Pamiętajcie, jak Sarah Palin mówiła, że potrafi strzelać od dziecka i że jeździ na polowania? To najszczerza prawda. Tradycja kowbojska w Ameryce żyje i ma się dobrze.

Dlatego w Stanach z policją nie ma co żartować i każde polecenie oficera wypełnia się tu bez najmniejszego gadania. To prawda, że przez to, jak wielkie uprawnienia mają policjanci, niektórzy twierdzą, że Ameryka staje się państwem policyjnym. Ale nie jest aż tak źle.

W 2008 roku, gdy wracałem z prawyborów w stanie Iowa, pierwszych w prezydenckim wyścigu, który ostatecznie wygrał Barack Obama, na własnej skórze przekonałem się jednak, że jak chcą cię namierzyć i złapać, to na amerykańskich policjantów nie ma mocnych. Spieszyłem się jak cholera na lotnisko w Minneapolis. Z Des Moines, stolicy stanu Iowa, to równo cztery godziny jazdy na północ autostradą międzystanową I-35. Po drodze korki, roboty drogowe, jadąc taką trasą, łatwo spóźnić się na samolot.

W pewnym momencie na poboczu zobaczyłem radiowóz. Błyskawicznie zdjąłem nogę z gazu, zjechałem na prawy pas i stałem się wzorowym kierowcą. A radiowóz jak na złość przyczepił się do mnie. Po chwili wszystko odbyło się zgodnie z instrukcją zatrzymania kierowcy. Policjant pobrał moje dokumenty i oświadczył, że zostałem namierzony ze śmigłowca, że z góry zrobiono mi zdjęcie, a on tylko na mnie czekał, żeby wręczyć mi wezwanie do sądu. Ta przygoda kosztowała mnie sto czterdzieści dolarów, ale teraz wiem, że w Iowa lepiej przestrzegać ograniczeń prędkości.



Z policją nie ma żartów. A gdy w radiowozie włączona jest „dyskoteka”, pozostaje tylko pełna powaga i ciche modlitwy o szybki koniec tego bliskiego spotkania trzeciego stopnia

Kilka lat temu odwiedzili nas moi rodzice. Tata gorzej się poczuł, aż w końcu stracił przytomność. Sytuacja była na tyle poważna, że wezwaliśmy pogotowie. Najpierw przyjechał wóz straży pożarnej z załogą ogniową, a chwilę później karetka. Tu słowo wyjaśnienia. W skład straży pożarnej wchodzi karetki pogotowia, a ponieważ wozów gaśniczych jest więcej niż karetek, po wezwaniu pogotowia w domu masz najpierw strażaków, którzy są również przeszkolonymi paramedykami, a dopiero po chwili pojawia się załoga karetki.

Sanitariusze, tu w karetce nigdy nie ma lekarza, zdecydowali, że tatę trzeba szybko przewieźć do szpitala, najkrótsza droga prowadziła przez odcinek drogi objętej restrykcjami HOV (*high-occupancy vehicle lane*). Niektóre z głównych arterii w godzinach szczytu objęte są przepisami nakazującymi, że w samochodzie musi być przynajmniej dwóch lub trzech delikwentów. Wszystko po to, by było mniej korków i by ludzie dogadywali się z sąsiadami na wspólne dojeżdżanie do pracy.

Pognałem za karetką z tatą do szpitala i wpadłem sam w aucie na odcinek HOV. Natychmiast zatrzymał mnie policjant. Tłumaczyłem, że tata nie mówi po angielsku, że jest źle, że natychmiast muszę być w szpitalu... Nic nie pomogło i zostałem ukarany.

Dostałem wezwanie na rozprawę do sądu, a oficer King powiedział: „Jeśli to, co mi teraz mówisz, jest prawdą, weź kopię dokumentów taty ze szpitala i widzimy się w sądzie”. Tu policjant nie wystawia mandatu, dostajesz zawsze wezwanie na rozprawę. Masz dwa wyjścia. Możesz od razu

przyznać się do winy i wysłać czek, żeby zapłacić ustawową karę za to, o co oskarża cię policjant. Jeśli chcesz dochodzić swoich racji, odbywa się pełny proces.

Zatem zameldowałem się w sądzie, przyszedł policjant King i jak w filmach z podniesioną ręką wyrecytowałem, że będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Zaczęło się. Spore przeżycie, ale doświadczenie jedyne w swoim rodzaju. Sędzia ostatecznie mnie uniewinniła, a oficer King zapytał, jak czuje się tata. Niniejszym oświadczam, że tata ma się dobrze i daj Boże każdemu takie zdrowie.

To, jak zachował się policjant King po rozprawie, to kolejna prawda o amerykańskich policjantach. Ich hasło przewodnie brzmi: „Służyć i chronić”. Jeśli nie narozrabiałeś, a masz jakiś problem i potrzebujesz pomocy, idziesz do najbliższego policjanta. Jeśli on nie potrafi ci pomóc, na przykład wskazać drogi do miejsca, którego szukasz, zapyta dyspozytora albo wezwie na pomoc kolegę. To się dzieje naprawdę, policjanci są po to, żeby pomagać.

Dlatego też są chronieni w wyjątkowy sposób. W Kalifornii za napaść na policjanta w zależności od stopnia użytej przemocy można trafić do więzienia na okres od roku do – w przypadku recydywy – nawet dwudziestu pięciu lat. To kolejny powód, dla którego nikomu przy zdrowych zmysłach nawet nie przychodzą do głowy pomysły na przepychanki z policjantami. Polecenie policjanta trzeba wykonać i basta.

Po śmierci Michaela Jacksona przy jego gwieździe na bulwarze Hollywood w Los Angeles gromadziły się setki fanów. Jedna z wielbicielki Jacksona zemdliała. Do materiału o fanach potrzebne nam były zdjęcia pokazujące ten incydent. Marcin Wyszogrodzki dzielnie wszystko filmował, gdy usłyszał: „Wyłącz kamerę i odejdź!”. Chciał skończyć ujęcie, potrzebował jeszcze kilkunastu sekund. Policjant spokojnie oświadczył, że to jest ostatnie ostrzeżenie, że za chwilę zakuje Marcina w kajdanki i odwiezie go do aresztu. Takich ostrzeżeń się w Ameryce słucha.

Kolejny przykład, też z Hollywood. Była noc gali oscarowej 2012. Przed hotelem, w którym mieszkała ekipa twórców filmu *W ciemności*, czekaliśmy na powrót Agnieszki Holland z ceremonii. Niestety, ludzie odpowiedzialni za organizację obsługi medialnej tego wydarzenia nie przewidzieli, że na panią Agnieszkę będą czekać wszyscy polscy dziennikarze akredytowani przy uroczystości. Zrobiło się spore zamieszanie, menedżer hotelu wyrzucił nas bezceremonialnie z lobby na ulicę. Później okazało się, że blokujemy wejście do hotelu, interweniowała ochrona, było już bardzo nieprzyjemnie. Po chwili menedżer wymyślił sobie, że nie wolno nam też stać na chodniku przed hotelem. Mówimy tu chyba o pięciu ekipach telewizyjnych i dwóch radiowych.

Wreszcie padło hasło, którego w Ameryce boją się wszyscy: „Jeśli nie odejdziecie, wzywam policję!”. „A niech pan sobie wzywa” – odparłem, myśląc szybko o wolności słowa, równym dostępie do informacji, naszych mocnych, „federalnych” akredytacjach i różnych innych historiach, które jak sądziłem, gwarantują nam swobodę wykonywania pracy.

Po kilku minutach przyjechał jeden radiowóz, pierwszego policjanta przekonałem do naszych racji. Menedżer znowu wezwał policję, tym razem przyjechały trzy radiowozy, uznano mnie za przedstawiciela grupy, wręcz za jakiegoś prowodyra i dowódca policjantów powiedział, że jeśli wszyscy nie przejdą na drugą stronę ulicy, to ja zostanę aresztowany. Słowna przepychanka trwała dobre kilka minut, atmosfera gęstniała, facet oświadczył, że rozpoczyna procedurę zatrzymania... Niestety, musieliśmy się poddać. Policja ustaliła granicę, której nie wolno było nam przekraczać.

Dlatego we wszystkich pooskarowych relacjach telewizyjnych widać było, jak Agnieszka Holland przemierza kilometry, żeby dotrzeć do polskich dziennikarzy.

To nie był pierwszy przypadek, kiedy w Ameryce groził mi areszt. Chyba jeszcze nie dojrzałem do tego, żeby z detalami opowiedzieć tę historię. Powiem tylko, że było to dawno temu, że chodziło o bardzo szybką jazdę samochodem i że nikt nie miał pieniędzy na kaucję, żeby wykupić mnie z więzienia... W ostateczności cudem się udało i nigdy, odpukać!, nie patrzyłem na świat z za krat.

Ameryka kocha swoich żołnierzy. Kropka. Kocha ich do szaleństwa. Każdy żołnierz to bohater, każdemu należy się szacunek, każdy to symbol amerykańskiego patriotyzmu. To nie są tylko słowa i puste gesty.

Przykład pierwszy. Na lotnisku, powiedzmy w Charlotte w Karolinie Północnej, gdzie z całego kraju zlatują się samoloty US Airways, rozpoczyna się procedura wpuszczania pasażerów na pokład. W Europie pierwsi wchodzą szczęśliwcy z klasy biznes, później często latający „srebrni” bądź „złoci” członkowie programów „Frequent Flyer”, a na końcu cała reszta, czyli znakomita większość z nas.

Tak dzieje się w Europie, ale nie w Ameryce. W Stanach zaraz na początku pada hasło: „Na pokład zapraszamy naszych żołnierzy, którzy podróżują w mundurach”.

I jak na komendę tłum pasażerów rozstępuje się, przepuszczając do wejścia poklepywanych po plecach, nieco zakłopotanych żołnierzy. Dopiero później wszystko odbywa się podobnie jak w Europie.

To nie koniec okazywania szacunku młodym bohaterom. Na pokładzie często kapitan samolotu albo szef pokładu dziękuje podróżującym żołnierzom, że walczą o to, by przeciętny Amerykanin cieszył się wolnością. Rozlegają się spontaniczne brawa i pokrzykiwania. Tu nie ma żadnej reżyserii, żadnego udawania.

Skoro już jesteśmy na lotnisku, to przykład drugi. Młody żołnierz w barze zamawia kanapkę, hamburgera czy pizzę. Podchodzi nieznajomy, wyjmuje mu z rąk rachunek, dziękuje za służbę dla Ameryki i prosi o pozwolenie zapłacenia rachunku. Widziałem to wielokrotnie.

Wreszcie przykład trzeci. Jim, nasz sąsiad, to żonaty mężczyzna po trzydziestce. Jest rezerwistą. Dostaje wezwanie do odbycia rocznej służby, ma lecieć do Afryki. Wyobrażamy sobie, jak ciężkim wyzwaniem będzie to dla jego żony i dwuletniego synka. I tu zaskoczenie. Żona jest dumna, że Jim będzie bronił Ameryki.

Z gratulacjami przychodzą sąsiedzi, Jim jest bohaterem. Nasze małe osiedle obiecuje żonie bohatera pomoc i wsparcie. Wszyscy się cieszą, że mają tak wspaniałego sąsiada-patriotę.

Przez prawie całą ostatnią dekadę Ameryka prowadziła dwie wojny. W Iraku i Afganistanie ginęły tysiące żołnierzy, jeszcze więcej wracało do domu z ciężkimi okaleczeniami. Na każdym kroku weteranom towarzyszy tu ogromny, nieudawany szacunek. Na większości pogrzebów żołnierzy, którzy zginęli na wojnie, pojawiają się Jeźdźcy Gwardii Patriotycznej. Gwardia to twardzi motocykliści w skórzanych kurtkach z bandanami na głowach, którzy w swojej misji mają zapisane dwie zasady: okazywać szacunek bohaterom, którzy zginęli, ich rodzinom i społecznościom oraz chronić cierpiące rodziny i przyjaciół przed ewentualnymi demonstrantami.

Ta druga zasada w kraju kochającym żołnierzy brzmi dziwnie, ale jak to w Ameryce bywa, wszystko jest tu możliwe. Istnieje tu mianowicie Kościół, którego misją jest głośne protestowanie na pogrzebach amerykańskich żołnierzy. Westboro Baptist Church ze swoim przywódcą Fredem Phelpssem twierdzi, że wojny, w których giną amerykańscy żołnierze, to boska kara za homoseksualizm.



„Stoi wojak na warcie, na warcie”, ale służba zadbała, żeby z pragnienia nie usechł

Logikę znaleźć tu dość trudno, zwłaszcza gdy przyjrzymy się transparentom wiernych, na których dziękują Bogu za ataki na World Trade Center z 11 września 2001 roku bądź za miny pułapki w Afganistanie. Nic dziwnego, że twardzi motocykliści nie wytrzymali i zorganizowali swoją Gwardię Patriotyczną.

Gdy pod koniec 2011 roku Ameryka kończyła wojnę w Iraku, stacje telewizyjne prześcigały się w produkowaniu coraz to większych patriotycznych wyciskaczy łez. Wzruszające historie ojców wracających do płaczących dzieci walczyły z opowieściami o powrotach ukochanych do narzeczonych w ciąży. Wyglądało to na sztuczne podbijanie patriotycznego bębena.

W grudniu roku 2011 z ekipą „Faktów” TVN pojechaliśmy do El Paso w Teksasie. El Paso to nieciekawe sześciusettyśięczne miasto, które przez rzekę Rio Grande graniczy z meksykańskim Ciudad Juarez. Gdy mówisz przeciętnemu Amerykaninowi, że jedziesz do El Paso, ze zdziwieniem pyta: „Dlaczego?”.

My mieliśmy powód. Na obrzeżach miasta jest gigantyczna baza wojskowa Fort Bliss, ma cztery tysiące czterysta kilometrów kwadratowych i rozciąga się na obszarze stanów Teksas i Nowy Meksyk.

Do Fort Bliss przylatywały samoloty z żołnierzami wracającymi z Iraku. Dopiero na miejscu przekonaliśmy się na własne oczy, że w tych „patriotycznych wyciskaczach łez” nie było nic sztucznego. Żołnierze w pełnym rynsztunku wychodzili z samolotu na płytę parkingową lotniska. Przechodzili koło wiwatujących rodzin, ale to nie był jeszcze czas na powitania. W jednym z hangarów lotniska oddział zdawał broń, amunicję, radiostacje i cały osprzęt. I dopiero wtedy wszyscy ustawiali się czwórkami i w szyku maszerowali do hali, gdzie czekały rodziny. Wszystkiemu towarzyszył ogłuszający ostry rock i kłęby dymu. Łzy szczęścia lały się strumieniami. Pamiętam czarnoskórą Amerykankę, która z maleńkim, dwumiesięcznym synkiem czekała na męża, on dziecka jeszcze nigdy nie widział.

Nic dziwnego, że amerykańscy politycy starają się wykorzystać tę miłość do wojska. Każdy kandydat na senatora czy tym bardziej na prezydenta musi pokazywać, jak bardzo szanuje żołnierzy. Barack Obama przez wojskowych nie jest kochany, drastycznie zredukował budżet obronny i zmniejszyła amerykańską armię. Jeden z od dawna emerytowanych weteranów Seals Team Six, elitarnego oddziału, który zabił Osamę Bin Ladena, powiedział nawet, że Obama to najmniej lubiany

głównodowodzący armii i floty Stanów Zjednoczonych, jakiego pamięta. Stwierdzenie dość radykalne, ale być może dlatego specjaliści od PR z Białego Domu zadbali o to, abyśmy dowiedzieli się, z jaką odwagą prezydent podejmował decyzję o ataku na siedzibę Bin Ladena czy na obóz porywaczy, którzy w Somalii uprowadzili Amerykankę i Duńczyka. Przypadkowo do tej ostatniej akcji doszło w momencie, gdy prezydent Obama wygłaszał w styczniu 2012 swoje ostatnie orędzie o stanie państwa.

Pierwsza Dama też wpisuje się w ten obraz troski o amerykańskich żołnierzy i ich rodziny. Michelle Obama razem z Jill Biden, żoną wiceprezydenta, prowadzą kampanię na rzecz pomocy rodzinom weteranów. Bo wszyscy wiedzą, że polityk w Stanach nie ma co liczyć na głosy wyborców, jeśli nie będzie kochał i wspierał żołnierzy.

Na marginesie tej powszechnej miłości do amerykańskich bohaterów w oczy kole ponura statystyka. Każdej nocy na ulicach amerykańskich miast śpi od siedemdziesięciu pięciu do stu dziewięćdziesięciu tysięcy bezdomnych weteranów. Tę pierwszą liczbę podają oficjalne źródła rządowe, druga została opublikowana w 2005 roku w gazecie „USA Today”. Bez względu na to, która jest bliższa prawdy, otwartym tekstem mówi się o dziesiątkach tysięcy bezdomnych żołnierzy.

W samym centrum Bostonu, w kilkupiętrowym opuszczonym budynku przed kilku laty powstało schronisko dla bezdomnych weteranów. Wielu zmaga się z zespołem stresu pourazowego, czyli ze skutkami tego, co widzieli i co przeżyli na wojnie. Mają problemy z alkoholem, narkotykami, wielu się samookalecza. Pamiętam starego weterana wojny w Wietnamie. Mówił, że gdy wrócił z wojny, lewicowi demonstranci witali go jak mordercę, pluli na niego. Sięgnął po alkohol, potem zaczęły się kradzieże i wreszcie napady na banki. Teraz nie ma nic i mieszka na piętrowym łóżku w schronisku w mroźnym Bostonie.

Obraz tych wyniszczonych weteranów wyrzuconych na margines życia zapada głęboko w pamięć. Trudno pozbyć się go nawet w miejscu tak niezwykłym jak Parris Island, osławiona baza wojskowa w Karolinie Południowej, gdzie tworzy się amerykańskich marines. Wojsko specjalnie używa słowa „tworzy”, bo w kadecie miejsce osobowości cywila zajmuje nowo stworzony żołnierz.

Parris Island to przedsionek piekła, mordercze szkolenie wytrzymują tylko najtwardsi, a rekruci zgłaszają się tu, bo chcą być elitą amerykańskiego wojska. Instruktorzy Korpusu Marines wydzierają się na rekrutów od rana do rana. Są specjalnie szkoleni, żeby krzyczeć w taki sposób, by nie zedrzeć sobie strun głosowych. Rekruci nie mogą kontaktować się ze światem zewnętrznym, nie mogą mieć żadnych prywatnych przedmiotów oprócz Biblii, co więcej, nie wolno im używać ich własnych imion. Mogą mówić o sobie, używając tylko zwrotu „Ten rekrut...”. Mimo morderczego szkolenia Korpus Marines nie narzeka na brak chętnych, bo marines to duma Ameryki, a młodzi ludzie chcą być dumnymi patriotami.

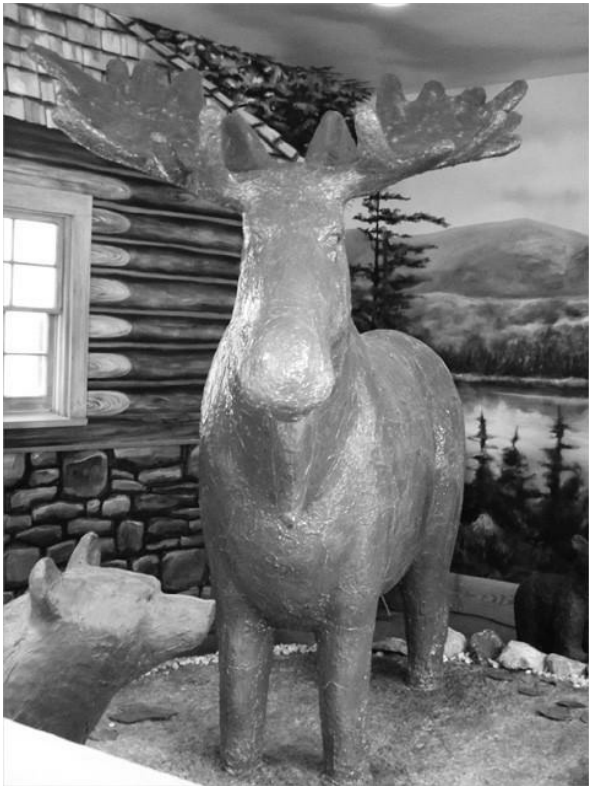
Wojsko daje też szansę na budowę solidnej przyszłości. Armia zapewnia mieszkanie albo ryczałt na wynajem domu, zapewnia opiekę zdrowotną, zakupy w tanich sklepach w bazach wojskowych i wreszcie, co dla wielu jest najważniejsze, po odbyciu służby kontraktowej rząd płaci za koledź weterana. Wielu żołnierzy przyznaje, że idzie do wojska i na wojnie ryzykuje życiem, bo to jedyna szansa na zdobycie wykształcenia, które w Ameryce kosztuje kosmiczne pieniądze.

A poza tym Amerykanie kochają wojsko, bo i tu za mundurem panny sznurem.

Wędrowanie po Ameryce daje jedną gwarancję: jeśli dobrze się postarasz, znajdziesz cuda i dziwy, o jakich nie śniło ci się w najdziwniejszych nawet snach. Bo Amerykanie wychodzą z prostego założenia – nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli coś chcesz zrobić, to na pewno ci się uda, choć oczywiście często się nie udaje. Ale jeśli się uda, to przedsięwzięcie przyniesie sławę i pieniądze, a przecież o to chodzi w spełnianiu słynnego *american dream*, czyli amerykańskiego snu.

Tak właśnie narodził się nasz łoś. Znaleźliśmy go latem 2011 roku, kiedy to wesołą czereďą razem z dziećmi i pewną spokrewnioną młodą niewiastą z Polski, która nas odwiedziła, podróżowaliśmy po pięknym, ogromnym stanie Maine na północy Nowej Anglii. Stan graniczy z Kanadą, jest trochę zimnawy, ale cudny i bardzo dziki.

Łoś ma na imię Lenny, mieszka w sklepie ze słodyczami w maleńkim miasteczku Scarborough koło Portland i... jest zrobiony z czekolady! Drugiego takiego nie ma na całym świecie. Niektóre źródła twierdzą nawet, że Lenny jest największą zwierzęcą czekoladową rzeźbą stworzoną przez człowieka. Ze zwierzęciem są dwa zasadnicze problemy. Po pierwsze, dzieło zostało ukończone i odsłonięte w lipcu 1997 roku, czyli czekolada pierwszej świeżości raczej już nie jest. Po drugie, łoś jest narażony na przegrzanie i roztopienie się. Dlatego w sklepie Len Libby Candies, zwłaszcza w kacie, który zamieszkuje Lenny, przez cały rok temperatura nie przekracza dwudziestu jeden stopni Celsjusza.



Łoś łośiem, ale co tam robi ten miś? Jeszcze tylko krowy brakuje i będzie scenka ze słynnego kawału „Łoś, po prostu łoś”, którego nie śmiem zacytować

Do stworzenia rzeźby wielkości dorodnego, dorosłego łośia zużyto ponad siedemset siedemdziesiąt kilogramów mlecznej czekolady, którą warstwami nakładano na metalowe rusztowanie. Ocenę

wartości artystycznej dzieła pozostawiamy znawcom, ale prawdą jest, że Lenny robi duże wrażenie, zwłaszcza na dzieciakach, które w sklepie zajadają się jego czekoladowymi miniaturkami.

Choć stan Maine jakoś nie kojarzy się z amerykańską gigantomanią, to okolice Portland wyjątkowo obfitują w rzeczy naj. Sąsiadem czekoladowego łosia jest Indianin. Też wielki. Ma prawie osiem metrów wysokości i wyrasta nagle na poboczu drogi krajowej numer jeden. Nie jest ani ładny, ani szczególnie ciekawy. Natomiast do łez rozbawiła nas nazwa, jaką gigantowi nadali miejscowi – Zaje... Wielki Indianin (*The Big F Indian*). Dzieciom nie wyjaśniliśmy, co nas tak uchachało.

Co ciekawe, zarówno Indianin, jak i łosć przyciągają tłumy turystów, którzy albo się śmieją, albo krytykują, ale zawsze robią zdjęcia i jeśli tylko mogą, kupują pamiątki. Czyli biznes się kręci i przynosi pieniądze. Nic dziwnego, że nie trzeba było długo czekać, żeby w okolicy pojawiła się kolejna megaatrakcja. W miasteczku Yarmouth jest sobie firma kartograficzna DeLorme. Robią mapy, opracowują rozwiązania GPS i mają swoją własną Ziemię.



Zaje... Wielki Indianin z zaje... wielką dzidą na dodatek. I bez kudłatych skojarzeń proszę!

Ich Ziemia od 1999 roku jest w Księdze Rekordów Guinnessa jako największy globus na świecie. Ma prawie trzysta metrów wysokości, a skomplikowany mechanizm pilnuje, żeby makieta wykonywała dokładnie takie same ruchy jak nasza planeta. Gdy staliśmy na balkonie, z którego z góry można podziwiać globus, poczuliśmy w sercach dumę. Wreszcie na amerykańskiej mapie/globusie jasno i wyraźnie było widać Polskę. Chyba dostrzegliśmy nawet Kraków i Warszawę. Duma była jeszcze większa, gdy podszedł do nas mężczyzna sprzątający, imigrant z Afganistanu, i zapytał, czy jesteśmy z Polski, bo jego znajomi byli, widzieli i mówią, że to piękny kraj.

Imię żeńskie Lucy w amerykańskiej i światowej popkulturze doczekało się wielu artystycznych wcieleń. Jest LSD, czyli *Lucy in the Sky with Diamonds* zespołu The Beatles, jest *I Love Lucy* (*Kocham Lucy*) – jeden z najlepszych seriali komediowych wszech czasów, który zaczęto kręcić w 1951 roku! No i jest też Lucy, która nam zapałała dech w piersiach. Bo jak inaczej zareagować na dom w kształcie słońca?



Śmiało można stwierdzić: „Zaje... wielki słoń z zaje... wielką trąbą :-)”. Tu obędzie się bez skojarzeń, bo słoń to ona

Lucy jest prawdziwym domem z pokojami, łazienką i przepięknym widokiem na ocean. Słonisko, które za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wybudowano w 1881 roku, na warunki amerykańskie to prawie prehistoria, stoi sobie w miasteczku Margate w stanie New Jersey. Niezwykły jest zwłaszcza widok z oka Lucy. Przez to oko-okno widać śliczną nadatlantycką plażę z nie zawsze ślicznymi plażowniczkami i plażowiczami. Dzieciaki szczególnie ubawiło podogonowe wejście do Lucy, bo słonice atakuje się od strony zadniej.

Aż strach pomyśleć, że w połowie dwudziestego wieku Lucy powoli zaczęła popadać w ruinę i jakiś geniusz postanowił sprzedać ziemię, na której stała, pod budowę apartamentowców. Na szczęście znaleźli się dobrzy ludzie i uratowali słonice. W 1970 roku przewieziono ją w miejsce, gdzie stoi do dziś, i po remoncie kosztującym sto dwadzieścia cztery tysiące dolarów (o sto tysięcy więcej niż koszt budowy!) w 1974 roku Lucy ponownie otwarto dla turystów.

Były łosie, słonie i Indianie, to teraz czas na kukurydziany pałac. Wrony dotarły również tam, do miasteczka Mitchell w Południowej Dakocie. Podobnie jak w przypadku Lucy pomysł narodził się pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy Amerykanie głęboko wierzyli, że nie ma żadnych granic i wszystko, dosłownie wszystko, można zrobić.

W 1892 roku miasteczko miało zaledwie dwanaście lat i trzy tysiące mieszkańców. Ktoś wpadł na pomysł zbudowania Jedynego na Świecie Pałacu z Kukurydzy – to oficjalna nazwa budowli. Dlaczego kukurydza? To proste, obydwie Dakoty, Południowa i Północna, to stany rolnicze, a kukurydza dla Amerykanów jest tym, czym dla nas ziemniaki i zboża. Zamiast mąki ziemniaczanej jest tu krochmal kukurydziany, często mączki z kukurydzy używa się do pieczenia, na przykład do wypieku chleba kukurydzianego, za którym nie przepadamy. Zatem kukurydza rządzi i dlatego zbudowano jej taki pomnik.

Pałac to zwykły murowany budynek. Każdego roku po zbiorach kukurydzy cały, cały! budynek jest oklejany kolbami równo przyciętej, kolorowej kukurydzy. Każdego roku kukurydza tworzy inny wzór. A w środku można zobaczyć film o historii pałacu, najeść się gotowanej kukurydzy i kupić kukurydziany dżem.

Wrony nie byłyby wronami, gdyby szybko nie skrobnęły jeszcze czegoś o ptactwie, a właściwie

o ptasim Empire State Building. Z ekipą „Faktów” TVN pewnego czerwcowego poranka dotarliśmy do małego miasteczka albo średniej wioski na zachodzie stanu Illinois. Griggsville byłoby zapewne jednym z wielu podupadających miasteczek środkowego zachodu, gdyby nie jaskółki, a w zasadzie, gdyby nie komary.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku miejscinę męczyła plaga krwiożerczych insektów. Komarów było tak dużo, że w Griggsville nie dało się żyć. I wtedy na genialny pomysł wpadł miejscowy biznesmen J.L. Wade, który najpierw do miasta ściągnął jaskółczaka modrego (to krewny naszej jaskółki), a później w swojej fabryczce zaczął budować domki dla wyżej wymienionego. Jaskółczak to takie bydlę, które dziennie potrafi zjeść nawet dwa tysiące komarów. Zatem ptaków było coraz więcej, a komarów trochę mniej, trochę, bo nadal w miasteczku jest ich sporo. Dziś na jednego mieszkańca przypada tu przynajmniej jeden ptak, czyli jednych i drugich jest po tysiąc trzysta.

I tak powoli Griggsville stało się Światową Stolicą Jaskółczaka. J.L. Wade poszedł za ciosem i pod koniec lat sześćdziesiątych w miasteczku wybudował jego największą i nie ukrywajmy, jedyną atrakcję turystyczną. Ptasie Empire State Building ma ponad dwadzieścia jeden metrów wysokości, szczytową część konstrukcji montowano przy użyciu śmigłowca, a na wieży są łącznie pięćset sześćdziesiąt dwa apartamenty dla jaskółczaków – każda budka ma jakieś dwanaście apartamentów.

Kryzys, globalizacja i te wszystkie złe słowa fatalnie wpłynęły na miasteczko. Biznesmen sprzedał fabrykę. Kupił ją wielki koncern. Fabryczka została zamknięta, a maszyny z Griggsville robią teraz ptasie budki w wielkich zakładach w Chicago. Ale miejscowi nie dają za wygraną. Od 2011 roku organizują Światowy Festiwal Jaskółczaka Modrego.

Jak widać, Amerykanie łatwo się nie poddają, a mają kraj, w którym na każdym kroku aż roi się od atrakcji z cyklu „tylko w Ameryce...”.

Z Michaela Jacksona wszyscy trochę się nabijaliśmy, trochę mu współczuliśmy i bardzo dziwiliśmy się jego rodzinie, że spokojnie patrzy, jak Król Popu pogrąża się w coraz większym szaleństwie. Ale Jackson w moim życiu, mimo że wychowałem się na muzyce heavymetalowej, był zawsze. Tak jak zapewne był częścią życia nastolatków lat osiemdziesiątych.

Ten przydługi wstęp to po to, by wyjaśnić totalne zawodowo-prywatne pomieszanie, które nastąpiło około godziny siedemnastej czasu wschodnioamerykańskiego 25 czerwca 2009 roku. Jechałem na spotkanie z przyjaciółmi, gdy waszyngtońskie radio WTOP podało informację, że Jackson w stanie ciężkim trafił do szpitala. Wymieniliśmy jeszcze SMS-y z Anią Czerwińską z redakcji zagranicznej „Faktów”, a później świat oszalał. Najpierw portal TMZ, najlepiej poinformowane źródło plotek i ploteczek w Hollywood, a później wszyscy podali jedną z najbardziej szokujących informacji ostatnich lat. Król nie żyje!

W Polsce dochodziła północ. Postawiliśmy na nogi naszego szefa i w pięć minut mieliśmy wszystkie potrzebne decyzje. Lecimy do Los Angeles. Nieważne, jak, i nieważne, ile to będzie kosztowało, ale musimy być w Hollywood na następne wydanie „Faktów”. Z trzech waszyngtońskich lotnisk odlatywał jeszcze tylko jeden samolot do Los Angeles, bilety kosztowały majątek, ale udało się.

Prosto z lotniska LAX pojechaliśmy do szpitala, w którym usiłowano reanimować Jacksona i gdzie jego brat poinformował świat i osłupiałych fanów, że piosenkarz nie żyje. I tam przekonaliśmy się po raz pierwszy i nie ostatni, jak wiele Jackson znaczył dla nas, dla Polaków. Wśród kilkunastu osób, które w środku nocy wciąż stały przed szpitalem, był polski student szkoły aktorskiej z Los Angeles. Przyszedł, bo poczuł, że śmierć Jacksona dotknęła go osobiście.

Między Warszawą a Los Angeles jest dziewięć godzin różnicy czasu. To oznacza, że „Fakty” mają emisję o dziesiątej rano, co z kolei dla polskiego reportera oznacza pisanie tekstu, montaż i wysyłanie relacji w nocy oraz wejście „na żywo” o dziesiątej.

Właśnie wtedy z moim operatorem Marcinem Wyszogrodzkim przed domem, w którym zmarł Jackson, zobaczyliśmy zapowiedź tego, co później okazało się wielotygodniowym medialnym szaleństwem. Ulicę z każdej strony zamykały policyjne radiowozy, a przed samym domem dziesiątki kamer, wozy transmisyjne i reporterzy informujący świat we wszystkich językach o śmierci gwiazdora. Fani przynosili coraz więcej kwiatów, świeczek, baloników i listów pisanych do Króla. A wśród fanów znowu nasi. Spotkaliśmy rodzinę imigrantów z kraju, którzy w Kalifornii byli na wakacjach i zapalając świeczkę, chcieli pożegnać się z Michaeliem.

Te pierwsze chwile, pierwsze dni po śmierci były jeszcze w miarę spokojne, ale później, głównie dzięki rodzinie Jacksona, rozpętało się prawdziwe piekło. Rodzina zrobiła istny cyrk z wyborem daty i miejsca pogrzebu, mijały dni, a oni nie mogli podjąć żadnej decyzji. A jak wiadomo, dziennikarze muszą o czymś mówić. Zatem amerykańskie media zaczęły spekulować i grzebać w przeszłości Króla. Dość szybko dowiedzieliśmy się, że Jackson to ciężki narkoman otoczony przez pseudoprzyjaciół, którzy zapewniali mu dostęp do „mleczka” – tak podobno mówił o propofolu, leku używanym tylko przez anestezjologów, tylko podczas operacji i tylko w szpitalu. Dla Jacksona, który cierpiał na bezsenność, był to podstawowy środek nasenny, który w końcu go zabił.

Swoją drogą, to niesamowite, jak całe otoczenie gwiazdora zaczęło robić wielkie oczy ze zdziwienia, gdy okazało się, jak bardzo był uzależniony. Nawet jego rodzina udawała, że o niczym nie wiedziała. Potrzebny był kozioł ofiarny, na którego można było zrzucić winę za dekady uzależnienia Michaela Jacksona. Najgłośniej grzmiała rodzina Jacksona, która nie zrobiła nic, żeby mu pomóc. No i padło na doktora Conrada Murraya. Co prawda, lekarz i piosenkarz znali się od 2006 roku, ale Jackson zatrudnił go dopiero w roku swojej śmierci, za, bagatela, sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie. To fakt, że Murray podawał mu propofol, to fakt, że nie zaalarmował świata, że Jackson jest skrajnie wyniszczony, ale żeby od razu robić go jedynym winnym całej tej tragedii? Conrad Murray został skazany na cztery lata więzienia, wyroku w sali sądowej wysłuchała rodzina piosenkarza i na tym szukanie winnych śmierci Króla muzyki pop się skończyło.



Dla szukających szczęścia w show-biznesie ten znak to symbol sławy i pieniędzy, dla mnie od śmierci Michaela i Whitney to również smutny symbol upadku gwiazdy

Gdy pracowaliśmy nad relacjami z Los Angeles, poznałem człowieka, który od lat zajmował się kłopotami prawnymi Jacksona. Charles Feldman jest reporterem radia KNX nadającego w południowej Kalifornii. Opowiedział mi historię, która rozbawiła mnie do łez. W 2005 roku Charles relacjonował przebieg procesu, podczas którego Jackson wybronił się z oskarżeń o pedofilię. Pewnego dnia, podczas przerwy w pracach sądu Feldman poszedł do toalety, gdy w skupieniu robił to, po co tam przyszedł, nagle zdał sobie sprawę, że koło niego stoi Michael Jackson, który zaczął pogawędkę. Gwiazdor skarżył się, że nie najlepiej się czuje, że jest zmęczony, a Charles przyznał mi, że przez całą rozmowę nie mógł oderwać oczu od nosa Jacksona. Cały czas dręczyła go jedna myśl – odpadnie mu ten nos czy nie?

Jakieś trzy, cztery dni po śmierci piosenkarza prasowe obłędzenie przeniosło się z Beverly Hills, gdzie Jackson zmarł, do Encino, które jest częścią wielkiej aglomeracji Los Angeles. To tam jest dom rodzinny, gdzie nad pochówkiem obradował klan Jacksonów. Pewnego dnia w oczekiwaniu na wejście „na żywo” do „Faktów” wędrowałem sobie po okolicy. Jakaś niewiasta wyprowadziła właśnie na spacer swojego psiaka. Zaczęliśmy rozmawiać o kocujących setkach dziennikarzy, o tym, jak trudno teraz mieszka się w Encino i że szkoda Jacksona. „On zawsze był dziwny” – powiedziała pani i zaczęła opowiadać o tym, że jej dzieci chodziły z dziećmi Jacksonów do tej samej szkoły, że nawet się kolegowali, ale że Michael zawsze był na uboczu, a sąsiedzi przeżyli szok, gdy zaczął chodzić na spacer z lamą. Kobieta nie pozwoliła się nagrać i nie chciała podać nazwiska. Diabli wiedzą, ile prawdy jest w jej opowieści.

W pewnym momencie gruchnęła wieść, że Jackson ma być pochowany w Neverland, swoim legendarnym ranchu koło Los Olivos. Zaczęły się prasowe wędrówki między Los Angeles i posiadłością piosenkarza, dwieście kilometrów w jedną i dwieście w drugą stronę. I tak codziennie, aż do momentu, gdy okazało się, że jednak nie Neverland, ale cmentarz Forest Lawn w Glendale i to dopiero we wrześniu. Wcześniej fani gwiazdora, którzy wylosowali wejściówki w internetowej loterii, mogli pożegnać go podczas koncertu pogrzebowego w Staples Center w Los Angeles. Do dziś pamiętam, i chyba nie tylko ja, jak jedenastoletnia wówczas córka Jacksona Paris ze łzami w oczach mówiła: „Chcę tylko powiedzieć, że cię kocham, tak bardzo...”.

W samym pogrzebie uczestniczyła tylko rodzina Króla i najbliżsi przyjaciele. Gdy przegląda się zdjęcia z procesu Jacksona z 2005 roku, często widać na nich postawnego mężczyznę z wielką siwą czupryną. To Tom Mesereau, adwokat Jacksona, który wybronił go z oskarżeń o pedofilię. Z tym niesamowitym człowiekiem spotkałem się kilka razy. Zawsze mówił o Jacksonie jak o swoim bardzo bliskim przyjacielu, który głęboko wierzył, że uda mu się naprawić świat. Świat nie dał się naprawić i zniszczył marzenia i życie Jacksona.

Niestety, historia powtórzyła się niecałe trzy lata później. Znowu Beverly Hills, znowu gwiazda, z którą wyrastaliśmy w latach osiemdziesiątych, znowu narkotyki i śmierć. W przypadku Whitney Houston jej zmagania z uzależnieniem od alkoholu i narkotyków przez lata śledziła cała Ameryka. Rok 2012 to miał być jej wielki powrót. Zagrała w filmie, pracowała nad odbudowaniem głosu, który w znacznym stopniu zniszczył jej tryb życia, i wszystko skończyło się 11 lutego 2012 w hotelu Beverly Hilton. Whitney utonęła w wannie, ale badania toksykologiczne wykazały, że brała kokainę, do tego doszła jeszcze choroba serca.

Rodzina Houston błyskawicznie zdecydowała o pogrzebie w jej rodzinnym Newark w stanie New Jersey. Dzięki temu po śmierci oszczędzono jej cyrku, jaki Jacksonowi przez wiele tygodni urządzała jego rodzina.

Amerykańska religijność zrobiła na Wronach potężne wrażenie. Jest całkowicie inna, nie lepsza, nie gorsza, ale inna od naszej polskiej religijności.

Kiedyś miałem dość trudne chwile, przeżywałem potężne problemy ze sobą, światem i generalnie z życiem – chyba każdy od czasu do czasu ma takie „przejściowe kryzysy”. Na parkingu w centrum naszego miasteczka rozmawiałem o tym z moim przyjacielem. W pewnym momencie David, nauczyciel akademicki i artysta malarz, powiedział: „Wiesz co, my na to nie mamy wpływu, skierujmy ten problem w ręce Siły Wyższej. Pomódlmy się”. I tak jak staliśmy, uklękliśmy na parkingu w centrum Falls Church i zaczęliśmy się modlić.

Czułem się dziwnie, nieswojo, byłem skrępowany. Po chwili rozejrzałem się dookoła. Nikogo nie dziwiło to, co robimy, wszyscy wyszli z prostego założenia, że najwyraźniej ci faceci mają taką duchową potrzebę, żeby się pomodlić. Nie chcę przez to powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych na każdym kroku widać tłumy klęczących modlących się ludzi. Ale o takich przypadkach jak mój i Davida słyszałem przynajmniej kilka razy.

Dlatego tu nikogo nie dziwi, że ważni politycy, ba, amerykańscy prezydenci mówią otwarcie o duchowości. W 2010 roku były prezydent George W. Bush miał powiedzieć: „Nie wiem, jak mógłbym być prezydentem bez modlitwy”. George Bush wielokrotnie przyznawał, że w najtrudniejszych, najcięższych chwilach po prostu się modlił.

Każdego roku w lutym w Waszyngtonie odbywa się Narodowe Śniadanie Modlitewne, od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku zawsze uczestniczy w nim amerykański prezydent. Bierze w nim udział ponad trzy tysiące ludzi, dygnitarze z Ameryki i goście z zagranicy, kongresmeni i senatorowie. W założeniu Śniadanie miało być spotkaniem, podczas którego członkowie Kongresu modlitwą wspierają Prezydenta i innych przywódców. Na swojej stronie Biały Dom informuje, że w 2012 roku Barack Obama podczas Narodowego Śniadania Modlitewnego wygłosił przemówienie, w którym mówił o tym, jak jego wiara jako chrześcijanina wpływa na jego myślenie jako przywódcy.

Swoją drogą, religia i wiara Baracka Obamy przez długie miesiące była przedmiotem publicznej dyskusji na początku jego prezydentury i podczas kampanii przed wyborami z 2008 roku.

W 2010 roku Pew Research Center, poważny ośrodek badawczy z Waszyngtonu, opublikował szokujące wyniki sondażu, w którym pytano o to, jakiego wyznania jest prezydent Obama. Co piąty badany (18%) odpowiedział, że prezydent jest muzułmaninem, tylko co trzeci (34%) twierdził, że Obama to chrześcijanin. W kampanii wyborczej sporo zamieszania narobił mocno kontrowersyjny pastor Jeremiah Wright z kościoła, którego członkiem był Barack Obama. Niektórzy twierdzili, że czarnoskóry pastor wygłaszał rasistowskie opinie. Doszło do tego, że prezydent musiał odciąć się od poglądów reprezentowanych przez pastora, który w 1992 roku udzielił ślubu dzisiejszej Pierwszej Parze.

Gdy zaczynałem uczyć się Ameryki, znajomy powiedział mi, że tu na każdym skrzyżowaniu jest jakiś kościół, każdy z nich jest świątynią innego wyznania, a codziennie rodzą się tu i umierają nowe religie. Jest w tym sporo prawdy.

Jedni z pierwszych amerykańskich kolonistów, którzy dotarli do dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, to tak zwani Pielgrzymi, innowiercy, którzy nie godzili się z doktryną Kościoła

anglikańskiego i z Anglii uciekli najpierw do Holandii, a później na pokładzie statku Mayflower w 1620 wyruszyli na podbój Nowego Świata.

Ponieważ Ameryka zawsze była krajem akceptującym prawie wszystko, co w kwestii religii można wymyślić, pojawiały się tu i pojawiają nadal najdziwniejsze sekty i Kościoły świata. Amerykański odpowiednik naszego Głównego Urzędu Statystycznego informuje, że w Stanach jest blisko osiemdziesiąt dużych Kościołów i wyznań. Urząd od razu zaznacza, że wiele z odłamów nie zostało uwzględnionych, bowiem na liście są tylko organizacje, które z informacją o sobie zgłosiły się same. Natomiast organizacja ProCon podaje, że w Stanach Zjednoczonych działa łącznie trzysta trzynaście kościołów i wyznań.

Gdy podróżowaliśmy przez stan Maine, Ola znalazła na stacji benzynowej jakąś broszurkę informującą o ostatniej na świecie społeczności nazywanej shakers. *Shake* to po angielsku „trząść”, „potrząsać”, znamy shakery do robienia drinków, ale tu chodzi o ruch religijny nazywany tak dlatego, że jego członkowie podczas modlitwy tańczyli, często wpadając w trans, i po prostu się trzęśli.

Shakers są odłamek innego ugrupowania religijnego z Anglii, ale nie wchodźmy w szczegóły, żeby nie wprowadzić zbyt wielkiego zamieszania. Pod koniec osiemnastego wieku matka Ann Lee, przywódczyni shakerów, miała podobno widzenie, którego rezultatem było zebranie części wiernych i wyprawa do Nowej Ziemi. W amerykańskiej kulturze wyznawcy tego Kościoła pozostawili, ponoć obecny do dziś, styl projektowania mebli.

Ale nas nie meble zainteresowały w tej niezwyklej sekcie. Ann Lee była wrogiem współżycia seksualnego, zatem wyznawcy podzieleni na kobiety i mężczyźni mieszkali w osobnych domach. Jak wyjaśniano nam w wiosce, która była domem społeczności, shakerzy byli świetnie przygotowani do wychowywania dzieci i znakomicie je kształcili. Zaraz, zaraz... Jakie dzieci, skoro nie można było wykonywać tego, co niezbędne, by dzieci pojawiły się na tym łez padole? Otóż w sekcie wolno było adoptować dzieci, zdarzało się również, że biedne rodziny oddawały swoje dzieci na wychowanie u shakerów. Takie dziecko przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia mogło zdecydować, czy zostaje shakerem, czy wraca do życia poza komuną.

Kościół stworzył kilkanaście społeczności na północnym wschodzie Stanów Zjednoczonych, do dziś funkcjonuje tylko jedna, Sabbathday Lake Shaker Village, a w niej trzech, ostatnich na świecie członków Kościoła, dwie siostry i jeden brat.

Gdy odwiedzają nas goście, często zabieramy ich na wycieczkę, którą nazywamy „powrotem do przeszłości”. Niecałe trzy godziny jazdy samochodem od Falls Church w stanie Pensylwania jest powiat Lancaster zwany Dutch Country – holenderski powiat. To miejsce znane na całym świecie dzięki amiszom.

Amisze nie mają nic wspólnego z Holandią, pochodzą ze Szwajcarii, zatem skąd ten „holenderski powiat”? Jak nam wyjaśniono, gdy przybyli tu pierwsi członkowie tej sekty, amerykańscy farmerzy pytali ich, jakim językiem się posługują. Amisze odpowiadali po niemiecku „Deutsch”, a farmerzy rozumieli „Dutch” i tak z niemieckojęzycznych Szwajcarów zrobili Holendrów.

Amisze do dziś między sobą mówią po niemiecku dialektem sprzed kilkuset lat, którego w Europie od dawna już nikt nie używa. Od końca siedemnastego wieku ubierają się tak samo. Mężczyźni w czarne spodnie, białe koszule, marynarki i kapelusze. Każdy dorosły amisz ma brodę, ale wygolone wąsy. Każda kobieta zakłada identyczną suknię i czepek.

Amisze posyłają dzieci tylko do swoich jednoizbowych szkół, a nauczycielami są tylko absolwenci tych szkół. Amerykańskie szkoły publiczne i jakakolwiek „wyższa edukacja” są zakazane. W październiku 2006 roku świat usłyszał o szkołach amiszów w związku z atakiem szaleńca w osadzie Bart w powiecie Lancaster. Zamachowiec zastrzelił tam pięć dziewczynek, a kolejne pięć ciężko ranił, po czym popełnił samobójstwo. Ameryka z niedowierzaniem patrzyła, jak amisze skoncentrowali się na modlitwie i wzajemnym wspieraniu się. Nie szukali odwetu czy zemsty, ale

sposobów, by wybaczyć mordercy.

Amisze to chrześcijanie, ich doktryna religijna stanowi, że kontakt ze światem zewnętrznym jest zły, zabroniony, ponieważ odciąga ich od społeczności, wiary i Boga. Dlatego nie wolno im poruszać się niczym napędzanym silnikiem. W dalszą podróż, na przykład do sąsiedniej wioski, członkowie sekty jeżdżą konnymi bryczkami, na bliższe wyjazdy muszą wystarczyć im hulajnogi. Nawet rower jest zakazany, bo można nim odjechać za daleko od społeczności, co sprawi, że powrót może okazać się zbyt trudny!

Nie dość na tym. Próżno szukać linii telefonicznych albo traktory elektrycznych prowadzących do zabudowań amiszów. Jakikolwiek kabel oznacza fizyczną łączność ze światem zewnętrznym, czyli również niedobrze.

No i teraz dochodzimy do paradoksów tego świata sprzed setek lat. Byliśmy w Lancaster County z moimi rodzicami. Pojechaliśmy na przejażdżkę konną furką. Chłopak, który był woźnicą i przewodnikiem, okazał się byłym amiszem. Z sekty można bez żadnych konsekwencji odejść przed chrztem, czyli między szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, ale jeśli zadeklarujesz, że chcesz być amiszem, a później zmienisz zdanie, zostajesz wyklęty. Nawet twoi rodzice nie mają prawa z tobą rozmawiać.

Nasz woźnica nie był wyklęty. Odszedł w samą porę, bo chciał się dalej uczyć i zostać weterynarzem. Dzięki temu jego rodzice mogli mieć z nim kontakt, jak powiedział, często przychodzili do niego na telewizję. Amisz u siebie w domu telewizora mieć nie może – wiadomo, „świat zewnętrzny”, ale oglądanie u kogoś zakazów religijnych nie łamie.

Z telefonami też sobie poradzono. Kabel łączy ze światem, ale telefon komórkowy kabla nie potrzebuje, więc każdy amisz ma komórkę. Problem z prądem też błyskawicznie rozwiązano, w gospodarstwach pracują generatory, a sprzęty domowe są zasilane gazem z butli.

Amisze to farmerzy i stolarze. Ponieważ żyją tak jak setki lat temu, ich żywność jest ekologiczna, czyli na topie. Ameryka zwariowała na punkcie produktów z gospodarstw rolnych prowadzonych przez amiszów. Ich meble są kosmicznie drogie, bo ręczna robota jest w cenie.

Dzięki temu społeczność amiszów dziś prosperuje jak nigdy dotąd. Co zaskakujące, każdego roku przybywa pięć procent amiszów, teraz w całej Ameryce jest ich prawie ćwierć miliona, jeśli ich liczba nadal będzie rosła w takim tempie, to w 2024 roku będzie ich pół miliona. Swoją drogą, warto zastanowić się, dlaczego tylu ludzi zamiast naszej „wspaniałej” cywilizacji wybiera „dziwne” życie amiszów.

Fascynacja amerykańskimi Kościołami sprawiła, że pewnego dnia Ola natknęła się na poskramiaczy węży. Poskramiacze albo trzymający węże istnieją od stu lat, podczas ich praktyk religijnych zmarło ponad sto osób i w większości stanów są zakazani przez prawo i ścigani przez policję.

O co chodzi z tymi węzami? Sprawa jest dość prosta. Wyznawcy dosłownie traktują fragment Ewangelii św. Marka, który mówi, że ci, którzy wierzą, będą brać do rąk węże, a po wypiciu trucizny nic im nie zaszkodzi.

Nabożeństwa poskramiaczy trwają kilka godzin, a wszystko zaczyna się dość spokojnie. Zespół muzyczny grający muzykę plasującą się gdzieś między country a wczesnym rock and rollem odśpiewuje pieśni religijne, tempo muzyki powoli narasta, przyłączają się kolejne instrumenty, zwykle gra kilka gitar elektrycznych, wreszcie na ołtarzu pojawia się pastor, który naucza i wpada w coraz większy trans.

Gdy Pan zstępuje na wiernych, z drewnianych kaset zostają wyciągnięte węże. Prawdziwe, jadowite grzechotniki i żmije. Poskramiacze tańczą z węzami w rytm szaleńczej muzyki, owijają węże wokół szyi, całują je i przytulają. Niektórzy zaczynają mówić językami, inni piją strychninę, jeszcze inni przypalają nogi pochodnią.

Z trzymającymi węże spotkałem się na pograniczu stanów Zachodnia Wirginia i Tennessee, w biednym, górzystym regionie Stanów Zjednoczonych. Spędziłem z nimi kilka dni, z moim operatorem byliśmy na takim wielogodzinnym nabożeństwie. Na początku był strach, w końcu węże są naprawdę groźne. Przyznam też, że patrzyłem na wiernych z pewną dozą... powątpiewania. Ale później się zaczęło. Może to ze mną jest coś dziwnego, ale Marcin Wyszogrodzki zamiast filmować uroczystość, musiał mnie co chwilę uspokajać, bo razem z wiernymi podskakiwałem w rytm ich muzyki. Energia nabożeństwa jest niesamowita.

Wszystko byłoby super, gdyby nie ten drobny fakt, że ponad sto osób zmarło podczas nabożeństw. Gdy ugryzie cię wąż, członkowie wspólnoty pytają, czy chcesz, by wezwano karetkę, prawdziwie wierzący odmawia, a wtedy wszyscy zbierają się wokół niego i modlitwą starają się go uzdrowić.

Pastor Randy „Mack” Wolford opowiedział mi, jak grzechotnik ugryzł jego ojca, też pastora Kościoła. Ojciec Macka umierał przez dziesięć godzin, nie chciał, żeby wezwano pomoc. Inny pastor, dwudziestojednoletni Andrew Hamblin, pokazał mi ślady po trzech ugryzieniach węża. Jak powiedział, był bliski śmierci, wymiotował krwią, ale dzięki wierze i modlitwie przeżył.

Pod koniec maja 2012 najpierw radio WTOP, później „Washington Post” i pozostałe media podały wiadomość, w którą nie mogłem uwierzyć. To był cios, który odebrałem bardzo osobiście, aż zabolalo. Pastor Randy „Mack” Wolford zmarł po ugryzieniu przez grzechotnika. Dzień wcześniej Mack świętował swoje czterdzieste czwarte urodziny, niedzielne nabożeństwo miało być rodzinnym i religijnym dopełnieniem urodzin. Modlitwy trwały od zaledwie trzydziestu minut, gdy wąż ugryzł pastora w udo. Wierni przewieźli go do domu, żeby wyzdrowiał. Modlitwy nie pomogły. Mimo że karetka w końcu przyjechała, paramedycy mogli już tylko ogłosić zgon pastora.

Tak jak jego ojciec Mack umierał przez dziesięć godzin. To był niesamowity, cichy, skromny człowiek, który głęboko wierzył w swoją religię.

Poskramiacze uważają, że jeśli ugryzie cię wąż, a modlitwa cię nie uzdrowi, to najwyraźniej nadszedł twój czas, wezwał cię Pan.

Na koniec tej amerykańskiej religijnej wędrówki zostawiłem sobie mormonów. Teraz jest o nich głośno za sprawą Mitta Romneya, republikańskiego kandydata w wyborach prezydenckich 2012. Romney jest pierwszym mormonem, który ma szansę zasiąść w Białym Domu.

Pierwszy raz spotkałem się z mormonami w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Jako dość młody dziennikarz radia RMF FM zostałem wtedy wysłany przez ambasadę amerykańską w Warszawie na stypendium do Stanów Zjednoczonych. Przez kilka tygodni miałem zajmować się mniejszościami etnicznymi i religijnymi. I tak oto dotarłem do Salt Lake City w stanie Utah. Miasto jest stolicą mormonów, tam jest najważniejsza świątynia, tam mieszka i pracuje Prorok będący prezydentem kościoła, któremu pomaga Dwunastu Apostołów...

Podczas pierwszej wizyty w Salt Lake City zostawiłem swój krakowski adres i zaznaczyłem w księdze gości, że chętnie przeczytałbym Księgę Mormona po polsku. Szczerze powiem, że nie przywiązałem do tego wagi, nawet zapomniałem, że wpisałem się do księgi. Kilka miesięcy później w moim domu pojawili się dwaj młodzieńcy w ciemnych spodniach, białych koszulach z krawatami i z przypiętymi tabliczkami głoszącymi, że są braćmi Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Właśnie tak wyglądają mormońscy misjonarze, w Polsce widać ich coraz częściej. Przyszli, porozmawialiśmy przez kilka godzin. Zostawili Księgę, ale oprócz niej pozostał też po nich rosnący u mnie przez lata szacunek do mormonów.

Misjonarzem powinien zostać każdy mężczyzna, ale żeby wyjechać na misję, musi sam odłożyć sobie na nią pieniądze. Mitt Romney w latach sześćdziesiątych był misjonarzem we Francji.

Mormoni nie piją alkoholu, nie palą tytoniu, ba, nawet nie piją kawy, herbaty ani napojów gazowanych z kofeiną! Pornografia jest absolutnie zakazana, a współżycie seksualne dozwolone jest tylko między mężem i żoną. Mormoni przeszli przez prześladowania, ucieczkę na Zachód,

wyśmiewanie i kontrowersyjne wielożeństwo.

Kościół powstał na początku dziewiętnastego wieku. Joseph Smith, założyciel Kościoła, w wieku czternastu lat miał widzenie. Jak wierzą mormoni, Smithowi ukazał się Bóg i Chrystus, chłopiec dostał polecenie odtworzenia „prawdziwego Kościoła”, bo współczesne Kościoły chrześcijańskie zbyt daleko odeszły od tego pierwotnego.

Jednym z założeń było wielożeństwo, przez które mormoni byli prześladowani, i choć oficjalnie Kościół wyrzekł się wielożeństwa, to uważa się, iż dziś przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy mormonów ma więcej niż jedną żonę.

Telewizja TLC emituje w Stanach serial „Siostry – żony” o rodzinie, w której jeden mężczyzna, wyznawca odłamu Kościoła mormońskiego, ma cztery żony, z którymi ma łącznie siedemnaścioro dzieci. Rodzina mieszka w Las Vegas, a od strony formalnej problemu nie ma, bo ojciec rodziny akt ślubu podpisał tylko z jedną ze swoich żon, z pozostałymi łączy go „małżeństwo duchowe”.

Bardzo ciekawa jest struktura tego głównego, oficjalnego Kościoła. Każda społeczność wybiera ze swoich członków biskupa, Mitt Romney też był biskupem, który dba o wiernych, udziela porad duchowych i stara się, by wszyscy żyli we względnym dostatku. Biskup troszczy się też o to, by dobrze działał system pomocy społecznej. Mormoni przekazują dziesięć procent swoich dochodów na Kościół.

Tak. Każdy członek kościoła co miesiąc przekazuje dziesięć procent pensji wspólnocie!

Co więcej, za zaszczyt uważana jest praca w fabrykach, sklepach i magazynach działających na rzecz mormońskiej pomocy społecznej. Lokalne grupy wysyłają po kilku członków do pracy, później, jeśli w takiej grupie jest ktoś, kto nie ma pieniędzy na jedzenie czy ubranie – dostaje to za darmo od Kościoła.

Trzeba przyznać, że mormoni są świetnie zorganizowani. Po raz drugi odwiedziłem Salt Lake City jesienią 2011 roku. Wizytę przygotowywałem z działem prasowym Kościoła przez kilka tygodni. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, znaleźli się misjonarze, którzy nauczali w Polsce i świetnie mówili po polsku, mieliśmy spotkanie z jednym z przywódców Kościoła, obejrzelśmy mormońskie muzeum. Nawet poznaliśmy podziemne korytarze łączące budynki administracyjne ze świątynią i salą koncertową, w której śpiewa mormoński chór. Co ciekawe, do świątyni może wejść tylko mormon i to tylko taki, który dobrze się prowadzi i nie grzeszy.

Okolice Salt Lake City mimo ogólnoamerykańskiego kryzysu świetnie się rozwija i próżno tam szukać śladów załamania amerykańskiej gospodarki.

To wszystko robi spore wrażenie. Do tego pamiętam zdanie, które wypowiedział mój kolega pracujący w Białym Domu za kadencji prezydenta Georga Busha. Powiedział on, że jeśli tylko mógł, wybierał praktykantów ze stanu Utah, bo prawie zawsze byli to mormoni. Wiadomo było, że taki młodzieniec nie wda się w żaden romans, nie przyjdzie do pracy na kacu i będzie robił wszystko, by jak najlepiej wykonać swoją pracę.

Znakomita reklama, tylko ciekawe, czy to wystarczy, by Amerykanie po raz pierwszy w historii wybrali na swojego prezydenta mormona.

Jest taka bajka o trzech świnkach. Bajka ma generalnie nauczyć maluchy, że co nagle, to po diable, a ciężką pracą ludzie się bogacą. Niezorientowanym przypomnę, że w bajce poznajemy rodzeństwo trzech świniaczków, towarzystwo opuszcza dom rodzinny i każdy różowy bohater zaczyna życie na swoim. I tu pojawiają się problemy.

Pierwsza świnka buduje dom ze słomy, zły wilk rozwała go jednym dmuchnięciem. Druga buduje dom z patyków, znowu pojawia się ten zły i podobnie jak za pierwszym razem rozwała dom dmuchnięciem. Tylko trzecia świnka, która ciężko pracowała, wybudowała w pocie czoła dom z cegły, który dał schronienie leniwym i nierozgarniętym braciszkom, a wilk połamał sobie na ceglach swoje złe zęby.

Proste, prawda? Teraz wilka zamieniamy na huragany i tornada oraz przenosimy się do Stanów Zjednoczonych. NOAA, rządowa agencja zajmująca się badaniem oceanów i meteorologią, podaje przerażające oficjalne dane za rok 2011. To był czwarty rok w historii pod względem liczby i niszczycielskiej siły tornad. Odnotowano wtedy prawie tysiąc siedemset tornad, które zabiły pięćset pięćdziesiąt osób, rannych zostało ponad pięć tysięcy ludzi!

Pierwszy z wielkich morderczych żywiołów tamtego roku uderzył w Alabamę, w okolice miasta Tuscaloosa i w samo miasto. To było kilka tornad, które zabrały ponad trzysta ludzkich istnień. Gdy jechałem do Tuscaloosy, znałem już zdjęcia z pierwszych godzin po przejściu żywiołu. Wyglądało to jak koszmar po wybuchu nuklearnym. Na miejscu, gdy zobaczyłem wszystko na własne oczy, było jeszcze gorzej.

W głowie utkwiły mi dwa obrazy z Tuscaloosy. Opowieść dojrzałej kobiety o jej matce, która na chwilę przed uderzeniem gigantycznej trąby powietrznej zauważyła w telewizji sygnał ostrzegawczy. Błyskawicznie krzyknęła do sąsiadki, żeby ta wzięła z podwórka dzieci i ukryła je w jakimś bezpiecznym miejscu w domu. Chwilę później mordercza siła poderwała dom staruszki w powietrze. Jego szczątki runęły na budynek sąsiadki.

Drugi obraz to potężny żelazny kontener na śmieci przeniesiony przez tornado przynajmniej kilkaset metrów. Kontener z impetem wbił się w ścianę budynku, przebił ją i wylądował w salonie domu.

Proszę zwrócić uwagę, że w obydwu przypadkach z domami stały się dziwne rzeczy, niezrozumiałe dla nas, Polaków. Jak to możliwe, że wiatr poderwał cały dom i przeniósł go na inny budynek, jak to możliwe, że kontener na śmieci przebija budynek na wylot? Takich pytań jest więcej.

Gdy chodziłem po Tuscaloosie, widziałem domy, a w zasadzie miejsca po domach, z których została tylko podmurówka. Drzewa podobnie jak wspomniany kontener przebijały domy na wylot. Na trasie przejścia tornada zgodnie z ruchem trąby powietrznej równo i precyzyjnie były poukładane listewki, z których domy były zbudowane.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Jednym z elementów słynnego amerykańskiego snu, *american dream*, jest własny dom dla każdego. Dlatego buduje się to, co tanie i szybkie, czyli domy robione techniką kanadyjską. Szkielet z drewnianych listewek, płyta, ocieplenie i tak zwana okładzina winylowa, czyli *siding*. Całość jest gotowa w kilka tygodni i kosztuje znacznie mniej niż solidny murowany dom z cegły, betonu i pustaków.

No tak, ale gdy przyjdzie „zły wilk”, Amerykanie mają gigantyczny problem, bo takie domy składają się tak jak te w bajce, tak jak domki z kart. Tylko że tu naprawdę giną ludzie.

Gdy w wybrzeże Zatoki Meksykańskiej w sierpniu 2005 roku uderzył huragan Katrina, na posterunku w Waszyngtonie była jeszcze moja poprzedniczka Kasia Sławińska. Skutki Katriny poznałem najpierw z jej relacji telewizyjnych w „Faktach”, potem podczas wielu rozmów ze Sławiną, a wreszcie, gdy sam pojechałem do stanów Missisipi i Luizjana, najpierw służbowo, z okazji drugiej rocznicy przejścia huraganu, a później z Olą i dziećmi, gdy wybraliśmy się w podróż wybrzeżem zatoki.

Po przejściu Katriny świat skoncentrował się na Nowym Orleanie. Nic dziwnego. To miasto, o którym słyszeli chyba wszyscy. Nowy Orlean to bez przesady perełka kulturowa i architektoniczna, zwłaszcza słynna Dzielnica Francuska z wyuzdaną Bourbon Street.

Katrina dokonała w mieście potwornych zniszczeń. Wzburzone wody zatoki pędzone huraganowym wiatrem przerwały wały przeciwpowodziowe w wielu miejscach i zalały osiemdziesiąt procent Nowego Orleanu, gdzieś woda miała głębokość ponad czterech i pół metra. Opracowania zajmujące się tą katastrofą podają, że Katrina w taki czy inny sposób dotknęła około piętnastu milionów ludzi. Huragan zabił ponad tysiąc osiemset osób.

To, co stało się w Nowym Orleanie, czyli zalanie miasta z powodu pękniętych wałów, nazywane jest największą katastrofą inżynierską w historii Ameryki. Woda stała tygodniami, nawet miesiącami. Nie było sposobu, żeby sama odpłynęła, a jej wypompowanie też było praktycznie niemożliwe.

Domy z listewek i papieru, jak z Olą złośliwie nazywamy budynki wznoszone techniką kanadyjską, stały w wodzie i gniły. Do dziś w wielu częściach Nowego Orleanu widać skutki Katriny. Czy zniszczenia byłyby mniejsze, gdyby domy budowano tu tak jak u nas, a nie szybko i tanio? Nie wiem.

Jednak pytania w naszych głowach mnożyły się. Gdy dotarliśmy do miasta Biloxi w stanie Missisipi, półtorej godziny jazdy samochodem na wschód od Nowego Orleanu, mieliśmy prawdziwy problem ze znalezieniem właściwych odpowiedzi. Przed przejściem huraganu Katrina Biloxi było trzecim pod względem wielkości miastem w stanie, teraz jest piątym. Nie dlatego, że inne miasta tak gwałtownie urosły. W Biloxi huragan zniszczył dziewięćdziesiąt procent budynków! Ludzie nie mają gdzie mieszkać i musieli wyjechać gdzieś, gdzie nie ma huraganów i da się żyć.

Nawet dziś, gdy jedzie się wzdłuż bajecznej, niewyobrażalnie szerokie plaży, co chwilę widać kamienne schodki prowadzące do pustej podmurówki, na której kiedyś stał dom. Tylko co dziesiąty dom przetrwał! Liczby poruszają wyobraźnię, ale nic nie zastąpi tego, co można zobaczyć na własne oczy.

Gdy patrzy się na zdjęcia Biloxi, miasta, w które huragan uderzył centralnie, widać zgliszcza i... kasyna. Co za ponury paradoks. Kasyna zbudowano tak jak należy, żelbetonowy szkielet, murowane ściany. Te budynki przetrwały nawet Katrinę.

Wydawałoby się, że po takim kataklizmie w miejscu, w które co kilka, kilkanaście lat uderza huragan, ludzie wyciągną jakąś naukę z tego, co przeżyli. Łapaliśmy się za głowy, gdy przejeżdżaliśmy koło placów budowy. Ci, którzy zdobyli pieniądze, dostali kredyt albo wywalczyli odszkodowanie, wzięli się do odbudowy swoich domów. O zgrozo! To znowu są domy z papieru i patyków!

Kilka lat temu niedaleko nas, w pobliskim miasteczku McLean, mieszkał nasz kolega, ówczesny korespondent „Rzeczpospolitej”. Jędrzej miał wręcz obsesję na punkcie tych papierowych domów. Pamiętam, że kiedyś, gdy nas odwiedził z żoną i chłopakami, obstukał palcem wszystkie ściany w naszym domu, powtarzając jak mantrę jedno zdanie: „Cholera, popatrz, też papier”. Jędrzejowi się nie dziwię, zwłaszcza po tym, co wykonał jeden z jego synów. Chłopcy jak to chłopcy grali sobie w domu w piłkę. W pewnym momencie jeden z nich mocno się zamachnął, chyba nie trafił w piłkę

i noga po kolano wpadła mu w ścianę.

23 sierpnia 2011 roku wydarzyła się rzecz niesamowita. Ola była z siostrą i dziećmi na zakupach, ja wracałem samochodem z pracy do domu. Nagle przerwano program radiowy i pojawił się najbardziej nieoczekiwany komunikat – trzęsienie ziemi w Waszyngtonie. Telefony komórkowe działały, ale sieć była tak przeciążona, że do Oli dodzwoniłem się dopiero po kilku minutach. Opowiadała, jak hala sklepowa zaczęła tańczyć, a sufit i ściany zaczęły się dziwnie wyginać.

Mimo że trzęsienie miało siłę 5,8 stopnia i było niczym w porównaniu ze wstrząsami wtórnymi, jakie przeżyłem na Haiti w 2010 roku, to napędziło wszystkim strachu, jak nie wiem co.

Uwaga, teraz strzelam gola do własnej bramki. Po trzęsieniu posypało się trochę starszych budynków, popękał pomnik Georga Waszyngtona, obsypały się gzymsy z Katedry Narodowej w stolicy i to tyle. Te elastyczne domy z papieru i listewek bez większego problemu poradziły sobie ze wstrząsami. U nas pospadało kilka kubków i szklanek, wysypały się leki z domowej apteczki, a poza tym żadnych zniszczeń nie było. Nawet pobliska elektrownia jądrowa szybciej się wyłączyła i obyło się bez problemów, mimo że po japońskim tsunami i katastrofie w elektrowni Fukushima wszyscy ze sporym lękiem patrzyli w stronę naszej elektrowni.

Mimo to oświadczam, że nie dam się przekonać do pomysłu budowania „kanadyjek” na terenie zagrożonym huraganami i tornadami, bo również u nas, w północnej Wirginii, takowe się zdarzają. Na własne oczy widziałem zaledwie cztery huragany (Gustaw, Ike, Earl i Irene), nawet siła słabego huraganu Irene z 2011 roku przerażała i chyba nigdy nie zrozumieć, jak można sobie spokojnie budować domy, które wobec tak potężnych sił natury nie mają najmniejszych szans.

Może wyjaśnieniem jest to, że Amerykanie nie przywiązują się do swoich domów, nie są to ich gniazda rodzinne na wiele pokoleń, a przeciętna amerykańska rodzina planuje przyszłość na najwyżej pięć lat i bez problemu za pracą potrafi się przeprowadzić nawet o tysiące kilometrów, sprzedając dom z taką samą łatwością jak samochód czy meble.

Z tą amerykańską biedą sprawa jest dość skomplikowana. Zawsze mam kłopot, gdy staram się wytłumaczyć, że w Ameryce nie brakuje ludzi biednych i bardzo biednych. Często słyszę, że w Polsce niejeden bogaty jest biedniejszy niż amerykański biedak.

Problem zaczyna się, gdy przeliczamy dolary na złotówki i te przeliczone kwoty przykładamy do naszych polskich realiów. No bo gdy słyszymy, że minimalna płaca za godzinę ustalona przez amerykański rząd to siedem dolarów i dwadzieścia pięć centów, błyskawicznie łapiemy kalkulatory i zaczynamy przeliczać. Przy dziesięciogodzinnym dniu pracy to siedemdziesiąt dwa dolary i pięćdziesiąt centów, czyli za cztery tygodnie, nie licząc weekendów, to przynajmniej tysiąc czterysta pięćdziesiąt dolarów na miesiąc, a to z kolei w przeliczeniu na złotówki daje nam około pięciu tysięcy złotych. Wow! I to ma być bieda?

No, na pewno nie jest to przedsiónek bogatego rajy. Amerykanie mają całkowicie inną niż my strukturę wypłaty. Nasza pensja ma już potrącony podatek, ZUS i składkę zdrowotną. Narzekamy, że jest tego za mało, że gdzie indziej zarabiają więcej, ale zapominamy, że część problemów z głowy zdjęło nam państwo. Amerykanin ze swojej pensji dopiero musi to wszystko zapłacić. Na marginesie, pensje otrzymuje się tu co tydzień, w piątek na zakończenie dnia pracy. Nie jest to ani przelew, ani gotówka, tylko czek.

Zatem mamy obywatela, nazwijmy go John, który w zaokrągleniu zarabia tysiąc pięćset dolarów. Jeśli chce mieć dostęp do lekarza, musi się ubezpieczyć. Dla gościa w moim wieku miesięczne ubezpieczenie w północnej Wirginii to od dwustu do czterystu sześćdziesięciu dolarów. Dodatkowo, za każdą wizytę lekarską dopłaca się dwadzieścia dolarów. Wybierzmy średnio sympatyczne, nie najdroższe ubezpieczenie. John jest lżejszy o trzysta dolarów i zostało mu już tylko tysiąc dwieście.

Wiadomo, że trzeba gdzieś zamieszkać. Nasz John z minimalną płacą nie ma co liczyć na własny kąt. Żaden bank po wybuchu kryzysu z 2008 roku nie da takiemu człowiekowi kredytu. Trzeba zatem wynająć. Nie będziemy zbyt wybredni, poszukamy najmniejszego mieszkania oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów od Waszyngtonu. Szukamy w mieście Manassas. Znam wielu ludzi, którzy dzień w dzień dojeżdżają stamtąd do pracy w stolicy.

Najtańsze mieszkania z jedną sypialnią i łazienką kosztują od pięciuset dolarów za miesiąc. Nie będziemy Johna rozpieszczać, niech się chłop przeprowadza do najtańszej nory za pięćset dolarów. W kieszeni zostało mu już tylko siedemset!

Swoją drogą, ceny najmu nieruchomości w samej amerykańskiej stolicy, w administracyjnych granicach Waszyngtonu, przyprawiają o ból głowy. Absolutnie najtańsze mieszkania w stolicy zaczynają się od tysiąca pięciuset dolarów, czyli czynsz zjadłby Johnowi całą miesięczną pensję.

Nasz słabo zarabiający bohater ma w kieszeni już tylko kilkaset dolarów, a do opłacenia jest jeszcze paliwo, ubezpieczenie samochodu, które tu płaci się co miesiąc, telefon, kablówkę i ewentualnie ubezpieczenie na życie. I jeszcze trzeba coś jeść, a to w Stanach Zjednoczonych jest najdroższe. Nie będę zanudzał kolejną wyliczanką cenową, ale w przypadku Wron średnie zakupy dla naszej czwórki przeważnie przekraczają jednorazowo sto dolarów. Mówię o naprawdę średnich zakupach.

Był kiedyś, również w polskich telewizjach, świetny serial komediowy „Przyjaciele”. Serial opowiadał perypetie sześciorga trzydziestolatków z Nowego Jorku. Czy nic was w tym serialu nie

zdziwiło? Nie było dziwne to, że dorośli ludzie mieszkali w dwóch małych mieszkankach ze współlokatorami?

Mój kolega Colin trochę w życiu szalał i balował, to prawda. Teraz jest po pięćdziesiątce, pracuje fizycznie, i to ciężko jak cholera, i ze współlokatorem dzieli sypialnię! W każdym pokoju w tym wynajmowanym domu mieszka dwójka współspaczy. Wszyscy dzielą się łazienką, kuchnią i salonem, w którym oglądają telewizję.

Colin i tak ma dużo szczęścia. Kolejna moja znajoma przez ostatnie kilka lat mogła jedynie marzyć o wynajęciu czegośkolwiek. Najpierw zarobione pieniądze zbierała po to, żeby kupić auto. Wiadomo, z samochodem łatwiej znaleźć lepiej płatną pracę. Teraz dziewczyna wreszcie od kilku miesięcy wynajmuje z mężem małe mieszkanie, ale do tego czasu również z mężem mieszkała w schronisku dla bezdomnych.

Jak wynika z danych amerykańskiego urzędu statystycznego (United States Census Bureau), blisko pięćdziesiąt milionów Amerykanów żyje poniżej granicy ubóstwa. I znowu jeśli podam, co uważa się za granicę ubóstwa, wiele osób z niesmakiem zacznie kręcić głowami. Władze federalne ustaliły, że granicą dla czteroosobowej rodziny jest roczny dochód w wysokości dwudziestu trzech tysięcy dolarów.

W 2011 roku amerykański rząd wydał siedemdziesiąt pięć miliardów dolarów na bony żywnościowe. Powód? Co siódmy Amerykanin nie ma pieniędzy na to, żeby się dobrze odżywiać, dlatego państwo prowadzi specjalny program dożywiania. Takie bony (*food stamps*) w wyznaczonych sklepach można zamienić na żywność. Oczywiście, nie brakuje chętnych do robienia przekrętów. Jakiś czas temu wybuchła afery ze sklepami, które za bony żywnościowe wydawały papierosy i alkohol.

W Stanach Zjednoczonych zawsze były obszary biedy. Jeśli ktoś chce się na własne oczy przekonać o tym, jak wygląda amerykański koszmarny sen, zapraszam do stanu Wirginia Zachodnia. Stan jest w pierwszej piątce najbiedniejszych regionów Ameryki. Kiedyś ludziom wiodło się tu całkiem nieźle, to stan górniczy, a węgiel kilkadziesiąt lat temu był podstawą gospodarki. Dziś, co sami doskonale znamy ze Śląska, jest trochę inaczej. Wirginia Zachodnia popada w ruinę, opuszczone górnicze miasteczka straszą, szerzy się narkomania i alkoholizm. W takich miejscach jak ten stan, jak Karolina Południowa, Alabama czy najbiedniejsze w Ameryce Missisipi widać beznadzieję.

Pamiętam, jak zaraz po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych wybraliśmy się na kilka dni do Myrtle Beach w Karolinie Południowej, zachwalanego kurortu nad Atlantykiem. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że na to miejsce powszechnie mówi się „buraczana riwiera”. Przeważnie przyjeżdżają tam odpoczywać biedniejsi Amerykanie. Sama okolica do najbogatszych zdecydowanie nie należy, choć nam, a zwłaszcza dzieciakom, bardzo się podobało. Ja zupełnie zwariowałem, gdy okazało się, że za dwadzieścia dolarów od łebka można się tam przelecieć śmigłowcem!

W drodze powrotnej do domu zamiast jechać autostradą, postanowiłem pooglądać krajobrazy. Właśnie wtedy Ola pierwszy raz zobaczyła to, o czym wielokrotnie jej opowiadałem, choć z perspektywy waszyngtońskich przedmieść trudno jej było uwierzyć, że takie miejsca naprawdę istnieją.

Mobile homes, ruchome domy, czyli mieszkalne przyczepy, mają status normalnych domów. W tych biednych rejonach Stanów Zjednoczonych są całe miasteczka z nich złożone. Barak można kupić za trzydzieści do czterdziestu tysięcy dolarów, stawia się go w miejscu zwanym RV Park i ma się dom całą gębą. W całej Ameryce jest prawie dziewięć milionów takich „domów”.

„Parki” robią przygnębiające wrażenie. Co więcej, okazuje się, że te baraki są bardzo niebezpieczne. W 2010 roku, gdy obsługiwałem wyciek ropy z platformy wiertniczej w Zatoce Meksykańskiej, jedyną opcją hotelową był motelocamping, w którym można było wynająć taką przyczepę na noc. Wtedy Chris, nasz kolega, operator kamery z Associated Press, popatrzył na nas dziwnie i powiedział: „Chyba was popie...!”. A potem spokojnie jak nierozgarniętym dzieciom

wytłumaczył nam, że te budy palą się jak domki z kart. Sprawdziłem. Każdego roku płonie około trzynastu tysięcy takich konstrukcji. W pożarach ginie dwieście osób, a pół tysiąca zostaje rannych. Zrezygnowaliśmy z noclegu. W takiej sytuacji lepiej być niewyspanym.

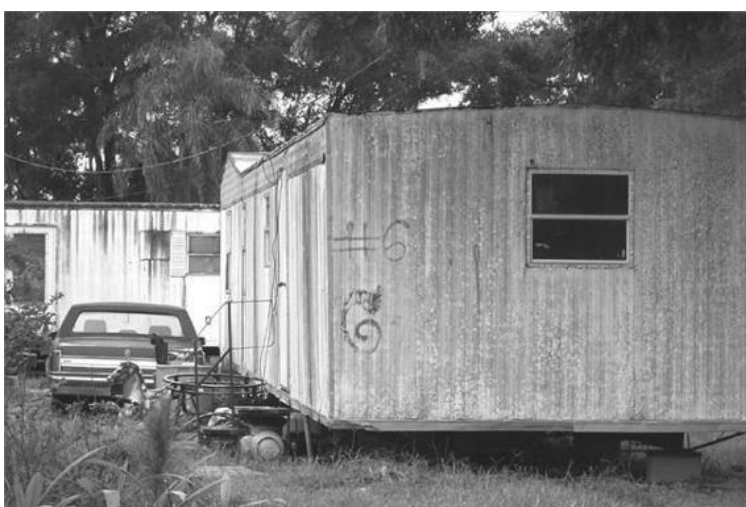


Kiedyś miałem pomysł, żeby kupić taki barak, aby było gdzie jeździć na weekendy. Ola mi o mało głowy nie urwała

Kryzys męczący Amerykę od 2008 roku sprawił, że wszystkim żyje się tu gorzej. Ceny poszybowały w górę, bezrobocie wzrosło do dziesięciu procent w 2009 roku, a co najgorsze, wszyscy stracili przynajmniej część swoich oszczędności. Kiedyś, gdy straszliwie narzekałem na niekorzystny kurs wymiany walut (zarabiam w złotówkach i co miesiąc po kursie dnia przeliczam moją pensję na dolary), jeden z moich kolegów postanowił podzielić się ze mną swoim problemem. Jego był poważniejszy. Tom jest emerytowanym wysokim oficerem amerykańskiej Straży Przybrzeżnej. Przez całe życie odkładał pieniądze w funduszu inwestycyjnym, żeby mieć godziwą emeryturę. W ciągu kilku miesięcy od wybuchu kryzysu stracił pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Godziwa emerytura zamieniła się w kiepską egzystencję i Tom zastanawia się nad szukaniem jakiejś pracy.



Bajkowe osiedle. Na takie barakowozy Amerykanie z dumą mówią dom”



„Przytulne gniazdko” w wersji ze środkowej Florydy

Jak wynika z danych opublikowanych przez rząd, w latach 2007-2010 wartość przeciętnej, statystycznej amerykańskiej rodziny spadła o czterdzieści procent. W praktyce oznacza to, że spadła wartość domu, za który trzeba płacić raty, które wcale nie zmalowały. Zmniejszyła się wartość inwestycji i oszczędności tak jak w przypadku Toma. Wyliczono, że w 2007 roku przeciętna amerykańska rodzina była warta sto dwadzieścia sześć tysięcy dolarów, trzy lata później już tylko siedemdziesiąt siedem tysięcy.

Latem 2012 roku odwiedziłem Stockton w Kalifornii. Miasto ma prawie trzysta tysięcy mieszkańców, jest w pierwszej dziesiątce najbardziej niebezpiecznych miast w Ameryce, a magazyn „Forbes” ogłosił, że jest to najbardziej „pożałowania godne” miasto w Stanach Zjednoczonych. Stockton jest też największym miastem, które ogłosiło bankructwo. Zwolniono tam z pracy dwadzieścia pięć procent policjantów, trzydzieści procent strażaków i aż czterdzieści trzy procent pracowników pozostałych służb miejskich.

Żeby obraz tego kryzysowego miasteczka był pełny, dodam jeszcze, że przoduje ono pod względem liczby domów przejętych przez banki. Yuri Campos straciła swój dom, gdy spłacanie kredytu stało się niemożliwe. Za budynek w 2005 roku zapłaciła ponad trzysta tysięcy dolarów, gdy bank go jej odbierał, jego wartość wyceniono na nieco ponad sto tysięcy.

Teraz, uwaga, szokująca liczba. Od początku wielkiego kryzysu do wiosny 2012 roku banki zabrały Amerykanom łącznie trzy i pół miliona domów!

Kryzys i ubożenie Ameryki widać na każdym kroku. Mój najbliższy przyjaciel, wspomniany już artysta malarz David, przyznał, że przed kryzysem sprzedawał obrazy za mniej więcej siedemnaście do dwudziestu tysięcy dolarów rocznie. W najgorszym pokryzysowym roku na swoim malarstwie zarobił tylko kilkaset dolarów, a uczelnia, na której wykłada rysunek, znacznie obcięła mu liczbę zajęć. David też ma niespłacony kredyt na dom i choć z założenia jest optymistą, to tak jak wszyscy Amerykanie z obawą patrzy w przyszłość.

Właśnie wróciłem z sądu dla hrabstwa Arapahoe. Byłem w sali przylegającej do tej, w której odbyła się jego pierwsza, kilkuminutowa rozprawa. Mieliśmy oglądać ją na monitorze, ale wielki ekran całkowicie przestał mnie interesować, gdy go zobaczyłem. Mówi się o nim potwór, szaleniec, demon zła.

Mignęły mi jego jaskrawa czupryna, czerwony więzienny strój i prowadzący go policjant. Zobaczyłem go przez szybę w drzwiach prowadzących do wewnętrznego korytarza, który łączy poszczególne sale rozpraw.

To trwało sekundę, ale świadomość, że kilka metrów od ciebie przechodzi wielokrotny morderca, jest niesamowita. Reporter często musi wyłączyć swoje uczucia, zbudować mur, żeby móc w sposób jak najbardziej profesjonalny wykonać swoje zadanie. Ale James Eagan Holmes przez ten ułamek sekundy w sądzie w Kolorado przebił się przez moją zaporę. Po plecach przeszły mi ciarki. Może dlatego, że przy okazji tej masakry widziałem wyjątkowo dużo łez i bólu, a wśród zabitych i rannych były też dzieci.

Holmes zaatakował w piątek 20 lipca 2012 roku, pół godziny po północy. Ubrany w taktyczny strój bojowy z kamizelką kuloodporną, maską przeciwigazową, ochraniaczami gardła i krocza zaatakował. Rozpylił gaz łzawiący i zaczął strzelać na premierowym pokazie filmu o Batmanie.

Kule łącznie trafiły siedemdziesiąt osób. Cztery dni po zamachu, gdy to piszę, nie żyje dwanaście osób, a pięćdziesiąt osiem jest rannych. Robię to zastrzeżenie dlatego, że burmistrz miasteczka Aurora, w którym doszło do strzelaniny, powiedział, że niektórzy z rannych mają tak poważne obrażenia, że mogą umrzeć w każdej chwili. Mam głęboką nadzieję, że obawy burmistrz się nie sprawdzą.

Takie masakry powodują, że Amerykanie się jednoczą. Znamy ten mechanizm również z naszego podwórka. Niestety, w najnowszej historii aż za często musieliśmy się przekonywać, że u nas działa to w podobny sposób. Podobny, ale nie taki sam. Wydaje mi się, że Amerykanie jakoś inaczej reagują na ból związany z tak potwornym cierpieniem.

Najbardziej zaskoczyły mnie balony. Zobaczyłem je pierwszy raz chyba po masakrze w Tucson w Arizonie w styczniu 2011 roku. Wtedy chory na schizofrenię dwudziestotrzyletni Jared Lee Loughner zaatakował mały wiec polityczny demokratycznej członkini Kongresu Gabrielle Giffords. Zastrzelił sześć osób, trzynaście ranił. Kongresmenka, zwana Gabby, została postrzelona w głowę, kula przeszła na wylot. Później przez wiele miesięcy Gabby na oczach całego świata toczyła walkę o powrót do w miarę normalnego życia. Mimo poważnego uszkodzenia mózgu i usunięcia sporego kawałka czaszki pani kongresmen odzyskała częściowo mowę, chodzi i jest w stanie pisać.

Wróćmy do stycznia 2011 roku. Zwykle dzień po podobnej tragedii Amerykanie dość spontanicznie w jakimś ważnym punkcie miasta, w którym rozegrał się horror, organizują czuwanie modlitewne. Są łązy, wspomnienia, świece, kwiaty i... balony. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Widok kolorowych, radosnych balonów kompletnie mi nie pasował do sytuacji. Ale na ustach niektórych uczestników czuwania zacząłem dostrzegać uśmiech, do uszu zaczął nawet dochodzić śmiech. Zastanawiałem się, o co chodzi, czy to jakiś dziwny, ponury żart? Otóż nie, tych, którzy odeszli, najlepiej zapamiętać właśnie z uśmiechem i z radością. Te balony są zwykle dla najmłodszych ofiar

od ich kolegów i przyjaciół.

Niezwykłe to wzruszające.

W mieście Aurora balonów było jeszcze więcej. Tu zginęła sześciolatka Weronika, tu zginął osiemnastoletni AJ, który dopiero skończył liceum. To na boisku jego szkoły w niebo poszybowały dziesiątki balonów, dzień później na czuwaniu niedaleko kina, w którym doszło do masakry, balonów było więcej. Czerwone w kształcie serca, srebrne z kwiatami i małe, różowe baloniki.

Były łzy i ból, to prawda, ale ciągle widzę te balony i taki cierpiący uśmiech, gdy wspominało najmłodsze ofiary strzelaniny.

Pięć miesięcy po naszym przyjeździe do Stanów Zjednoczonych doszło do najtragiczniejszej w skutkach masakry. W naszym stanie, w Wirginii, w miasteczku Blacksburg dwudziestotrzyletni Cho Seung-Hui zastrzelił trzydzieści dwie osoby na politechnice Virginia Tech. To był mój pierwszy kontakt z amerykańskimi masakrami.

Gdy w pośpiechu pakowałem się, żeby jechać do Blacksburg, Ola w milczeniu oglądała pierwsze, chaotyczne relacje telewizyjne z miejsca tragedii. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co tak naprawdę się stało. W pewnym momencie usłyszałem, jak Ola pyta, może sama siebie, a może mnie, „Boże, gdzie myśmy przyjechali?!?”.

Zupełnie podświadomie po każdej takiej strzelaninie pojawia się strach. U nas ten lęk był ogromny. Świeżo przyjechaliśmy z Polski, gdzie nikt nie strzela na oślep do bezbronnych ludzi. Norweska masakra Andersa Breivika miała się dopiero wydarzyć za ponad cztery lata. W Europie nie mieliśmy do czynienia z tak bezsensowną śmiercią, z masowymi mordami na tak ogromną skalę. Owszem, były zamachy terrorystyczne, ale to jakoś nas, Polaków, nie dotyczyło, to zawsze było daleko.

W takiej sytuacji, gdy dochodzi do masakry, nie pomaga logika. Można sobie tłumaczyć, że łatwiej zginąć w wypadku samochodowym niż w ataku szaleńca, ale wyobraźnia pracuje i podsuwa same czarne scenariusze. W 2010 roku Yonathan Melaku, były żołnierz elitarniej formacji marines, ostrzelał między innymi Pentagon, czyli siedzibę amerykańskiego ministerstwa obrony. Strzelał też do Muzeum Marines w Quantico oraz biur rekrutacyjnych amerykańskiego wojska. Sprawa nie nabrała specjalnego rozgłosu w naszych mediach, bo Melaku strzelał tylko do budynków, nikogo ani nie zabił, ani nie zranił. Ale ten były żołnierz działał na „naszym” terenie, w północnej Wirginii, czasem zaledwie kilkanaście kilometrów od naszego domu. Na szczęście Ola nie śledziła wtedy zbyt dokładnie serwisów informacyjnych, ale przyszedł dzień, gdy musiałem na jakiś czas wyjechać z Waszyngtonu. Pamiętam, że w możliwie najdelikatniejszy sposób opowiedziałem Oli o polowaniu na snajpera, który w naszej okolicy strzela do obiektów wojskowych. Prosiłem ją, żeby z dziećmi nie wyjeżdżała do miasta, żeby unikała większych zgromadzeń. Znowu pojawił się strach.

Strach potęguje fakt, że jak już wcześniej pisałem, legalne kupienie broni to w Ameryce śmiesznie proste zadanie. Legalną broń mieli zamachowcy z Aurory, Tucson i Virginia Tech. Każdy z tych szaleńców poszedł do sklepu, przeszedł cały proces weryfikacyjny i na oścież przed każdym z nich otworzyły się drzwi do potężnego arsenału. Jak okazało się zaraz po zamachu w Kolorado, James Holmes bez żadnego problemu kupił sobie przez internet sześć tysięcy sztuk amunicji, które pocztą dostarczono mu do domu i do pracy. Szok!

Według badań opublikowanych w 2011 roku blisko połowa dorosłych Amerykanów (47%, źródło: Instytut Gallupa) przyznała, że w ich gospodarstwie rodzinnym jest broń. Karabin bądź pistolet może należeć tylko do jednego członka rodziny, ale jak należy założyć, dostęp do broni w razie potrzeby będzie miał każdy mieszkaniec domostwa.

Jak podaje Gun Policy News, w rękach Amerykanów jest dwieście siedemdziesiąt milionów sztuk broni palnej i Stany Zjednoczone zajmują pierwsze miejsce na świecie pod względem liczby sztuk broni na stu mieszkańców. Niech tylko u promila z tych ludzi, którzy śpią z pistoletem pod poduszką, rozwinie się szaleństwo i kolejna tragedia gotowa.

Ale w Stanach Zjednoczonych prawo do noszenia broni to polityczna święta krowa. Ten kraj założyli ludzie, którzy sami wydzielali ziemię kawałek po kawałku z rąk Indian. Obraz kowboja, który samotnie przemierza prerię z rewolwerem przy pasie i karabinem przy siodle, to nie literacka fikcja. Tak powstawała Ameryka i to jest element wciąż żywej kultury.

Pamiętam, że gdy podróżowaliśmy drogą z Kolorado przez Wyoming do Południowej Dakoty, gdzieś na trasie zatrzymaliśmy się w przydrożnej jadłodajni. Przy stoliku obok siadł facet, który wyglądał na pasażera wehikułu czasu, który do fast foodu przeniósł się z dziewiętnastego wieku. Na głowie kowbojski kapelusz, na nogach kowbojki z długimi cholewami, ze ściętym obcasem i noskami w szpic. Ale najważniejsze było to, co miał przypięte do pasa. W skórzanej kaburze był wielki rewolwer z rękojeścią z masy perłowej. Prawdziwy!

W czterdziestu trzech z pięćdziesięciu amerykańskich stanów zgodnie z prawem można nosić broń palną, która nie jest ukryta. Co więcej, jak już wspominałem, w przypadku wielu z tych stanów na to, by nosić pistolet w sposób widoczny dla wszystkich, nie jest potrzebne żadne pozwolenie.

To właśnie pozostałość z czasów kowbojskich, gdy broń noszono po to, by móc się obronić. Najbliższy szeryf był czasem oddalony o kilka dni jazdy konnej od farmy czy pastwiska, o policji nikt nie słyszał, nie wspominając o takich agencjach jak FBI, którego pierwowzór powstał dopiero na początku dwudziestego wieku.

Ta polityczna święta krowa to druga poprawka do amerykańskiej konstytucji. W grudniu 1791 roku w życie weszła Karta Praw Stanów Zjednoczonych, dziesięć pierwszych poprawek do amerykańskiej konstytucji. Nas najbardziej w tym kontekście interesuje zapis z drugiej poprawki, który stanowi, że „prawo obywateli do posiadania i noszenia broni nie może być naruszane”.

Przy okazji każdej strzelaniny, gdy są ofiary śmiertelne, gdy są publikowane dane statystyczne dotyczące liczby ludzi ginących z broni palnej, w Ameryce z całą siłą wraca dyskusja wokół drugiej poprawki. Jest o czym dyskutować. Oto szokujące, niewiarygodnie szokujące dane statystyczne. Od 2001 roku do połowy roku 2012 na wojnie w Afganistanie zginęło nieco ponad dwa tysiące amerykańskich żołnierzy. Jak informuje rozgłośnia WBEZ, w tym samym czasie w Chicago, największym polskim mieście na świecie po Warszawie, z broni palnej zabito pięć tysięcy ludzi! Ponad dwa razy więcej niż w Afganistanie! To są dane tylko z jednego amerykańskiego miasta.

Po strzelaninie na przedmieściach Denver prawo do posiadania broni stało się na chwilę jednym z elementów kampanii wyborczej. Nic dziwnego, Barack Obama i Mitt Romney do wyborów mieli tylko kilka miesięcy i każda kontrowersyjna kwestia mogła być dobrą amunicją w walce o głosy. Tymczasem zamiast zażartego pojedynku o to, czy i jak kontrolować broń, mieliśmy jakieś niewyraźne stwierdzenia. Romneya, że w zasadzie prawo jest dobre, i Obamy, żeby ograniczyć dostęp do broni typu wojskowego, półautomatycznej z wielkimi magazynkami. Ta sytuacja pokazuje siłę amerykańskiej tradycji i potęgę drugiej poprawki do konstytucji, której nikt nie ośmielił się podważyć.

W przypadku dwóch ze wspomnianych masakr, których skutki widziałem z bliska na własne oczy, pojawiła się jeszcze jedna, niezwykle ciekawa kwestia. Zarówno Cho Seung-Hui, zamachowiec z Virginia Tech, jak i Jared Lee Loughner, który strzelał w Tucson, mieli poważne problemy psychiczne. Ten pierwszy w szkole podstawowej i średniej uczestniczył w terapii, później, już na uczelni, prześladował i napastował dwie kobiety. Po tym incydencie sędzia orzekł, że Seung-Hui jest chory psychicznie i nakazał leczenie. I co? I nic. Informacja o tym nawet nie trafiła do policyjnej bazy danych i dzięki temu legalnie mógł kupić tyle sztuk broni, ile tylko chciał. Loughner przed atakiem też zachowywał się w sposób co najmniej dziwny. Nikt nie zareagował, nikt nie pomógł i nikt go nie powstrzymał.

Jeden z moich przyjaciół, którego imienia nie mogę podać, jest lekarzem psychiatrą. W Stanach Zjednoczonych praktykuje od kilkudziesięciu lat. To, co mi opowiada o poziomie opieki psychiatrycznej, powoduje, że włosy na głowie z przerażenia stają dęba. Jak mówi, gdy przyjechał do

północnej Wirginii, pracował w bardzo dobrym szpitalu psychiatrycznym dla dzieci i młodzieży. Dziś szpitala nie ma. Został zamknięty. W okolicy były dwa inne ośrodki dziennej pomocy psychiatrycznej. Dziś ich też nie ma. Również zostały zamknięte.

Dwóch psychiatrów zajmujących się młodzieżą przeszło na emeryturę, nikt nowy się nie pojawił. Przyjaciół opowiedział mi o jednej ze swoich pacjentek. Dziewczyna natychmiast potrzebuje dwudziestoczterogodzinnej szpitalnej pomocy psychiatrycznej. Prywatna firma ubezpieczeniowa nawet nie chce słyszeć o płaceniu za pobyt w placówce. Władze stanu też nie chcą pokryć kosztów leczenia. Z roku na rok jest coraz gorzej.

O tym, jak niebezpieczne skutki może mieć choroba psychiczna, przekonałem się na własnej skórze. W 2003 roku, gdy prowadziłem program „Pod Napięciem”, zaczął pisać do mnie listy Duch Prawdy. Jak twierdził, zesłał go Bóg i kazał mu ogłosić swoje przybycie na antenie TVN, w moim programie. Ponieważ się na to nie zgodziłem, Duch oświadczył, że Bóg kazał mu mnie zabić. Zaczęły napływać dokładne opisy materiałów wybuchowych oraz sposobu przeprowadzenia planowanego zamachu.

Listy trafiły do psychologa, który stwierdził, że nie ma żartów, i natychmiast wysłał je policji. Supergliniarze z Wydziału Terroru Kryminalnego Komendy Stołecznej Policji szukali Ducha Prawdy przez kilka tygodni. Ola była wtedy w ósmym miesiącu ciąży z Marysią, więc niespecjalnie dzieliłem się z nią opowieściami o Duchu. Przyszedł jednak dzień, kiedy policyjny psycholog stwierdził, że zamachowiec może zaatakować w każdej chwili, i dostaliśmy policyjną ochronę. Wtedy Ola musiała się o wszystkim dowiedzieć. Dłużej nie dało się wciskać jej kitów.

Duch okazał się być dwudziestoletnim studentem informatyki, u którego po zatrzymaniu zdiagnozowano schizofrenię. W moim przypadku system zadziałał. W Ameryce, gdzie system wyraźnie kuleje, chory człowiek idzie do sklepu, kupuje karabin i jako Joker z filmu o Batmanie morduje kilkanaście osób. Dlatego nikt nie zastanawia się tutaj, czy dojdzie do kolejnej masakry. Wiadomo, że dojdzie. Pytanie tylko kiedy.

Czy Amerykanie lubią się bawić? Bardzo. Festyny, zabawy i jarmarki są wszędzie, bawią się wszyscy i to przeważnie bez alkoholu. To chyba był dla nas pierwszy szok. No bo co to za impreza bez ogródka piwnego? Jak przypominam sobie przeróżne zgromadzenia typu „Wianki na Wiśle”, browar lał się zawsze szerokim strumieniem, bez tego nie było zabawy.

Tu, generalnie rzecz biorąc, na ogólnodostępnych imprezach alkoholu nie ma, a jeśli jest, to nie widać ludzi, którzy przedobrzyli z trunkami. Co ciekawe, w wielu stanach policja może aresztować osobnika za „bycie pijanym w miejscu publicznym”. Taki nagrzmocony delikwent zostaje zakuty w kajdanki i trafia na regularny dołek, bo zataczanie się w miejscu publicznym jest niezgodne z prawem.

Ale wracając do zabaw, piwo, a nawet mocniejsze napoje są sprzedawane podczas imprez sportowych, to prawda. Popijają niektórzy, ale kibice przeciwnych drużyn siedzą koło siebie, nie ma płotów, zasieków, bunkrów i uzbrojonych po zęby policjantów. Kibice nie przychodzą na mecze z zamiarem utoczenia krwi członkom przeciwnego plemienia, po prostu kibicują, a nawet, o zgrozo!, po meczu gratulują zwycięstwa zwolennikom drużyny przeciwnej.

Prawdziwego zabawowego ducha widać jednak w małych lokalnych społecznościach. Od czasu do czasu festyny organizują kościoły czy przeróżne kółka zainteresowań.

W naszym miasteczku, Falls Church w stanie Wirginia, które pieszczotliwie nazywamy wioską, w każdy pierwszy piątek miesiąca lokalni artyści zbierają się na placu między ośrodkiem zdrowia a restauracją azjatycką i robią swój Art Show. Muszę przyznać, że byliśmy dumni z odwagi naszej koleżanki Joli, która jest miejscową malarką. Otóż Jola przybyła, to właściwe w tym wypadku słowo, na jeden z takich artystycznych pokazów w... pełnym stroju krakowskim. Akurat przejeżdżałem wtedy w okolicy na moim skuterze i z wrażenia o mało nie wpadłem na drzewo. „Lokalesi” z równym zainteresowaniem podziwiali obrazy, jak strój Joli.

Ale dość obgadywania znajomych, przynajmniej na razie. Nasze Falls Church ma zaledwie dwanaście tysięcy mieszkańców, a oprócz Artystycznego Piątku mamy tu latem Bluesowe Czwartki, seanse kinowe pod gołym niebem, a co weekend targ warzywny, który też jest trochę festynem. No i oczywiście nasza wioska świętuje na całego wtedy, kiedy świętuje Ameryka, czwartego lipca.

Czwarty lipca, czyli amerykański Dzień Niepodległości, to dzień, w którym cały kraj dostaje szalę radości. W 1776 roku właśnie czwartego lipca amerykański Kongres przyjął Deklarację Niepodległości, brytyjskie kolonie przestały być koloniami, a stały się Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Podręczniki historii ogłaszają, że to dzień narodzin nowego państwa, a Amerykanie świętują.

Tu nie ma pokazów sztucznych ogni o północy, gdy kończy się stary, a zaczyna nowy rok. W Stanach istna orgia podniebnych wybuchów odbywa się właśnie czwartego lipca. Najśłynniejsze są te pokazy na National Mall w Waszyngtonie, czyli w wielkim parku, który rozciąga się na długości trzech kilometrów między Kapitołem a pomnikiem prezydenta Lincolna.

W ciągu dwudziestu minut nawet pół miliona widzów ogląda, jak w powietrze wylatuje trzydzieści ton materiałów wybuchowych. To Waszyngton, ale swój pokaz ma też nasze Falls Church. Na boisku sportowym naszej szkoły średniej najpierw mamy festyn, kiełbaski, hot dogi i muzykę na żywo,

a później trwający też dobre kilkadziesiąt minut pokaz sztucznych ogni. Może nie tak okazały jak w stolicy, ale też fajny.

Jeszcze słowo o tym boisku szkolnym. Należy ono do publicznej, czyli „państwowej”, szkoły. Ma zawodową bieżnię, trawiastą murawę, trybuny i... potężne oświetlenie, dzięki czemu dzieciaki mogą grać i trenować nawet w nocy. Jeśli mnie pamięć nie myli, to oświetlenie było sporym problemem niektórych z naszych ligowych boisk, a tu proszę, zwykła szkoła średnia i boisko jak się patrzy.

Jeśli chodzi o świętowanie, nam bardzo podobają się amerykańskie parady. Nie ma najmniejszego sensu wymienianie wszystkich czy nawet tych największych, bo są ich setki. W Waszyngtonie paraduje się z okazji dnia świętego Patryka, no i oczywiście rano czwartego lipca z okazji Dnia Niepodległości. W Nowym Jorku uwagę całego świata przyciąga parada Macy's organizowana z okazji Święta Dziękczynienia. Pierwsza z tych parad wyruszyła ulicami Manhattanu w 1924 roku i tak wędruje sobie rokrocznie. Dziś słynie z ogromnych balonów w kształcie bohaterów z kreskówek, których kocha cała Ameryka.

I znowu ciekawostka. Jedne z pierwszych Świąt Dziękczynienia amerykańscy osadnicy obchodzili wspólnie z Indianami ze szczepu Wampanoag. Korzeni święta historycy doszukują się w europejskich dożynkach – święcie wdzięczności za plony. Ponoć Indianie pomogli pierwszym osadnikom przetrwać wyjątkowo trudny rok. Później w podzięce potomkowie osadników pozamykali potomków Indian w rezerwatach.

Parady, sztuczne ognie, koncerty i mecze to poniekąd świętowanie i zabawy, jakie znamy również u nas, w Polsce. Wrony szczególnie ukochały sobie te prawdziwie amerykańskie i kowbojskie, czyli wiejskie jarmarki. Od lata do późnej jesieni każdy amerykański powiat organizuje jarmark połączony z festynem. Główne założenie jest jak najbardziej rolnicze. Zwykle przez cały tydzień od rana codziennie prezentują się hodowcy i farmerzy. Sprzedają bydło, na wybiegach pokazują swoje najpiękniejsze konie, a komisje złożone z władz powiatu i najbardziej szanowanych rolników nagradzają najładniejsze sztuki.

Takie jarmarki fascynują nas z dwóch powodów. Po pierwsze, to tam widać coś, co my nazywamy „prawdziwą Ameryką”. Stany Zjednoczone to głównie małe, podupadające miasteczka położone daleko od Nowego Jorku, Chicago czy Los Angeles, gdzie ludzie ciężko pracują i mają potężne kłopoty z tym, żeby związać koniec z końcem. A po drugie, Amerykę założyli rolnicy, a nie prawnicy i finansiści, którzy dziś tu rządzą. Zatem na tych wiejskich imprezach wyraźnie można jeszcze wyczuć ducha tej starej Ameryki.

Gdy w Polsce słuchałem muzyki country, czułem, że coś tu jest nie tak, że ta muzyka u nas, w kraju nad Wisłą, brzmi jakoś fałszywie. Co innego na wiejskich jarmarkach w samym sercu Ameryki. Lokalni muzycy grają na instrumentach, z którymi wyrosli od małego, grają to, co wcześniej grali ich ojcowie i dziadkowie, jednym słowem, jest to szczerze, prawdziwe i jak najbardziej na miejscu. A do tego, gdy słucha się kapeli grającej na scenie byle jak zbitej z desek, zajada się kanapkę z duszoną wieprzowiną i pije prawdziwą gorzką mrożoną herbatę, wtedy muzyka country jest naprawdę bardzo fajna.

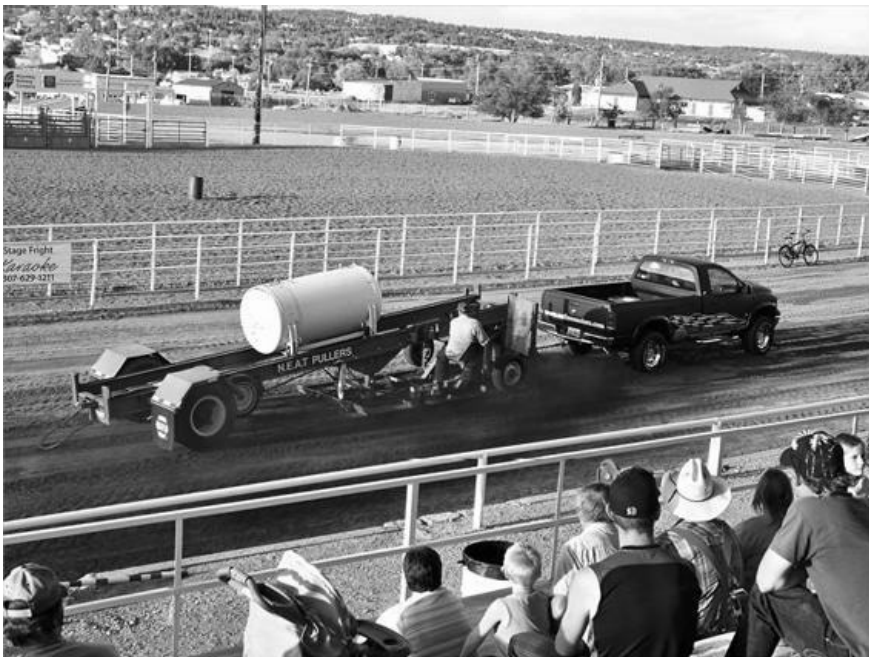
Dzieciaki szczególnie uwielbiają aspekt rozrywkowy wiejskich imprez. Janek i Marysia są absolutnymi fanami czegoś, co nazywa się Demolition Derby. W kilku słowach postaram się wyjaśnić zasady tego niezwykle skomplikowanego i wysmakowanego sportu motorowego. Na placu otoczonym betonowymi zaporami pojawia się od kilku do kilkunastu pojazdów, każdy z jednym osobnikiem kierującym w środku. Samochody lata świetności dawno mają za sobą, generalnie rzecz biorąc, są to graty, które jeszcze ostatnim wysiłkiem woli jakoś jadą do przodu i do tyłu. Na hasło „start” pojazdy ruszają i uderzają w siebie z całym impetem, na jaki je stać.auta walą w siebie tak długo, aż na placu boju zostanie ostatni samochód, który jest jeszcze w stanie się poruszać.

Jak łatwo sobie wyobrazić, zawodom towarzyszy huk, zgrzyt zgniatanych blach, często wybuchają

pożary, a płyn chłodniczy leje się na rozgrzane silniki i powoduje, że zawody odbywają się w kłębach dymu i pary. Dzieci wyją ze szczęścia, a publiczność wydaje kowbojskie okrzyki, gdy spychacze i buldożery oczyszczają plac dla kolejnych zawodników. Bo to dopiero eliminacje. W wyścigu finałowym startują zwycięzcy eliminacji na tych ledwo poruszających się gratach, które przeżyły wcześniejsze zmagania. Często zawodnicy są nie mniej poobłukiwani niż ich doszczętnie rozwalone maszyny.



Po tych zawodach Janek przysiągł sobie i nam, że w przyszłości będzie zawodnikiem Demolition Derby. Może być, ale niech go ręka boska broni przed demolowaniem naszych aut!



Iiiiihaaaa!!! – tak się wtedy darłem. Nie wiem, kto wygrał, ale ubaw był super

Na tym nie koniec. Na specjalnych torach wyścigowych odbywają się zawody w ciągnięciu przyczepy z ładunkiem przesuwanym się w kierunku ciągnącego ją pojazdu. Ten zmieniający się środek ciężkości powoduje, że przyczepę ciągnie się coraz trudniej, aż wreszcie staje się to całkowicie niemożliwe. Wygrywa ten, kto dociągnie najdalej. Urządzeniami ciągnącymi są albo traktory, albo wiejskie pick-upy. Często są to maszyny mocno przerobione, a moc ich silników potrafi przekraczać nawet tysiąc koni mechanicznych. Zabawa jest przednia, bo silniki wyją jak oszalałe, z rur

wydechowych, a w zasadzie z kominów, wydobywają się kłęby czarnego dymu, a spod kół wylatują tony błota i żwiru.

Rolnicy uwielbiają zabawy ze swoimi pick-upami, a w Ameryce im większe i głośniejsze, tym lepsze. I tak oto pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku powstały pierwsze



Ten obywatel, co to ledwo sięga do połowy koła, to nasz Monster Jan

monster trucki. Dziś ten wiejski sport wszedł w główny nurt amerykańskich sportów motorowych, ale zaczęło się od lokalnych jarmarków i festynów. Pierwsze monster trucki to były nieznacznie przerobione i podwyższone pick-upy, dziś są to specjalnie przygotowywane konstrukcje, a silniki tych potworów mają moc dochodzącą do dwóch tysięcy koni mechanicznych.

Najsłynniejszy monster truck to Grave Digger, którego stworzył Dennis Anderson. Facet jest absolutną gwiazdą, a mimo to ani trochę mu nie odbiło i nadal cieszy go to, co robi. Z Jankiem pojechaliśmy kiedyś do jego posiadłości w Karolinie Północnej, gdzie zorganizował festyn dla dzieci. Maluchy miały przejażdżki monster truckami, mogły włączyć na te wielkie maszyny, Anderson rozdawał autografy i ściskał dzieciaki. Janek, i nie ma co ukrywać, ja też, byliśmy w siódmym niebie.

Przez te kilka lat przekonaliśmy się, że Amerykanie potrafią się świetnie bawić, a największą frajdę gwarantują wiejsko-kowbojskie festyny, które sięgają do tradycji farmerskiej, która stworzyła ten kraj.

Od prawdziwych przyjaźni po lekki łomocik. Tak wygląda w skrócie sześć lat naszych spotkań z rodakami za Wielką wodą. O tym, jak dostałem w łeb, opowiedziałem do tej pory tylko kilku znajomym, teraz czas, by swoją bezsilnością pochwalić się publicznie.

To była oficjalna wizyta państwowa. Polski dostojnik miał spotkanie z rodakami na Greenpointie w Nowym Jorku. Greenpoint to polska dzielnica Brooklynu. Choć swoje najlepsze lata ma już niestety za sobą, to ciągle mieszkają tam tysiące Polaków, są polskie sklepy, restauracje, generalnie to taka mała nowojorska Polska.

Czekaliśmy na dostojnika w wyznaczonym dla prasy punkcie. Fakt, widok z tamtego miejsca był najlepszy, dlatego właśnie tam ustawiono kamery. Grupa niewiast doszła do wniosku, że im też należy się dobry widok, i zaczęły napierać na naszą ekipę telewizyjną. Nie pozostało mi nic innego, jak zasłonić operatora swoim zwalistym cielskiem, rozłożyć ramiona i trwać. I stałbym tak sobie spokojnie do zakończenia zdjęć, gdyby nie to, że nagle głowa odskoczyła mi w bok, w ucho zadźwięczało, a później całe ucho zaczęło cholernie piec. Od walecznej niewiasty stojącej bezpośrednio za mną dostałem z liścia, czyli z otwartej dłoni, w łeb.

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem zaciętą twarz i usłyszałem: „Ty chamie jeden!”. Świat zawirował mi przed oczami. Już chciałem zakrzyknąć: „Kobieta mnie bije!”, cytując Maksa z *Seksmisji*, gdy dotarł do mnie absurd całej sytuacji. Od chamów wyzywa mnie kobitka, która nie dość że wtargnęła tam, gdzie jej być nie powinno, to jeszcze wali mnie w łeb i ma pretensje, że ten zły to ja. Oddać? No w życiu! Na niewiastę ręki nie podniosę! Zawołać policję? Będzie jeszcze gorzej. Postanowiłem udać, że nic się nie stało, choć ucho zrobiło się już całe czerwone i piekło coraz bardziej.

Zachęcona moją totalną bezsilnością bojowa białogłowa w wieku mocno średnim skrzyknęła swoje koleżanki i gdy z operatorem przechodziliśmy do budynku, w którym odbywało się spotkanie z dostojnikiem, panie utworzyły szpaler i przy wtórze okrzyków „Cham! Cham! Cham!” skopały mnie po kostkach.

Specjalnie nie podaję nazwiska dostojnika ani szczegółów garderoby niewiast, żeby nie być posądzonym o upolitycznienie mojego „strzału w łeb”.

To była chyba jedyna naprawdę nieprzyjemna przygoda z rodakami. Reszta to fajne, czasem bardzo fajne spotkania, fascynacje i kilka przyjaźni.

Gdy wprowadziliśmy się do Falls Church, nie znaleźmy prawie nikogo ani w sąsiedztwie, ani w szeroko rozumianej aglomeracji waszyngtońskiej. Wybór miasteczka był raczej przypadkowy, a na pewno w stu procentach przypadkowy był wybór naszego osiedla i co za tym idzie – sąsiadów.

Kilka dni po naszej przeprowadzce przedstawili się nam sąsiedzi zza ściany – Tom i Kelly. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, pierwsze pytanie dotyczyło tego, skąd jesteśmy. Gdy padło słowo „Polska”, Kelly wyszeptała: „O Boże!”, w jej oczach pojawiły się łzy, a Tom zaczął się nam dziwnie przyglądać. Poczuliśmy się nieswojo. Kompletnie nie wiedzieliśmy, co zrobić, gdy nagle Kelly zaczęła nas przytulać, powtarzając w kółko: „Dziękuję, dziękuję, dziękuję...”.

Kolejny raz przekonaliśmy się, że życie potrafi być dziwniejsze i bardziej niesamowite niż fikcja literacka. Okazało się, że Tom i Kelly właśnie zakończyli ciągnące się miesiącami formalności adopcyjne. Ich rodzina miała powiększyć się o Olę, Piotrusia i Tomka, rodzeństwo z domu dziecka na

Śląsku. Problem w tym, że żadne z rodziców nie mówiło nawet słowa po polsku, dzieci ani słowa po angielsku, a tu nagle za ścianą pojawia się polska rodzina, która potrafi dogadać się i w jednym, i w drugim języku.

Przez kilka miesięcy dzieciaki mieszkaly trochę u nas, trochę u siebie. Pierwszym słowem, którego Kelly nauczyła się po polsku, była „kupa”. Chyba nie muszę wyjaśniać w jakich okolicznościach stało się ono bliskie naszym przyjaciołom. Ta cała polsko-amerykańska rodzinna historia sprawiła, że dzięki „naszym” dzieciakom bardzo zaprzyjaźniliśmy się z sąsiadami.

Tom i Kelly ze wszystkich sił starali się zachować polskość dzieciaków, nawet zapisali się na kurs językowy przy polskiej parafii w Waszyngtonie. Na zakończenie roku szkolnego pięknie deklamowali *Lokomotywę* Tuwima. Niestety, musieli się poddać, gdy Tom został przeniesiony na Key West na samym południu Florydy. Choć „kupa”, „babcia” i „dziadzia” są dalej w ich rodzinnym słowniku. Z najstarszym, Tomkiem, mamy umowę, że kiedyś razem pojedziemy do Polski.

Ola, Piotruś i Tomek to najmłodszy, ale dla nas chyba najważniejsi z rodaków, których poznaliśmy w Ameryce.

Niezlą historię mają też inni z naszych amerykańskich przyjaciół – Marzena i Adam. On wyjechał jeszcze z komunistycznej Polski, najpierw była Hiszpania, później skok przez Atlantyk i zaczęła się przygoda z Ameryką. Adam, jak sam mówi, w Stanach robił wszystko, również to, o czym marzy każdy duży chłopak. Przez jakiś czas przemierzał Amerykę gigantycznymi ciężarówkami. Od razu przypominają mi się filmy z dzieciństwa: *Konwój* i *Mistrz kierownicy ucieka*.

Marzena w tym czasie żyła sobie w Polsce. Co ich łączyło? Ano licealna miłość. I znowu wchodzimy w świat scenariuszy do filmów hollywoodzkich. Chyba po dwudziestu latach Adam postanowił odszukać miłość swojego życia. Udało się, choć nie obyło się bez wydarzeń pasujących bardziej do filmu sensacyjnego niż tkliwego romansidła. Dziś Adam i Marzena mieszkają niedaleko nas, są naszymi przyjaciółmi, a Adam udowodnił, że jak się chce, to w Ameryce można odnieść gigantyczny sukces biznesowy, trzeba mieć tylko oryginalny pomysł.

Zawsze ogromne wrażenie robią na mnie Amerykanie polskiego pochodzenia, ludzie urodzeni w Stanach Zjednoczonych, którzy mogli zmienić swoje trudne do wymówienia polskie nazwiska na jakieś brzmiące z amerykańska, mogli odciąć się od polskich korzeni, a jednak tego nie zrobili, co więcej, pielęgnują polskość na każdym kroku.

Waldek Raczkowski urodził się na przedmieściach Detroit. Jego tata był robotnikiem w zakładach Forda. Waldek się uczył i powoli zaczynał odnosić sukcesy. Najpierw były banki na nowojorskiej Wall Street, później powrót do Detroit i praca w Ford Motor Company, tam, gdzie kiedyś pracował jego tata. Dziś Waldek jest chyba najwyższym postawionym Polonusem w stolicy amerykańskiego przemysłu samochodowego – jest szefem działu analiz globalnych Forda.

Z Waldkiem od czasu do czasu rozmawiamy telefonicznie, narzekamy na to, w jakim kierunku zmierza gospodarka w Ameryce i Europie, utyskujemy na rządy tu i tam. Zawsze, bez względu na to, o czym rozmawiamy, w użyciu jest język polski. Za to mam do Waldka ogromny szacunek, jego polszczyzna jest bez zarzutu. A przecież urodził się i wychował w Stanach! Gdy czasem przypadkowo przejdę na angielski, Waldek natychmiast mnie poprawia i skruszony wracam do mowy ojczystej.

Z takich ludzi jak Raczkowski czy Alex Storożynski jestem naprawdę dumny. Alex też urodził się poza Polską, też uczył się i wychowywał w Ameryce. Teraz jest prezesem Fundacji Kościuszkowskiej. Za sprawy polskie w Ameryce dałby się pokroić. To on pierwszy zaprotestował, pisząc: „Obama musi przeprosić!”, gdy amerykański prezydent w Białym Domu powiedział o „polskim obozie zagłady” podczas ceremonii przyznania Janowi Karskiemu Medalu Wolności.

Alex z zespołem nowojorskiej gazety „Daily News” dostał Nagrodę Pulitzera będącą dziennikarskim Oskarem. Ale jak sądzę, my powinniśmy być mu wdzięczni za książkę *Kościuszko. Księżę chłopów*. To, że książka ukazała się w Polsce, to jedno, ale szalenie ważne jest to, że Alex

napisał ją po angielsku dla amerykańskiego odbiorcy. Biografię Kościuszki czyta się jak dobry kryminał, a Amerykanie mogą przekonać się, ile zawdzięczają naszemu bohaterowi. Swoją drogą, mało kto wie, ale przed Białym Domem stoi pomnik Tadeusza Kościuszki.

Zupełnie inną grupę stanowią nasi rodacy, którzy swoją przyszłość związali ze Stanami Zjednoczonymi, postanowili się w tym kraju wykształcić i spróbować tu szczęścia. Tylko słowo o Pawle i Dorocie. Ona, absolwentka historii sztuki i medycyny, pracuje w Smithsonian Institution, czyli największym na świecie kompleksie muzeów, ogrodów zoologicznych i ośrodków badawczych. Dorota nie próżnuje i przygotowuje pracę doktorską.

On skończył prawo na Uniwersytecie Yale, szalenie prestiżowej uczelni amerykańskiej, a teraz jest współnikiem jednej z największych i najważniejszych kancelarii prawniczych w Waszyngtonie.

Pamiętają państwo przystojnego ciemnoskórego aktora ze Stalowej Woli, który zagrał w kraju w kilku filmach, serialach i programach kabaretowych? Omar Sangare, a właściwie doktor Omar Sangare, Stalową Wolę zamienił na betonowy Nowy Jork. Wykłada w Williams College, gra w teatrze, ale mnie najbardziej ciekawi jego festiwal monodramu „United Solo”. Bo oto kolejny raz nasz człowiek w kraju, w którym zdawałoby się, wymyślono już i zrobiono wszystko, wymyśla coś, co jest nowe i oryginalne.

Omar Sangare w Nowym Jorku, w mieście, które jest teatralnym pępkiem świata, stworzył największy na świecie festiwal monodramu. Co roku jesienią na Manhattan przybywa około stu aktorów, którzy przywożą ze sobą blisko setkę przedstawień. Do tego tysiące widzów i ogromny sukces gotowy.



Nasi są wszędzie. Pani Jadwiga na konwencji republikanów w 2012 roku przyjechała z New Jersey

To może wyglądać trochę na wyliczankę imion, nazwisk, miejsc i karier zawodowych. Ta lista mogłaby mieć wiele stron, bo przecież jest jeszcze prof. Maria Siemionow, która w Cleveland Clinic dokonała pierwszego w Ameryce przeszczepu twarzy. Jest całe grono genialnych operatorów filmowych. Są naukowcy, muzycy, biznesmeni. Z wieloma spotykaliśmy się podczas naszych rodzinnych podróży po Ameryce, z innymi czysto zawodowo, podczas pracy nad materiałami do

„Faktów”.

Ta wyliczanka jest konieczna po to, by pokazać, że w Stanach Zjednoczonych jesteśmy wszędzie, nie tylko w Chicago czy na nowojorskim Greenpoincie. Niezwykle często zdarza się, że ktoś mówi mi, że jego babcia, ciocia czy dziadek pochodzą gdzieś z Polski, że w jego żyłach płynie odrobina polskiej krwi. Nic dziwnego, w końcu aż dziesięć milionów Amerykanów przyznaje się do polskich korzeni. Jesteśmy liczącą się siłą w Stanach Zjednoczonych, choć niestety zdecydowanie za rzadko zdajemy sobie z tego sprawę i nie potrafimy tego wykorzystać.

Prowadzimy z Olą coś w rodzaju otwartego polskiego domu. Przez sześć lat odwiedziło nas kilkadziesiąt osób z Polski. Bliscy i dalsi znajomi, rodzina, przyjaciele, ludzie młodzi i tacy, którzy już wiedzą, że nie są nieśmiertelni. Zapraszamy wszystkich i na wszystkich czekamy z otwartymi ramionami. Dla nas to frajda, że możemy porozmawiać o kraju, a poza tym ja straszliwie lubię bawić się w przewodnika po okolicy. Zawsze przy okazji takich wycieczek sam dowiaduję się czegoś nowego.

Ola rozplanowała nasz dom w taki sposób, że goście mogą zamknąć się na najniższym poziomie budynku, gdzie mają do dyspozycji swoją sypialnię, łazienkę i salonik. Co prawda sypialenka jest bez okien, bo to piwnica, ale zawsze ma się trochę prywatności. Z wizytami gości jest tylko jeden problem. Na dzień przed ich przyjazdem Ola dostaje szalę sprzątaną, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik, a ja cierpię, bo sprzątania i prasowania jako rzeczy absolutnie niepotrzebnych organicznie nie znoszę.

Ale do rzeczy, dzięki naszym gościom opracowaliśmy sobie taki krótki poradnik, wykaz tego, co wolno, a czego lepiej nie robić. Wiadomo, stare powiedzonko co kraj to obyczaj nie wzięło się znikąd, a tu nie dość, że inny kraj, to jeszcze inny kontynent.

Najwięcej zamieszania robią przepisy i zwyczaje związane z alkoholem. My wypić lubimy, Amerykanie też, ale inaczej. Najlepiej sytuację ilustruje przygoda Edyty, przyjaciółki Oli, i jej męża. Człowiek ten, rodowity Brytyjczyk, poszedł z żoną i znajomymi na lunch w Waszyngtonie. Do lunchu zamówił sobie piwo. Po chwili, o zgrozo, zamówił drugie piwo. Zatroskani znajomi odciągnęli Edytę na bok i z przejęciem zaczęli pytać, czy jej mąż nie jest alkoholikiem i czy nie zorganizować dla niego odwyku. Dwa piwa!

Ale prawdą jest, że tu do lunchu alkoholu się nie pije, po przerwie na posiłek, zawsze od południa do trzynastej, masz wrócić do pracy trzeźwiuteńki, nawet jedno piwo to za dużo.

Uwaga! W Stanach Zjednoczonych można pić alkohol dopiero po skończeniu dwudziestu jeden lat. Co chwilę słyszę jęki osiemnasto- czy dziewiętnastolatków przyjeżdżających do nas z Polski, którym wybijam z głowy młotkiem wszelkie próby kupna alkoholu. Po pierwsze, jeśli sprzedawca ma choć cień podejrzenia, że nie skończyłeś dwudziestu jeden lat, natychmiast cię legitymuje. I nie pomogą żadne błagania.

Co więcej, za podanie nieletniemu alkoholu grożą gigantyczne kary. Dla przykładu podam stan Illinois, tam gdzie jest Chicago, czyli drugie po Warszawie największe na świecie polskie miasto. Tylko w wyjątkowych sytuacjach, tylko w domu i tylko rodzic może podać nieletniemu alkohol. Natomiast generalnie za udostępnienie nastolatkowi alkoholu dorosłym grozi... od pięciuset do dwóch i pół tysiąca dolarów kary i od jednego dnia do roku więzienia. Przypomina mi się w tym miejscu argument kogoś, kto powiedział: „dziwny to kraj, w którym żeby zagrać w filmie pornograficznym, wystarczy mieć skończone osiemnaście lat, a żeby napić się piwa, trzeba mieć dwadzieścia jeden”.

To nie koniec alkoholowych problemów. Zdarzyło mi się kilka razy, że podczas długiej podróży pasażerowie samochodu, który prowadziłem, postanawiali otworzyć sobie piwko i niespiesznie je wypić. Nie wolno! Przepisy różnią się w zależności od stanu, ale generalnie nie wolno mieć w aucie otwartego pojemnika z alkoholem, wszelkie puszki i butelki lepiej trzymać w bagażniku.

Na tym nie koniec. W samochodzie kierowanym przez człowieka, który zgodnie z prawem nie może pić alkoholu, nie może być nawet jednej kropelki z procentami.

W Stanach Zjednoczonych nie można też pić alkoholu na ulicy. Jest co prawda kilka wyjątków, taką alkoholową ulicą, którą ja znam, jest Bourbon Street w Nowym Orleanie. Tam wszyscy piją wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Ta ulica przypomina dno piekieł.

W każdym innym miejscu Ameryki widać natomiast od czasu do czasu dżentelmenów, którzy pociągają łyk z czegoś schowanego w brązowej papierowej torbie. Otóż, jak wieść gminna niesie, jeśli nie zachowujesz się jak człek nawalony, policjant nie ma przesłanek, aby przypuszczać, że w torbie jest alkohol. Choć oczywiście każdy wie, że jest tam coś wyskokowego. Dlatego alkohol jest zawsze sprzedawany w papierowych brązowych torbach.

Dlaczego tyle alkoholowych obostrzeń? Myślę, że to po trosze pozostałość tego, co doprowadziło do prohibicji. Konserwatywne, głównie protestanckie organizacje uważały, że tylko w ten sposób, zakazując produkcji i sprzedaży alkoholu, uda się uratować rodziny i społeczeństwo przed skutkami pijaństwa. Stąd osiemnasta poprawka do konstytucji uchwalona w 1919 roku i prohibicja trwająca od 1920 do 1933 roku.

Muszę się pochwalić, że dzięki prohibicji mamy wyjątkową pamiątkę. Ten okres przeszedł do historii między innymi dzięki gangom i słynnemu Alowi Capone. Kilka lat temu zrobiliśmy relację o chicagowskim domu gangstera, który został wystawiony na sprzedaż. Ówczesna właścicielka domu powiedziała mi, że po Capone w domu zostało już tylko stare lustro. Było śliczne. Po zdjęciach zadzwoniłem do Oli i opowiedziałem jej o odkryciu.

– A czy ta kobieta chce sprzedać to lustro? – zapytała Ola.

– Nie wiem – odparłem.

– To idź i zapytaj – kazała, no dobrze, poprosiła Ola.

Lustro Ala Capone dziś wisi u nas w jadalni. Jest ogromne. Waży ponad dwadzieścia kilogramów. Co chwilę ktoś doradza, żebym je rozkręcił, bo może Al coś tam schował. Jeszcze nie sprawdziłem, ale świadomość, że przeglądał się w nim „człowiek z blizną”, jest niesamowita.

Lista rzeczy, które wypada i których nie wypada tu robić, jest straszliwie długa. Uwaga na plażę! Panowie, zapomnijcie o polskich kąpielówkach. W trosce o przyzwoitość i ochronę moralności w Ameryce standardem są sięgające do kolan galoty. Na początku miałem z tym spory problem. Przecież nie idę na plażę po to, żeby gotować się w czymś, co wygląda jak długie spodnie. Teraz jest na odwrót. Podczas niedawnych wakacji w Europie nie mogłem się zmusić do założenia kąpielówek, bo wydawało mi się, że jestem w nich goły, i chcąc nie chcąc, polazłem na plażę w amerykańskich kalesonach.

Jeszcze zabawniej było, gdy pojechaliśmy z małą, czteroletnią Mają na plażę nad zatoką Chesapeake. U nas czteroletnie dziecko często gania po plaży na golasa, w Polsce wychodzimy z założenia, że nic mu się nie stanie i w ogóle nie zastanawiamy się nad tym nawet przez sekundę. Maria poszła się bawić w samych slipkach. Siedzimy sobie na ręcznikach, gadamy, Maria pluska się w wodzie i nagle Ola pyta, dlaczego ludzie dziwnie patrzą się na nasze dziecko. Popatrzyliśmy na ludzi, przyjrzeliliśmy się innym dzieciom i walnęło w nas jak grom z jasnego nieba. Zrozumieliśmy, że wszystkie dziewczynki, nawet te całkiem, całkiem małe, mają biustonosze! Jak by tego było mało, do Oli podeszła starsza pani i zwróciła jej uwagę, że nasze dziecko nie jest właściwie ubrane. Na szczęście w pobliżu był sklep z akcesoriami plażowymi i natychmiast kupiliśmy naszej czteroletniej córce pełny strój, żeby nie siała zgorszenia.



Wrona à la Al, czyli Wrona w lustrze Capone

A skoro o zgorszeniu, to trzeba też bardzo uważać z wylewnym okazywaniem uczuć swojej partnerce bądź partnerowi. Buziak w miejscu publicznym, trzymanie się za ręce, delikatne obejmowanie się są OK. Ale namiętne całowanie, obściskiwanie i dotykanie miejsc rozrywkowych absolutnie nie wchodzi w rachubę. Byłem kiedyś świadkiem, jak w muzeum w Trenton w stanie New Jersey para dwudziestolatek co chwilę się dość namiętnie całowała. Ochroniarz za każdym razem zwracał im uwagę, że to miejsce publiczne i zachowują się niemoralnie. Wreszcie za którymś razem nie wytrzymał i zagroził, że jeśli nie przestaną, wezwie policję. Młodzi wybuchnęli śmiechem i wyszli z muzeum.

Trochę zamieszania potrafią też wywołać zwyczaje restauracyjno-jedzeniowe. Prawie zawsze w restauracji, zanim jeszcze cokolwiek zamówisz, kelner przynosi wodę. Szklankę zwykle w połowie wypełnia lód, w połowie woda. Ola mówi na nią „woda kiblowa”, bo to zwykła kranówka. W Stanach Zjednoczonych wszędzie! woda w kranie jest zdatna do picia. Jeśli nie zaznaczysz, że prosisz o wodę butelkową, dostaniesz kranówkę, która ma osobliwy, kiblowy, posmak. Dobłą stroną tego zwyczaju jest to, że kranówkę wszędzie i zawsze dostaniesz za darmo.

Wiele lat temu mój dobry kolega ze środkowego zachodu obserwował, co podczas kolacji wyczyniam ze sztucami. Słowo daję, że nie robiłem niczego dziwnego. Moja mama dołożyła wszelkich starań, żeby synek wiedział, co robi się z nożem i widelcem. Ale moje praktyki wywołały widoczny niesmak u znajomego, który z sympatii do mnie postanowił udzielić mi wykładu. Podaną potrawę należy jak najszybciej pokroić na drobne kawałeczki. Zabawa w delikatne trzymanie noża to jakieś fanaberie, tu nóż trzyma się całą garścią tak jak tasak. Następnie po pokrojeniu mięsa nóż odkłada się na bok, bo więcej nie będzie już potrzebny, a rękę kładzie się na nodze, pod stołem. Później operuje się już tylko widelcem, no bo wszystko jest pokrojone.

Dlaczego tak? Ktoś wyjaśnił mi, choć nie wiem, ile w tym prawdy, że zwyczaj wziął się z Dzikiego Zachodu. W knajpie kowboj błyskawicznie kroił mięsiwo, po czym rękę chował pod stół, żeby w razie czego móc szybko dobyć kolta i odstrzelić ewentualnego bandziora.

Sztucce są bohaterem jeszcze jednego dość częstego nieporozumienia w restauracji. Dostajesz jeden widelec i jeden nóż i to ma ci wystarczyć na cały posiłek. Czyli po zjedzeniu przystawki kelner zabiera pusty talerz, ale zostawia ci twoje brudne sztuce, bo to nimi będziesz jeść danie główne. Prośby o wymianę sztuców wywołują tylko niepotrzebne zamieszanie i irytację kelnera.

Choć teoretycznie żadne prawo nie nakazuje zostawiania kelnerom napiwków, to robi to każdy.

Normalny napiwek wynosi od piętnastu do dwudziestu procent rachunku. Jeśli dasz poniżej piętnastu procent, nie zdziw się, że kelner albo kierownik sali grzecznie zapyta cię, co się stało, czy coś było nie tak. Bo *tip* w granicach dziesięciu procent oznacza twoje wielkie niezadowolenie z restauracji.

– How are you?

– Good, good, and you?

Na pożegnanie z tym rozdziałem dwa słowa o powitaniu. Powyższa wymiana uprzejmości to amerykański standard, który po polsku brzmi tak:

– Jak się masz?

– Dobrze, dobrze, a ty?

Pytaniom towarzyszy zawsze uprzejmy uśmiech. Wiem, że często jest to zwyczajowe zachowanie, które z radością, uprzejmością i faktycznym zainteresowaniem twoimi losami nie ma nic wspólnego. Ale gdy wchodzę do sklepu, wolę usłyszeć to niż wciąż spotykane u nas: „Czego?!?”.

Co ważne, na pytanie: „Jak się masz?” nie reagujemy pełną otwartością i nie opowiadamy o tym, co nas boli, jak bardzo do d... jest życie i jakie mamy problemy z żoną, dzieckiem czy kotem. W 1991 roku popełniłem taki błąd. To była moja pierwsza wizyta w Ameryce, stypendium dla młodych, obiecujących dziennikarzy z Polski. Byliśmy na jakimś przyjęciu zorganizowanym specjalnie dla nas, dziennikarzy z kraju, który właśnie obalił komunizm. W pewnej chwili podeszła do mnie starsza pani i zapytała: „How are you?”, a ja bez namysłu zacząłem jej opowiadać, jaki jestem zmęczony, ile tu mamy spotkań, że ciągle nie mogę się wyspać, bo się nie przestawiłem na amerykański czas itd., itp. Kobieta patrzyła na mnie z przerażeniem i gdy tylko się odwróciłem po szklaneczkę z jakimś napojem, babina w te pędy uciekła. „How are you?”, „Good” i tyle.

Wiem, że bywalcy i znawcy Ameryki będą wytykać, że nie napisałem jeszcze o tym czy o tamtym. Tych różnic jest wiele, ale to, co opisałem, zagwarantuje przynajmniej, że obywatel odwiedzający Stany nie zostanie aresztowany za piwko, nie będą pokazywać go palcami na plaży i poradzi sobie w restauracji.

Ostrzegano nas, że na nowe przyjaźnie w Ameryce nie mamy co liczyć. Uprzedzano, że Amerykanie po wkroczeniu w dorosłe życie niechętnie nawiązują nowe, bliskie znajomości, zwłaszcza gdy ewentualny przyjaciel lub znajomy jest obcokrajowcem.

Po tych kilku latach za Atlantykiem muszę przyznać, że jest w tym trochę racji, choć na szczęście nie jest to sama prawda i tylko prawda. Najlepiej widać to na przykładzie naszego podwórka. Mieszkamy w szeregowce, razem w naszym rządzie jest osiem przyklejonych do siebie domów. Mogę powiedzieć, że jako tako znamy tylko trzy rodziny z naszego najbliższego sąsiedztwa, o pozostałych czterech nie mamy najmniejszego pojęcia, nie znamy ich imion i nie wiemy, czym się zajmują.

Zacznę od Davida, sąsiada, który mieszka dwa domy dalej. Nigdy nie byliśmy u niego w domu i nigdy on nie był u nas. Robimy sobie drobne sąsiedzkie przysługi typu przechowywanie przesyłek, zbieranie gazet przynoszonych rano przed dom i tyle. W przypadku tego sąsiada, który wyjątkowo ceni sobie prywatność, to i tak dużo.

Jim i Andy to typowa amerykańska rodzina z trójką dzieci, tu ciągle ideałem jest model dwa plus trzy, nasze dzieciaki uwielbiają się razem bawić, ale my rozmawiamy tylko wtedy, gdy trzeba, absolutnie nie przebijając tej bariery chroniącej prywatność. Owszem, Maja i Janek chodzą bawić się do ich domu, ich dzieci są często u nas, ale to, co dzieje się na poziomie najmłodszych, zupełnie nie przekłada się na poziom rodziców.

Na naszym osiedlu jest bardzo dużo obcokrajowców, którzy podobnie jak my są tu na kilkuletnich kontraktach w przedstawicielstwach dyplomatycznych czy w międzynarodowych organizacjach finansowych takich jak Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Jim i Andy kumplują się z wieloma mieszkańcami osiedla, ale nigdy nie są to obcokrajowcy. Podobne zachowanie zaobserwowaliśmy w przypadku rodziców dzieciaków ze szkoły Marysi. Również tutaj Amerykanie trzymają się z Amerykanami, a obcokrajowcy są trochę osobno.

Tym obserwacjom i wnioskom kompletnie zaprzeczają nasi sąsiedzi i przyjaciele zza drugiej ściany. O Tomie i Kelly wspominałem wielokrotnie, ich dzieciaki zaraz po adopcji i przyjeździe z Polski praktycznie mieszkały u nas, z Tomem często żartowałem, że trzeba zburzyć tę dzielącą nasze domy ścianę, żebyśmy nie musieli cały czas gonić dookoła. To są nasi prawdziwi przyjaciele, jesteśmy w kontakcie bez względu na to, do której bazy wojskowej ich rodzina zostaje przeniesiona. Maria i ich córka Aleks (kiedyś Ola) dostały kilka lat temu przełamany na pół wisiołek z napisem BFF. *Best Friends Forever*, czyli najlepsze przyjaciółki bądź przyjaciele na wieki.

Ale jak tu stworzyć, a później zachować takie BFF, jeśli w Stanach Zjednoczonych wszystko działa na niekorzyść prawdziwej, długotrwałej przyjaźni?

W przedszkolu Janek przez jakiś czas kolegował się z Colem, również czteroletnim chłopczykiem. Ale nigdy nie doszło do spotkania tych dwóch rozrabiaków poza przedszkolem. Dlaczego? Otóż polityka placówki zakłada, że nauczyciel nie może podać ci namiarów na rodziców innego dziecka. Chodzi o to, aby nie powstawały silne więzi między dziećmi, które mogłyby psuć relację ogólnoklasową. Jakiegokolwiek kontakty rodziców bądź dzieci poza przedszkolem mogą odbywać się tylko za wiedzą i zgodą dyrekcji. Choć oczywiście zawsze możesz dogadać się bezpośrednio z rodzicem po zajęciach na szkolnym parkingu i umówić dzieci na wspólną zabawę. Ale to jakoś tak

nie wypada.

Co więcej, gdy kończy się rok szkolny i dziecko przechodzi do kolejnej klasy, można mieć stuprocentową pewność, że skład dzieciaków będzie całkowicie inny niż rok wcześniej. W szkole Marysi były trzy pierwsze klasy. Po wakacjach wyglądało to tak, jakby ktoś wrzucił nazwiska wszystkich dzieciaków do worka i na chybił trafił powyciągał je, zupełnie przypadkowo kompletując trzy drugie klasy. I tak dzieje się co rok w każdej szkole, którą znamy. Dzieci nigdy nie wiedzą, z kim będą chodziły do następnej klasy, czy będzie tam choć jeden kolega, którego znają.

Rozmawiałem o tym mieszaniu dzieciaków z Kelly, która jest nauczycielką. Stwierdziła, że tak dzieje się, odkąd pamięta. Choć w takiej sytuacji trudno o klasowe przyjaźnie, to jeśli dziecko przetrwa dwa pierwsze lata zmian, to gdy dojdzie do trzeciej klasy, będzie znało już wszystkich ze swojego rocznika. Ja, ponieważ nigdy nie byłem, mówiąc delikatnie, najbardziej popularnym i lubianym dzieckiem w klasie, wołę nasz system. Po wakacjach wiesz, czego się spodziewać, kogo unikać, a z kim się kumplować.

Natomiast Ola widzi głównie dobre strony tego mieszania dzieciaków, bo zapobiega to przyzwyczajaniu się do jednego otoczenia i tych samych osób. To personalne tasowanie ma przygotować do tego, że zmiany są czymś normalnym, i dlatego nikt w Stanach nie ma problemu z przeniesieniem się do innej szkoły, innego miasta, stanu, a nawet kraju. Dzieci przyzwyczajają się i przygotowuje do zmian już od najmłodszych lat. Słusznie.

Gdy rozmyślałem o przyjaźni po amerykańsku, trafiłem na esej Daniela Aksta opublikowany w „The Wilson Quarterly”, a zatytułowany *Ameryka: kraj samotnych*. Autor ubolewa nad upadkiem przyjaźni jako takiej i przypomina, że połowa Amerykanów nie zawarła związków małżeńskich, a ponad jedna czwarta żyje samotnie. Liczba ludzi, których statystyczny Amerykanin uznaje za siebie bliskich, w ciągu ostatnich lat zmniejszyła się dwukrotnie, dlatego coraz więcej ludzi łąduje na kozetce u psychologa, bo to jedyna okazja, żeby się przed kimś wygadać.

W tym amerykańskim świecie, w którym trudno o przyjaźń, my chyba mamy szczęście. Ja przez różne sploty wydarzeń poznałem Davida, artystę malarza i nauczyciela akademickiego, o którym mogę spokojnie powiedzieć, że jest moim przyjacielem. Często rozmawiamy. Mówimy o potrzebie rozmowy, o dzieleniu się przeżyciami, ale też o tym, czego nauczyłem się w Ameryce, że prośba o pomoc nie jest ujmą i oznaką słabości. Z Davidem przegadaliśmy wiele godzin w jego pracowni, wśród abstrakcyjnych, geometrycznych obrazów. Jeden z nich jako prezent ślubny dostał mój polski prawdziwy przyjaciel Archie.

Oprócz Kelly i Toma rodzinnie przyjaźnimy się z Marzeną i Adamem. Przyjaźń po polsku to w Ameryce zupełnie inne doświadczenie. Wszyscy wychowaliśmy się w tych samych warunkach, w tym samym kraju, pewne sytuacje nie wymagają wyjaśnień, bo od razu wiadomo, o co chodzi. Kilka lat temu usiłowaliśmy opowiedzieć Tomowi i Kelly o absurdach komunizmu dla lepszego zilustrowania tego, o czym mówimy, puściliśmy film Stanisława Barei *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz*. Mimo że film miał angielskie napisy, po kilkunastu minutach musieliśmy go wyłączyć. Nasi biedni amerykańscy przyjaciele kompletnie nie rozumieli, dlaczego z Olą ryczymy ze śmiechu jak szaleni. Co więcej, w ogóle nie byli w stanie pojąć idei filmu. To są nasi znakomici przyjaciele, ale pewnych rzeczy nigdy nie przeskoczmy.

Co innego z Adamem i Marzeną, rżymy radośnie, gdy oglądamy stare polskie komedie, opowiadamy stare dowcipy i świetnie się bawimy.

Słowo „przyjaciel” w Stanach ma coraz częściej takie znaczenie jak nasz „kolega”. Mój operator lata zdalnie sterowanymi modelami samolotów, na klubowym lotnisku ma swoich „firends”, ale to nie znaczy, że się z nimi przyjaźni. Ja mam swoich „friends”, z którymi jeździmy na motorach.

To motocyklowe spotkanie to zresztą dowód na to, że w tym kraju upadku przyjaźni czasem zdarzają się cuda. Moją yamahę V star 1100 custom, muszę podać pełną nazwę, bo sprawia mi to

straszna przyjemność, miałem zaledwie kilka dni. Wybrałem się na pierwszą poważną przejażdżkę. Gdy stanąłem na znaku stop, zdałem sobie sprawę, że za mną też zatrzymał się ktoś na motorze. Obróciłem się i poprosiłem jegomościa, żeby jechał pierwszy, bo ja jeszcze maszyny nie znam i mogę zrobić coś głupiego. Facet uśmiechnął się do mnie ze zrozumieniem i powiedział, żebym pojechał za nim, to zjedziemy na pobocze i pogadamy. Tak poznałem Steve'a, który zaprosił mnie do grupy motocyklistów, z których każdy ma jakieś europejskie koneksje.

Spotykamy się raz w tygodniu i jedziemy w stronę doliny Shenandoah albo gdzie oczy poniosą, oby dalej od miasta i pędzących samochodów. Rozmawiamy mało, no bo na motorze podczas jazdy gadać się nie da, a jak się zatrzymujemy, to tylko po to, żeby coś zjeść, i dalej w drogę. To jest kolegowanie się i spotkanie wokół zainteresowań, trudno tu mówić o jakiejś wielkiej przyjaźni.

Jeszcze jeden przykład na to, że słowo przyjaźń coraz częściej znaczy tu coś zupełnie innego niż w Polsce. Przed kilku laty w amerykańskiej telewizji mogliśmy oglądać reality show z Paris Hilton w roli głównej. Program nazywał się „My New BFF”, czyli moja nowa przyjaciółka/przyjaciel na wieki. Dziedziczka fortuny Hiltonów spośród zgłaszających się do programu uczestniczek i uczestników wybierała swoją nową najlepszą psiapsiółkę i psiapsiela. Tak, w pierwszej edycji wygrała dziewczyna, a w drugiej facet.

Nic dziwnego, że z pewnym zatroskaniem patrzymy na nasze dzieciaki, nie dość, że co roku zmienia się skład klasy, to Maja co chwilę przeżywa rozstania spowodowane ciągłymi przeprowadzkami. Tak naprawdę ma jedną przyjaciółkę od lat, z którą była razem w przedszkolu, a teraz chodzą do tej samej szkoły. My też kumplujemy się z rodzicami Madeleine, a Ola zaprzyjaźniła się z jej opiekunką z kraju Krecika i Arabelli. Ale Maja ma całą listę dziecięcych przyjaźni, które nie mogły przetrwać.

Kiedyś, jako mała dziewczynka, przyjaźniła się z Anną, która teraz mieszka w stanie Nowy Jork. Potem była Cleo, która po roku przeniosła się z rodziną na południe stanu Wirginia. Następnie Josy, której mama po kilku miesiącach postanowiła się przeprowadzić gdzieś tam, bo w naszej okolicy jej nie pasowało. Najboleśniej było chyba rozstanie z Aleks i jej braćmi, którzy też wyjechali, najpierw na Key West, a później do Charleston w Karolinie Południowej.

Nasza córka teraz z pewną dozą nieufności podchodzi do każdej nowej znajomości, po prostu nie chce się znowu sparzyć. Ale jest też druga strona medalu, dziecko w ciągle zmieniającym się otoczeniu zachowuje jakąś otwartość na świat. Może to moje narzekanie jest tylko dowodem na to, że jestem stary dziad i nie potrafię przystosować się do nowych warunków? Może dzieci doskonale sobie poradzą w tym świecie bez przyjaźni?

Na koniec dwa słowa o przyjacielu, o którym w ogóle nie myślimy w tych kategoriach. Bill to więcej niż przyjaciel, to prawie rodzina. Gdy Janek miał w przedszkolu Dzień Dziadka poprosił, żeby odprowadził go Bill. Gdy Maja miała swoje pierwsze występy na scenie kółka baletowego czy dziecięcego teatryku zawsze koło nas siedział Bill.

Bill McGuire to człowiek niesamowity. Jest rówieśnikiem mojej mamy, a mama nie była nastolatką, gdy się urodziłem (niech nikt nie myśli, że narażę się mamie i padną tu jakieś daty!). Jako młody człowiek postanowił sobie, że rozpracuje wroga. Zdecydował się nauczyć języka rosyjskiego. Mówi świetnie, bez amerykańskiego akcentu. W latach sześćdziesiątych był uczestnikiem pierwszych wymian kulturalnych między Moskwą i Waszyngtonem. Co jakiś czas żartem pytam go o CIA, ale Bill zawsze z powagą odpowiada, że nigdy nie był szpiegiem, choć w najzimniejszych latach zimnej wojny w Związku Sowieckim spędził sporo czasu.

Później pracował w sekcji rosyjskiej Głosu Ameryki, prowadził audycje słuchane po kryjomu w całym Związku Sowieckim. Tak zalaźł Sowiecom za skórę, że artykuł szkalujący Billa opublikowała nawet słynna komunistyczna gazeta „Prawda”.

My poznaliśmy się w 2003 roku przy okazji nagrań do programu „Pod Napięciem”, które ze strony

amerykańskiej organizował Bill. Od tego czasu jesteśmy przyjaciółmi. To dzięki Billowi nie zwariowaliśmy zaraz po przyjeździe do Ameryki i dzięki niemu mamy tu namiastkę rodziny.

Dwie sytuacje, jeden kraj, dwa kolory skóry, jedno, to samo, odczucie. Niesmak.

Bill Fletcher to znakomity, bardzo mądry czarnoskóry komentator polityczny. Jest redaktorem naczelnym portalu blackcommentator.com, ma poglądy zdecydowanie demokratyczne, czyli po naszymu mówiąc, lewicowe. Mimo to jest otwarty na argumenty wszystkich stron.

Kiedyś rozmawialiśmy z Billem prywatnie, o rasizmie. Opowiedział mi niewiarygodną rzecz. Mianowicie zawsze, gdy wjeżdża autem w bogate białe dzielnice północnej Wirginii, jest przygotowany na to, że we wstecznym lusterku zobaczy kolorową „dyskotekę” policyjnego radiowozu. Jak mówi, ciągle zatrzymuje go policja, bo jest czarny, bo ktoś dochodzi do wniosku, że nie powinien się znajdować tam, gdzie są sami biali. Nie mogłem w to uwierzyć. Jak to, w dwudziestym pierwszym wieku koło amerykańskiej stolicy policja zatrzymuje człowieka tylko dlatego, że jest Afroamerykaninem?

Bill twierdzi, że to standard. Biali o tym nie wiedzą, bo ich to nie spotyka. Teraz opowieść druga.

Niedaleko Waszyngtonu jest duży park rozrywki odwiedzany głównie przez Afroamerykanów. Ola tak jak wszyscy stała w kolejce po butelkę wody. Była jedyną białą. Gdy poprosiła o wodę, sprzedawczyni podała jej kubek z kranową i pozostawała głucha na prośby o sprzedaż butelki z wodą. Dopiero przywołany menedżer z niechęcią sprzedał butelkę wody. Ola zapytała: „Dlaczego?” i w ten sposób rozpoczęła się nasza wędrówka po amerykańskim rasizmie i poprawności politycznej.

Tym, że klecę swoje przemyślenia na temat rasizmu, podzieliłem się z moimi znajomymi. Ian to menedżer w sporej amerykańskiej firmie, Mike jest technikiem zajmującym się windami dla niepełnosprawnych. Choć na pierwszy rzut oka niewiele nas łączy, to daję słowo, że jesteśmy dobrymi kumplami. Gdy zapytałem ich, czy w dzisiejszej Ameryce jest rasizm, bez wahania, jak jeden mąż powiedzieli: „Jasne, że tak!”. Po czym posypały się przykłady na zafałszowywanie rzeczywistości i przekłętą poprawność polityczną. Ale o tym za chwilę.

Im dłużej mieszkam w Ameryce, im dłużej przyglądam się skomplikowanym, wielowarstwowym problemom rasowym, tym mniej rozumiem i tym bardziej bezsilny się czuję. W połowie lat dziewięćdziesiątych amerykańska ambasada w Warszawie wysłała mnie na indywidualne stypendium do Stanów. Stypendium było o tyle ciekawe, że strona amerykańska przygotowywała je zgodnie z zainteresowaniami stypendysty. W moim przypadku były to między innymi mniejszości rasowe.

Wysłano mnie do Seattle w stanie Waszyngton, sporego skupiska imigrantów z Azji, do San Antonio w Teksasie, gdzie Latynosi stanowią większość mieszkańców, i wreszcie do Atlanty w stanie Georgia. To tam w dzielnicy Sweet Auburn urodził się Martin Luter King, legendarny przywódca czarnoskórych Amerykanów, który inspirował walkę o równouprawnienie i zapłacił za to życiem. Tam jest jego dom rodzinny i jego pierwszy kościół, tam na początku dwudziestego wieku powstawały pierwsze, świetnie prosperujące afroamerykańskie biurowce, firmy ubezpieczeniowe i gazety.

Jechałem do legendarnej czarnej dzielnicy. Jechałem zakochany w czarnym bluesie. Jechałem zobaczyć miejsce, w którym dla doktora Kinga wszystko się zaczęło. Poza samymi atrakcjami turystycznymi zobaczyłem ruinę niegdyś wspaniałej dzielnicy. Trochę tym wszystkim załamany poszedłem coś zjeść do pobliskiej restauracji. Klientów było niewielu, a ja byłem jedynym białym. Czekałem na kelnera, płynął czas, mijały minuty, a ja dalej czekałem i się nie doczekałem. Musiałem

wyjść.

Czasami słyszę opinie, że czarnoskórzy Amerykanie teraz biorą odwet za lata niewolnictwa, segregacji rasowej i upokorzeń. Niektórzy uważają, że teraz biali to ci dobrzy. Przecież w 2008 roku biali głosowali na czarnoskórego prezydenta, czyli wszystko jest w porządku.

A Rodney King? Pamiętam te wydarzenia doskonale, choć było to jeszcze chyba przed moją pierwszą wizytą w Stanach Zjednoczonych. W 1991 roku czarnoskóry King został zatrzymany przez policję po kilkukilometrowym pościgu. Uciekał, bo był pijany, a na koncie miał już wyrok. Po zatrzymaniu kilku policjantów bezlitośnie go skatowało, mimo że nie stawiał oporu. Część zajścia nagrał człowiek mieszkający w pobliżu. Po procesie ława przysięgłych uwolniła policjantów od zarzutów. Wśród członków ławy nie było czarnoskórych, choć pojawiły się twierdzenia, że jeden z ławników był podobno Mulatem.

Wyrok uniewinniający policjantów, którzy skatowali Kinga, wywołał w Los Angeles tygodniowe zamieszki na tle rasowym, w których zginęły pięćdziesiąt trzy osoby, a prawie dwa i pół tysiąca zostało rannych. W tym czasie pracowałem w radiu RMF FM. Pamiętam, jak do studia do programu, który prowadziłem, przyszedł nieżyjący już aktor Marian Glinka. Podczas zamieszek Glinka kręcił zdjęcia do jakiejś amerykańskiej reklamówki w Hollywood, po pracy pojechał zobaczyć zamieszki. Ten potężny chłop był wstrząśnięty, gdy opowiadał na antenie o ofiarach, krwi i walkach ulicznych.

Nie chcę tu stworzyć obrazu Ameryki podzielonej, z podskórnym napięciem rasowym. Lata spędzone w Stanach Zjednoczonych sprawiły, że trochę przesiąknęłam tutejszą poprawnością polityczną. Przyznam, że gdy opisuję kontrowersyjne, przykre incydenty, z obawy, że napiszę coś „niewłaściwego”, trochę drżą mi ręce i ciągle zadaję sobie pytanie, czy powinienem, czy wypada?

Myślę, że powinienem, ale nie wolno mi pozostawić gołych anegdotycznych opisów bez pewnego podłoża, bez choćby liźnięcia historii. Nie będę udawał, że historię znam dobrze, nie znam, taki ze mnie historyk jak... (tu każdy może wstawić brakującą końcówkę znanego powiedzenia). Ale chcę przytoczyć kilka dat i wydarzeń, żebyśmy wspólnie mogli popatrzeć na kontekst.

Pierwsi niewolnicy przybyli do Ameryki w 1619 roku. Tuż przed obaleniem niewolnictwa w 1865 roku w Stanach Zjednoczonych były ich aż cztery miliony. To dużo. Żeby sobie uzmysłowić, jak dużo, wystarczy powiedzieć, że niewiele więcej mieszkańców ma na przykład Irlandia.

Co ciekawe, jak wynika ze źródeł historycznych, na mocy wyroku sądowego z 1651 roku pierwszym uznanym przez prawo właścicielem niewolników w koloniach brytyjskich był czarnoskóry Anthony Johnson. Po śmierci Johnsona sąd kolonii Wirginia uznał jednak, że ponieważ miał on czarną skórę, nie mógł być obywatelem, i kolonia przejęła jego posiadłość.

W stanach Północy niewolnictwo stopniowo uznawano za nielegalne jeszcze pod koniec osiemnastego wieku, ale to stany Południa były problemem. Tam niewolnicy byli potrzebni na plantacjach bawełny, stanowili aż jedną trzecią mieszkańców.

Amerykańska wojna secesyjna, która zaczęła się w 1861 roku, to była wojna o niewolnictwo. Gdy okazało się, że wybory prezydenckie wygrał Abraham Lincoln, przeciwnik niewolnictwa, jedenaście stanów Południa odłączyło się od Stanów Zjednoczonych i powołało Konfederację.

W wojnie zginęło ponad sześćset tysięcy Amerykanów. Wygrała Północ i unioniści. W 1865 roku Kongres przyjął trzynastą poprawkę do konstytucji, która oficjalnie zniosła niewolnictwo.

To fakty. Faktem jest też to, że ośmiu amerykańskich prezydentów podczas sprawowania urzędu było właścicielami niewolników. Sam George Waszyngton miał według różnych źródeł od dwustu pięćdziesięciu do trzystu pięćdziesięciu niewolników.

Wróć teraz do mojej rozmowy z Ianem i Mikiem. Mike opowiedział mi, jak to na jedną ze szkolnych wycieczek udali się z klasą do Mount Vernon, posiadłości i plantacji pierwszego amerykańskiego prezydenta. Przewodnik opowiedział dzieciom, że prezydent miał niewolników, ale był dla nich bardzo dobry, nie robił im krzywdy i świetnie ich traktował. Innymi słowy, nie ma

problemu. Takie delikatne naginanie historii.

Thomas Jefferson, trzeci z amerykańskich prezydentów, który w Deklaracji Niepodległości napisał, że „wszyscy ludzie są stworzeni równymi”, też był właścicielem niewolników!

Co ciekawe, jak dowiedziałem się z książki Alexa Storozynskiego, wielkim przeciwnikiem niewolnictwa był nasz Tadeusz Kościuszko.

Teraz przeskok o sto lat od czasów wojny secesyjnej. Wszyscy wiemy, że wspomniany, legendarny doktor Martin Luter King, który właśnie doczekał się swojego pomnika w Waszyngtonie, działał w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, że musiał wtedy walczyć o podstawowe prawa czarnoskórych Amerykanów. Może to dowód na ociężałość umysłową, ale z Olą dopiero w ostatnim czasie uświadomiliśmy sobie, że to było zaledwie kilkadziesiąt lat temu, zaraz za pierwszym historycznym zakrętem.

Kilka kilometrów od naszego domu, w stanie Maryland, jest prześliczny stary park Glen Echo ze sceną na wolnym powietrzu, salą dancingową, kilkoma teatrzykami, placami zabaw i karuzelą. Pewnego dnia, gdy pojechaliśmy tam z Mają i Jankiem, z nudów zaczęliśmy czytać jakieś tabliczki pamiątkowe, które chwilę później otwarły nam oczy. W 1960 roku w parku aresztowana została piątka Afroamerykanów tylko dlatego, że przyszli pojeździć sobie na wspomnianej karuzeli. Wtedy był to park tylko dla białych. Zaraz! Lata sześćdziesiąte? Przecież ja urodziłem się w latach sześćdziesiątych!

Można uczyć się w podręcznikach o autobusowym proteście z Alabamy, o zajmowaniu przez Afroamerykanów stolików w lokalach tylko dla białych, o marszu na Waszyngton i słynnym przemówieniu doktora Kinga ze słowami: „I have a dream”, kiedy przywódca czarnoskórych mówił: „Miałem sen, że czworo moich małych dzieci pewnego dnia żyć będzie w narodzie, gdzie nie będą osądzone z powodu koloru skóry, lecz z powodu wartości swego charakteru”.

Tego wszystkiego można nauczyć się z książek, ale gdy my zobaczyliśmy Maję i Janka na karuzeli, na której kilka lat przed moim urodzeniem mogli jeździć tylko biali, coś w nas pękło. Wtedy dotarło do nas z porażającą, bolesną jasnością, że bohaterowie tamtych wydarzeń, ludzie, których osądzano ze względu na kolor ich skóry, są wśród nas. Naszymi znajomymi są ich dzieci, a nasze dzieci bawią się z ich wnukami. To wszystko jest niezwykle świeże.

Przez ostatnie lata Ameryka robi wszystko, by to wymazać, odpokutować za grzechy niewolnictwa i segregacji rasowej. I oczywiście popada ze skrajności w skrajność. Murzyn, czyli Negro, nie jest już Murzynem, tylko Afroamerykaninem. Tak zwane N-word, czyli słowo na N, jest zakazane. I znowu wracam do rozmowy z moimi przyjaciółmi. Jeden z nich miał nauczycielkę, czarnoskórą niewiastę z Jamajki, która dostawała szału, gdy ktoś mówił jej, że jest Afroamerykanką. Jak słusznie powiedział Mike, stosując poprawność polityczną, tak bardzo robisz wszystko, żeby kogoś nie obrazić, że niechcący często go obrażasz.

A co z białymi imigrantami z RPA, którzy osiedlili się w Stanach Zjednoczonych? Są Afroamerykanami czy nie? Ciekawe.

Poprawność dała o sobie znać między innymi, gdy zaobserwowano fenomen nazwany efektem Bradleya. Było o tym ponownie głośno przed wyborami prezydenckimi z 2008 roku, które wygrał Barack Obama. Otóż Tom Bradley, czarnoskóry burmistrz Los Angeles, przegrał w 1982 roku wybory na gubernatora stanu Kalifornia, mimo że w sondażach wyraźnie prowadził ze swoim białym rywalem. Komentatorzy zaczęli zachodzić w głowę, dlaczego tak się stało. Dziś uważa się, że wielu białych wyborców pytanych przez ankieterów z powodu poprawności politycznej i by nie być posądzonymi o rasizm, mówiło, że zagłosuje na czarnoskórego kandydata. A w zaciszu kabiny do głosowania biali wyborcy stawiali krzyżyk przy nazwisku białego polityka.

Dziś poprawność polityczna dochodzi do głosu w szczególnie silny i doniosły sposób przy okazji dyskusji o prawie osób tej samej płci do zawierania związków małżeńskich i rodzenia/adoptowania

dzieci.

Jest sobie w Stanach Zjednoczonych, głównie na religijnym południu Ameryki, sieć fast foodów Chic-fil-A. Firma to nie byle jaka, bo ma ponad tysiąc sześćset restauracji w trzydziestu dziewięciu stanach. Chic-fil-A od pierwszych dni działalności jest w rękach tej samej, bardzo wierzącej rodziny. Restauracje są zamknięte w niedziele nie ze względu na przepisy, tylko z powodu przekonań religijnych.

Nie od dziś wiadomo, że szef sieci, mówiąc delikatnie, nie jest wielkim zwolennikiem małżeństw gejów i lesbijek. W 2012 roku w programie radiowym „The Ken Coleman Show” powiedział on: „Sądzę, że sprowadzamy na nasz naród sąd Boży, gdy wygrażając Mu pięścią, mówimy: «wiemy lepiej niż Ty, co stanowi małżeństwo»”.

No i zaczęło się. Burmistrzowie takich miast jak Chicago i Boston powiedzieli, że nie wpuszczą do swoich miast tej przebrzydłej sieci, której szef śmie twierdzić coś innego, niż wypada. Szlag trafił zwolenników tradycyjnego rozumienia małżeństwa, ale jeszcze bardziej wściekli się orędownicy wolności słowa. Jak to? Nie można wyrażać swoich poglądów? A gdzie pierwsza poprawka do konstytucji?

Tu trzeba wyjaśnić, że nigdy nie zdarzyło się, aby gej albo lesbijka byli w restauracji Chick-fil-A potraktowani w sposób zły i niegodny. Zatem zwolennicy szefa sieci ogłosili dzień poparcia i ustawili się w gigantycznych kolejkach przed restauracjami w całej Ameryce. Tego dnia sieć pobiła rekord sprzedaży wszech czasów. W odpowiedzi środowiska gejowskie zorganizowały dzień pocałunku przed restauracjami. Przed fast foodem w Fairfax w Wirginii nie całował się nikt, stały tylko cztery dziewczyny z transparentami z napisem: „Tak smakuje nienawiść”. Niby kto miał kogo nienawidzić, nie wiem, bo szef restauracji grzecznie spytał demonstrantki, czy może im jakoś pomóc, a one równie grzecznie odparły, że dziękują.

Tak oto poprawność polityczna przegrała z pierwszą poprawką do konstytucji i ze zdrowym rozsądkiem, ale nic dziwnego, że ludzie coraz częściej boją się wygłaszać swoje poglądy, zwłaszcza gdy są to poglądy konserwatywne.

Na koniec jeszcze dwa słowa o kolejnej sprawie, której Europejczyk nie potrafi pojąć. Od 1865 roku, co prawda z przerwami, działa organizacja o nazwie Ku-Klux-Klan, znana również jako KKK albo po prostu Klan. Według różnych informacji KKK ma obecnie kilka tysięcy członków. Przez dziesięciolecia swojej działalności organizacja zasłynęła z linczów na czarnoskórych, a nawet z zabójstw na tle rasowym. I ta organizacja w dwudziestym pierwszym wieku nadal działa.

Nie dość na tym, że funkcjonuje, że poszczególne odłamy KKK organizują swoje kongresy, a członkowie Klanu nadal zakładają białe szaty i szpiczaste kaptury jedynie z wyciętymi otworami na oczy. Latem 2012 roku Ku-Klux-Klan zapragnął objąć patronatem część jednej z autostrad w stanie Georgia. Rozpętała się burza i na szczęście Klan swojego kawałka autostrady nie dostał.

Na jednej ze stron internetowych KKK można przeczytać, że to „jedyna organizacja, która stawia sobie za cel zachowanie kultury białych”. Zdecydowanie dziękuję za takie zajmowanie się kulturą.

Tak jak przytłaczająca większość białych nie chce nawet słyszeć o KKK, tak większość czarnoskórych Amerykanów nie chce mieć nic wspólnego z Nową Partią Czarnych Panter, którą uważa się za następczynię lewicowej rewolucyjnej organizacji z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, która miała prawie identyczną nazwę. ADL, czyli Liga Przeciwko Zniesławieniu, uznaje Panterę za „największą organizację antysemitką i największą grupę czarnoskórych o podłożu rasistowskim w Ameryce”.

Amerykańskie stosunki rasowe są straszliwie zababrane. Mogę tu jeszcze pisać o akcji afirmatywnej i jej złych i dobrych skutkach, o budownictwie socjalnym dla czarnoskórych, o strukturze rasowej w amerykańskich więzieniach, o gettach, przestępczości czy rasowych gangach.

Ten, kto się łudził, że w ciągu jednego pokolenia uda się naprawić kilka wieków krzywd, głęboko

się mylił. Teraz rasizm uderza równo w obydwie strony konfliktu. Na szczęście są pozytywne sygnały. Na przykład liczba czarnoskórych, którzy zawarli związki małżeńskie z białymi, wzrosła z trzech procent w 1980 roku do prawie jedenastu w roku 2008.

Cała nadzieja w dzieciakach. Dla Maryśki czy Janka nie ma najmniejszego znaczenia, jakiej rasy jest koleżanka czy kolega z klasy. Dlaczego? Dlatego, że i jedno, i drugie ma w swoich klasach przedstawicieli wszystkich ras i dla nich liczy się, czy to fajny kumpel, a nie jaki ma kolor skóry. I oby tak było już w Stanach z pokolenia na pokolenie.

Waszyngton za otwartymi drzwiami

Baracka Obamę pierwszy raz na żywo i z bliska zobaczyłem chyba zimą 2007 roku. Już wtedy było wiadomo, że senator z Illinois narobi sporo zamieszania w kampanii wyborczej, ale polityczne elity i komentatorzy stawiali na Hillary Clinton jako prawie pewną zdobywczynię prezydenckiej nominacji Partii Demokratycznej. Za Hillary Clinton stało osiem lat jej i jej męża w Białym Domu, złośliwi do dziś twierdzą, że tak naprawdę to ona wtedy rządziła Ameryką. Hillary Clinton miała też doświadczenie z Senatu, gdzie reprezentowała stan Nowy Jork i, co niezwykle ważne, cały klan zwolenników, który Clintonowie budowali wokół siebie od lat, począwszy od czasów, gdy Bill Clinton był gubernatorem Arkansas.

Ale to Barack Obama przyciągał uwagę całego świata. Pierwszy liczący się czarnoskóry kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Tu trzeba przypomnieć, że Obama nie był w ogóle pierwszym czarnoskórym kandydatem. Poprzedzało go wielu, między innymi pastor Jesse Jackson, legendarny przywódca z czasów walki o równouprawnienie Afroamerykanów, który o nominację demokratów ubiegał się dwukrotnie, w latach 1984 i 1988. Ale w odróżnieniu od Jacksona i innych Obama od początku miał szansę.

Moje pierwsze bliskie spotkanie z Barackiem Obamą odbyło się w salce konferencyjnej hotelu w Tysons Corner w Wirginii, zaledwie kilka kilometrów od naszego domu. Obama przemawiał na jakimś dorocznym zjeździe czy naradzie regionalnego oddziału Partii Demokratycznej. Clinton i inni poważni kandydaci zjazd zignorowali, Obama przyjechał. Przyjechał, przemówił i porwał ludzi.

Można Baracka Obamę lubić albo nie, można się z nim zgadzać albo go krytykować, ale trzeba mu oddać jedno, potrafi przemawiać jak nikt inny i w kontakcie z tłumem ma niesamowity, niepowtarzalny magnetyzm. Po tym pierwszym spotkaniu byłem pod ogromnym wrażeniem, wreszcie jakiś powiew świeżości, wreszcie coś nowego. Tłum szalał i ja też podskakiwałem i klaskałem.



Demokraci w 2012 roku obradowali w hali mniejszej niż republikanie, choć u demokratów atmosfera była gorąca jak nie wiem co. Chwilę później przyszedł luty 2007 roku i Springfield, stolica stanu Illinois. Tam, w mieście,

w którym karierę polityczną rozpoczął Abraham Lincoln, Obama oficjalnie ogłosił, że startuje w wyborach prezydenckich. Co pamiętam z tego dnia? Niewiele, bo mróz zamroził mi umysł. Musieliśmy przyjść przed stary budynek stanowego senatu na wiele godzin przed początkiem wiecu, było koło minus dwudziestu stopni, a czapki zostały w domu w Wirginii. Straszliwe chwile. Ale znowu to samo wrażenie – Obama rozgrzał tłumy i był świetny.

Miałem jeszcze jedno, naprawdę bliskie spotkanie z Barackiem Obamą, ale o tym za chwilę, bo to było długo po wyborach. Amerykańskie kampanie prezydenckie pobijają rekordy zarówno długości trwania, jak i nakładów finansowych wydawanych na reklamy, wiece i podróże. Kampania, która zakończyła się wyborami w 2008 roku, trwała praktycznie trzy lata. Gdy porówna się to z Polską, jasno widać, że Amerykanie popadli w stan niekończących się kampanii. Przypomnę, że Donald Tusk w autokarowy objazd Polski wyruszył 19 września 2011 roku, zaledwie trzy tygodnie przed wyborami, TVP emitowała audycje wyborcze tylko od 24 września do 7 października 2011 roku. Amerykańscy politycy autokarowe objazdy czy wojny na reklamówki zaczynają na dwa lata przed wyborami. Nic dziwnego, że na kampanię prezydencką z 2008 roku poszło, jak podaje Center for Responsive Politics, dwa miliardy czterysta milionów dolarów. Aż dwa razy więcej niż w roku 2004.

Amerykanie patrzą na te wydatki, na niekończącą się walkę polityczną i mają serdecznie dość. Zwłaszcza teraz, gdy kraj zмага się z kryzysem. Kampania 2012 jest jeszcze droższa niż ta, która odbyła się cztery lata wcześniej.



Słowo daję, że ta niewiasta ze stanu Connecticut cała się świeciła, żywa choinka na konwencji demokratów w 2012 roku

Swoją drogą, te zbiórki pieniędzy prowadzone przez sztaby polityków to niezła zabawa. Ponieważ zarejestrowałem się na stronach internetowych kampanii zarówno Obamy, jak i Mitta Romneya, a cztery lata wcześniej Obamy i Johna McCaina, co chwilę dostaję e-maile z prośbą o kilka dolarów.

Oto tekst e-maila podpisanego przez Romneya, a rozsyłanego przez sztab kandydata:

„Marcin,

(-)

bądź dziś razem z nami i chodźmy w kierunku lepszej Ameryki. Jeszcze dziś przekaż dziesięć dolarów albo więcej, abyśmy mieli pewność, że będziemy mieli środki, by pokonać prezydenta Obamę.

(-)

Dziękuję, że jesteś ze mną.

Mitt Romney”.

A to kolejny przykład listu proszalnego, tym razem napisanego i rozsyłanego, przynajmniej teoretycznie, przez Michelle Obamę:

„Marcin,

zawsze zadziwia mnie, jak Barack wyważa swoje obowiązki prezydenta, męża i taty. Ale czasami nawet on potrzebuje trochę pomocy. Ta kampania wymaga, abyśmy się wszyscy dorzucili.

(-)

Proszę, wesprzyj tę kampanię, przekazując jeszcze dzisiaj trzy dolary lub więcej.

(-)

W imieniu nas wszystkich dziękuję.

Michelle”.

Ze wstydem, ale szczerze przyznam też, że gdy dostałem pierwszego takiego maila, chyba jeszcze w roku 2007, myślałem, że naprawdę napisał do mnie Barack Obama i że to oznacza, że będę miał z nim wywiad. Ha, ha, ha... O święta naiwności. Podejrzewam, że ani Romney, ani Obama, ani Clinton czy McCain nawet nie znają treści e-maili, które są hurtowo rozsyłane po całej Ameryce.

Swoją drogą, nie widzę jakoś naszych polityków proszących pana Wojciecha czy panią Barbarę o dwa złote na kampanię. Toż ludzie pogoniliby takich polityków, gdzie pieprz rośnie.

Wyborczy cyrk rozpoczyna się na całego w pierwszych dniach stycznia roku, w którym wybory się odbywają. Cały polityczny i dziennikarski świat zaraz po sylwestrze ściąga do Des Moines, stolicy stanu Iowa. O rolniczym stanie Iowa, który jak mówią złośliwi, słynie z uprawy kukurydzy oraz z uprawy kukurydzy, zapewne mało kto słyszał, jeszcze mniej ludzi słyszało o Des Moines. I o stanie, i o jego stolicy świat przypomina sobie, gdy rozpoczynają się prezydenckie prawyборы. A startują właśnie w Iowa, gdzie zamiast w tradycyjnym głosowaniu poparcie dla kandydatów wyraża się na specyficznych sejmikach.

Prawyборы to jedyny sposób wyłonienia kandydata partii politycznej, który ma walczyć o Biały Dom. W każdym stanie w zależności od wyniku prawyborczego głosowania albo sejmiku kandydat dostaje określoną liczbę delegatów. W stanie, w którym obowiązuje zasada „zwycięzca zgarnia całą pulę”, rywale zwycięzcy dostają zero delegatów. To delegaci będą głosowali na partyjnej konwencji i to oni ostatecznie wybiorą prezydenckiego kandydata swojej partii. Takie konwencje odbywają się zawsze na przełomie sierpnia i września.

A zatem cyrk objazdowy rusza w mroźnym jak cholera Iowa, później jest maleńki stan New Hampshire w Nowej Anglii i tak dalej przez pięćdziesiąt stanów, terytoriów zależnych USA, a kończąc na Dystrykcie Kolumbii znanym też jako Waszyngton, stolica Stanów Zjednoczonych.



Republikanie na swojej konwencji w 2012 roku byli zjednoczeni bardziej wokół niechęci do Baracka Obamy niż miłości do Mitta Romneya

W przypadku kampanii z 2008 roku gnaliśmy naszą ekipą jak szaleni od prawyborów do prawyborów, od stanu do stanu. Lataliśmy w te i z powrotem po całej Ameryce. W samolotach spędziliśmy tyle czasu, że zaczęliśmy rozpoznawać pilotów, stewardów i stewardesy. Wtedy naprawdę cały świat miał dosyć ośmiu lat Georga Busha, a poza tym wszyscy emocjonowali się bratobójczym bojem Hillary Clinton i Baracka Obamy o prezydencką nominację demokratów. Wysłuchałem wielu przemówień Baracka Obamy, obserwując go z bliska, na wyciągnięcie ręki, i ta wstępna fascynacja zaczęła topnieć. Coraz częściej słyszałem opinie, że pięknie przemawia, ale są to tylko słowa, słowa, słowa.



Wehikuł czasu naprawiony, Abraham Lincoln jak żywy na konwencji republikanów w Tampie w 2012 roku

Walka o nominację osiągała temperaturę wrzenia, po każdym kolejnym prawyborach wszyscy mieli nadzieję, że już teraz, że wreszcie będzie wiadomo, Clinton czy Obama. Ale przez długie

miesiące okazywało się, że kandydaci idą łeb w łeb i ciągle nie było jasne, kto będzie miał niezbędną liczbę delegatów, by zapewnić sobie nominację. Dopiero w czerwcu 2008 roku Hillary Clinton ostatecznie wycofała się z walki i na ostatniej prostej w wyścigu został sam Obama.

Kulminacją tego prawyborczego procesu są wspomniane już konwencje partyjne. Trwają kilka dni i to tam kandydat ogłasza, że z pokorą przyjmuje prezydencką nominację. Są przemówienia wyćwiczone do ostatniego gestu i wykrzyknika. Są „spontaniczne” owacje i polityczny marketing. Od Amerykanów tego ostatniego uczy się cały świat. Na konwencji Partii Demokratycznej w Denver widziałem polskiego polityka, który był uważany za współarchitekta wyborczego sukcesu jednej z prawicowych formacji politycznych. Też przyjechał obserwować i się uczyć.

A później przychodzi czas na debaty, trzy prezydenckie i jedną wiceprezydencką. Co dzieje się podczas samej debaty, można zobaczyć na telewizyjnym ekranie. Fajniejsza jest kuchnia. Dziennikarze debacie przyglądają się w osobnej sali, w której oprócz monitorów i komputerów mamy też dostęp do *spin alley*. To takie miejsce, w którym pojawiają się politycy mniejszego i większego kalibru, którzy popierają danego kandydata i po zakończonej debacie opowiadają, jak to świetnie ich kandydat wypadł. Istne szaleństwo, przy którym nasze sejmowe korytarze z dziesiątkami mikrofonów i kamer to małe piwo.

W tym zamieszaniu często nie wiadomo, kogo oblegają dziennikarze, dlatego przy każdym polityku stoi hostessa, która trzyma tablicę z jego imieniem i nazwiskiem przymocowaną do długiego kija. Dla dziennikarza z Europy Środkowej czy z innego regionu o umiarkowanym znaczeniu dla Stanów Zjednoczonych czasem jest to jedyna szansa na krótką rozmowę z graczem liczącym się na amerykańskiej scenie politycznej.

Sam dzień głosowania to ostatni zmasowany atak wyborczych reklamówek, wieców i plakatów. Tu nie ma ciszy wyborczej. Gdy opowiadam Amerykanom o tym, że u nas nie wolno agitować tuż przed wyborami i w dniu głosowania, patrzą na mnie ze zdumieniem. Tu wychodzi się z założenia, że wyborca do ostatniej chwili powinien mieć szansę na zapoznanie się z propozycjami kandydatów, a poza tym jest przecież wolność słowa, której żadne cisze wyborcze nie mogą ograniczać.

Na kogo Amerykanie głosują w wyborach prezydenckich? Tym pytaniem można zagiąć prawie każdego. Amerykanie w wyborach prezydenckich nie głosują na prezydenta, tylko oddając głos, udzielają instrukcji elektorom. Ten wyjątkowo pokręcony system jest skutkiem kompromisu między tymi, którzy uważali, że prezydenta ma wybierać Kongres, a tymi, którzy byli zwolennikami wyborów bezpośrednich.

Zgodnie z artykułem drugim amerykańskiej konstytucji każdy stan ma tylu elektorów, ilu ma przedstawicieli na Kapitolu, czyli łącznie senatorów i kongresmenów. W każdym stanie głosuje się na elektorów ze swojego stanu. Dopiero po wyborach elektorzy mają swoje głosowanie, w którym wybierają prezydenta. Czy jest tu miejsce na niejasności, kłopoty i konflikty? Oczywiście, że tak. Wystarczy spojrzeć na wybory z roku 2000. Po podliczeniu wyników głosowania Al Gore, kandydat demokratów, miał 48,38% głosów, kandydat republikanów George Bush dostał 47,87%. Ale inaczej rozłożyły się głosy elektorów, Bush miał 271, a Gore – 266, i ostatecznie prezydentem został George Bush.



Letnia rezydencja klanu Bushów w Kennebunkport w stanie Maine. Teraz Bush senior i junior mogą tu odpoczywać po, łącznie, dwunastu latach w Białym Domu

Kampanię z 2008 roku z zapartym tchem obserwował cały świat głównie dzięki rezultatowi wspomnianych wyborów z 2000 roku, które wygrał Bush. Nawet republikanie mieli go serdecznie dość, a przede wszystkim mieli dosyć wojen w Iraku i Afganistanie. Wszyscy chcieli też zmian i wybrano tego, kto obiecywał ich najwięcej. Wybory 2012 takich emocji na świecie już nie wywołały, choć Amerykanie są mocno zawiedzeni Barackiem Obamą, który dużo, bardzo dużo naobiecował, a kryzys jak był, tak jest i gwałtownego polepszenia sytuacji ponad trzystu milionów Amerykanów na horyzoncie ciągle nie widać.

Barack Obama również nam coś obiecał. W grudniu 2010 roku w Białym Domu gościł prezydent Bronisław Komorowski. Po rozmowach prezydentów polscy i amerykańscy dziennikarze zostali zaproszeni do Gabinetu Ovalnego. To było moje najbliższe spotkanie z Barackiem Obamą. Jakoś tak się złożyło, że w imieniu naszych dziennikarzy to mnie przypadł zaszczyt zadania amerykańskiemu prezydentowi pytania od polskich mediów. Chcieliśmy wiedzieć, kiedy Amerykanie wreszcie zniosą dla nas wizy i co w tej sprawie robi Barack Obama. Właśnie wtedy padły słowa o tym, że zniesienie dla nas wiz jest priorytetem administracji tego prezydenta. Oby po ukazaniu się tej książeczki drukiem obietnica była już zrealizowana...

Wiosną 2008 roku było już dość oczywiste, że to senator John McCain będzie kandydatem republikanów w wyborach prezydenckich, zatem rozpoczęła się wariacka jazda karuzeli z nazwiskami ewentualnych kandydatów na stanowisko wiceprezydenta. Mocnym kandydatem był ówczesny gubernator stanu Minnesota, Tim Pawlenty. Słuchacz relacji radiowych bądź telewizyjnych nie miał jednak najmniejszych szans, żeby domyślić się, że gubernator jest polskiego pochodzenia. Nasz swojsko brzmiący Pawlenty to dla Amerykanów pobrzmiwający z włoska [polenti].

Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak można w tak dramatyczny sposób przerobić Pawlentego. Swoją drogą, gdy spotkałem się z gubernatorem jesienią 2011 roku w Bostonie na jego wiecu politycznym, zapytałem, czy wie, co znaczy jego nazwisko, jakie są jego językowe korzenie. Szczerze powiedział, że nie. Gdy zacząłem mu tłumaczyć, że to nazwisko pochodzi od imienia Paweł i że ma wielusetletnią historię, powiedział: „Naprawdę?” i szybko, z refleksem rasowego amerykańskiego polityka dodał: „Jestem bardzo dumny z mojego polskiego pochodzenia. Jestem w połowie Polakiem, w połowie Niemcem”.

W 2008 roku Pawlenty przepadł, bo John McCain wybrał Sarah Palin jako swoją kandydatkę na wiceprezydenta. Dziś nie brakuje opinii, że to między innymi dzięki wyjątkowo denerwującej Palin senator przegrał ostateczne starcie o Biały Dom i prezydentem został Barack Obama. Tymczasem Pawlenty przełknął gorzką pigułkę, doczekał końca kadencji na stanowisku gubernatora Minnesoty i w 2011 roku ogłosił, że sam będzie walczył o prezydencką nominację z ramienia republikanów.

Aż podskoczyłem z radości. Nasz w Białym Domu? Super! Pawlenty miał znakomite dokonania w Minnesocie. On, republikański polityk, w demokratycznej Minnesocie został aż dwukrotnie wybrany na stanowisko gubernatora. Jego dwa hasła przewodnie z kampanii wyborczej w Minnesocie mogą uradować każdego konserwatystę. Po pierwsze, cięcie wydatków z kasy stanu, po drugie, żadnych nowych podatków. Prawdą jest, że „nasz” gubernator miał spore sukcesy w łataniu stanowej dziury budżetowej, choć krytycy zarzucają mu, że zostawił swojemu następcy tykającą bombę zegarową, która pokazała, że z tymi finansami wcale nie jest tak dobrze, jak Pawlenty twierdził.

Gubernator uległ też raz w kwestii podatków. Zgodził się zwiększyć cenę paczki papierosów o siedemdziesiąt pięć centów, żeby były pieniądze na „poprawianie stanu zdrowia”. Oburzeni konserwatyści podnieśli lament, że to jednak podatek, a Pawlenty już nigdy więcej nie zgodził się na podwyżki, które można by wiązać ze zwiększaniem podatków.

Ogromnym testem dla gubernatora było zawalenie się mostu na rzece Missisipi w mieście Minneapolis w 2007 roku. Bilans tej katastrofy budowlanej był przytłaczający. Trzyście osób zginęło, sto czterdzieści pięć zostało rannych. Pawlenty, jak twierdzą eksperci i komentatorzy, zdał egzamin jako przywódca.

Przypominam to wszystko dlatego, że „polski” gubernator, mimo iż z walki o prezydencką nominację zrezygnował latem 2011 roku, pozostał w grze. Poparł Mitta Romneya w walce o Biały Dom i z byłego rywala stał się jednym z najbliższych współpracowników republikańskiego kandydata na prezydenta.

To, co w Pawlenty nie zwykle mnie ujmuje, to fakt, że w kraju, w którym ciągle opowiada się *Polish jokes*, czyli dowcipy o głupich Polakach, on śmiało i otwarcie mówi o swoim polskim

pochodzeniu.

Swoją drogą, te „polskie” dowcipy przyprawiają naszych rodaków mieszkających w Stanach Zjednoczonych o ból głowy. Sam wielokrotnie doświadczyłem tego nieprzyjemnego uczucia. Co jakiś czas zdarza się, że podchodzi do mnie cwaniaczek i z idiotycznym uśmiechem opowiada dowcip w stylu: „Ilu Polaków potrzeba do przykręcenia żarówki? Nie wiesz? Trzech. Jeden trzyma żarówkę, a dwóch kręci drabiną”. Ha, ha, ha... Jak spokojnie wytłumaczyć takiemu baranowi, żeby się odpimpał od Polaków, że nie ma narodów głupich ani mądrych. Głupi są poszczególni ludzie, a opowiadacz takich dowcipów raczej sam do mądrych się nie zalicza.

O tym, jak dużym problemem są te „polskie” dowcipy, niech świadczy to, co wydarzyło się w 1999 roku. Ted Turner, były szef CNN, na publicznym spotkaniu zapytał: „Widzieliście kiedyś polski wykrywacz min?”, po czym pokazał swoją stopę, którą na oślep szukał nieistniejących min. Wtedy na całego wściekł się Radek Sikorski, ówczesny wiceminister spraw zagranicznych, i zmusił Turnera do przeproszenia Polski i Polaków. Ale niestety te obraźliwe dowcipy co chwilę gdzieś się pojawiają.

Wróćmy do Tima Pawlentego. Podczas wspomnianego spotkania w Bostonie w wywiadzie dla „Faktów” TVN powiedział: „Jestem dumny z mojego pochodzenia, cieszę się z niego. Mój tata był stuprocentowym Polakiem, moja mama miała niemieckie pochodzenie. Dużo przyjemności sprawiło mi poznawanie mojego dziedzictwa, nabrałem do niego szacunku i jestem z niego dumny”. A ja jestem dumny z tego, że Pawlenty podkreśla swoje polskie pochodzenie.

Ogromną zaletą byłego gubernatora Minnesoty jest to, że pochodzi ze zwykłej, ciężko pracującej rodziny. Nie jest jak Barack Obama absolwentem Harvardu, nie jest jak Mitt Romney milionerem pochodzącym z niezwykle bogatej rodziny. Jego ojciec Eugeniusz był kierowcą ciężarówki dowożącej mleko, matka Pawlentego zmarła, gdy ten miał szesnaście lat. Był najmłodszym z pięciorga rodzeństwa i jako chłopak sam ciężko pracował. Codziennie od piątej rano roznosił gazety, a później szedł do szkoły.

W tej rodzinie borykającej się z problemami, o których polityczna i finansowa elita nie ma najmniejszego pojęcia, ogromnie ważną rolę odegrała babcia Rose (Róża), o której w wywiadzie dla „Faktów” Pawlenty powiedział: „Była kwintesencją polskiej babci. Wspaniale wspominam wyprawy do domu babci po niedzielnej mszy. Miała zawsze założoną tak zwaną chłopską suknię i fartuch, przygotowywała nam pyszne jedzenie. To były cudowne rodzinne chwile spędzone na rozmowach. To bardzo miłe wspomnienia z dzieciństwa”.



Tak na wszelki wypadek, jeśli jednak w przyszłości Pawlenty dostanie się do Białego Domu, to mam już z nim zdjęcie :-)

Pawlenty o Polsce nie zapomniał też, gdy był gubernatorem. W 2004 roku na czele misji gospodarczej odwiedził kraj swoich przodków. Na marginesie chcę dodać, że gubernator ma całkiem niezłą kartę z osiągnięciami w polityce zagranicznej. Był w Iraku, Afganistanie, Bośni, Indiach czy Chinach. Doświadczenie międzynarodowe to kolejny powód, żeby wszedł do największych waszyngtońskich salonów politycznych.

Politykę zagraniczną gubernator obserwuje, a już na pewno obserwuje Polskę, co sam przyznał, gdy mówił, że: „W porównaniu z resztą Europy Polska jest jasnym punktem na mapie wolnego rynku. To bardzo dynamiczny kraj i dynamiczna gospodarka. Naprawdę jesteście jasnym punktem, a Polacy mogą być dumni z ogromnego postępu, jaki poczynili w ostatnich latach”. Pawlenty z dumą przypomina też spotkanie sprzed lat z Lechem Wałęsą. Jak mówi, był to dla niego zaszczyt.

Fatalnie się stało, że takiego człowieka pominął John McCain, źle się stało, że Pawlenty sam zrezygnował z walki o prezydencką nominację. Dobrze natomiast, że jest on jednym z najbliższych współpracowników Mitta Romneya i to bez względu na przebieg wyborów w listopadzie 2012 roku i na to, kogo Romney wybrał na swojego kandydata na wiceprezydenta.

Swoją drogą, Tim Pawlenty to nie jedyny Amerykanin o polskich korzeniach, który nawiązał bliską współpracę z Mittem Romneyem. Jego doradcą do spraw polityki zagranicznej został nie kto inny jak Ian Brzeziński, syn Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy prezydenta Jimmiego Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego. Miałem okazję wielokrotnie rozmawiać z Ianem Brzezińskim i muszę powiedzieć, że wielka szkoda, że jest on mało znany w Polsce, bo ma bardzo ciekawe poglądy konserwatywne i niezwykle bystry umysł. Świetnie się z nim dyskutuje.

Tim Pawlenty to polityk, który ma wspaniałe pochodzenie, jest ucieleśnieniem amerykańskiego snu. Z biedy, z wielodzietnej rodziny dotarł bardzo, bardzo wysoko. Jest sympatyczny, nie zmienia poglądów jak chorągiewka, ma żonę – cały czas jedną i tę samą, dwójkę dzieci. Jednym słowem, ma wszystko, co potrzebne, żeby naprawdę błysnąć w amerykańskiej polityce. To dlaczego, mimo że jest wysoko, ciągle nie błyszczy?

Pawlenty ma jeden, ale za to poważny mankament. Totalny brak charyzmy. Ktoś nawet nazwał go sympatycznym nudziarzem. Mimo medialnych szkoleń i treningów na wiecach wypada straszliwie słabo. Nie potrafi porwać tłumów. Nie ma tej iskry niezbędnej, żeby zwrócić na siebie uwagę. To, co mówi, to, co robi, jest super, ale nie potrafi tego sprzedać. W amerykańskiej polityce, w której kampanie są oparte na telewizji i portalach internetowych, na króciutkich klipach video, które mają porwać widza i zapaść w jego pamięci, to spory problem. Ale mam wrażenie, że o Timie Pawlenty jeszcze usłyszymy, bo pomijając fakt, że jest „nasz”, to naprawdę porządny, uczciwy facet, a tego potencjału nie wolno zmarnować.

Wiemy to od lat, każdego roku bardziej utwierdzamy się w naszym przekonaniu i tylko ciągle nie mamy pojęcia, jak to wszystko zaplanować i zrobić. Chodzi o Florydę. Trudno mi dziś ułożyć chronologię naszych wyjazdów i podróży po tym niesamowitym, amerykańsko-żydowsko-latynosko-karaibskim stanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że już podczas naszego pierwszego wyjazdu na Florydę zdecydowaliśmy, że to wymarzone, wręcz idealne miejsce na emeryturę. Na starość, jeśli jej dożyjemy, tu chcemy osiąść i w słończku wygrzewać stare kości.

W ramach czysto masochistycznej tortury na swoim iPhone codziennie sprawdzam pogodę w miejscu, w którym zakochaliśmy się bez pamięci. Bez względu na porę roku, bez względu na to, co dzieje się w pozostałych częściach Ameryki, na Key West, zwanym też Republiką Muszli, zawsze jest od dwudziestu do trzydziestu stopni. Owszem, popołudniami są burze i trochę pada. Niech będzie, leje jak z cebra, ale tylko przez chwilę. A poza tym bajka.

Republika Muszli powstała w 1982 roku, kiedy Key West postanowił odłączyć się od Stanów Zjednoczonych. To był bardziej żart niż decyzja na serio. Poszło o kontrole pograniczników i służb celnych na jedynej drodze prowadzącej z Key West do Miami, kontrole spowodowane gigantycznym przemytem narkotyków i nielegalnych imigrantów. Powstała flaga Republiki Muszli i do dziś wydawane są paszporty, które można sobie zamówić przez internet. Co roku w kwietniu w rocznicę ogłoszenia niepodległości Republika Muszli obchodzi swoje święto, mimo że niezmiennie jest częścią Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Przez trzy lata na Key West mieszkali nasi wspomniani już wielokrotnie przyjaciele Tom i Kelly razem z Tomkiem, Piotrusiem i Olą. Przed przyjazdem na Key West Kelly z przerażeniem czytała o węzach, aligatorach i innym tropikalnym dziadostwie, które tylko czeka, żeby się na ciebie rzucić i cię udusić, pokąsać i zjeść. Ale gdy w związku z pracą Toma ich rodzina z Key West przenosiła się do Karoliny Południowej, Kelly przez kilka dni płakała. Nie ze szczęścia, z rozpaczy!

Jadowitego świństwa na tym najbardziej wysuniętym na południe cypelku kontynentalnych Stanów Zjednoczonych w zasadzie nie widać. Owszem, w wodzie są rekiny, ale nie brakuje ich też na wybrzeżu New Jersey czy „naszej” Wirginii, więc nie przesadzajmy. Natomiast Key West ma atmosferę Karaibów, megawyluzowanych mieszkańców i najpiękniejsze zachody słońca na świecie. Nic dziwnego, że Kelly wyła, używając przy tym roczny przydział chusteczek higienicznych dla sporego oddziału wojska.

Dzięki naszym przyjaciołom mogliśmy oglądać ten bajeczny widok słońca powoli zanurzającego się w oceanie z pokładu starego żaglowca. Było cudnie.



To ma być totalnie kiczowate zdjęcie zachodu słońca na Key West. Jeśli się nie udało, to przepraszam

Z Key West Wrony zapamiętały kilka obrazów. Wszechobecne flagi gejowskie i stały protest przeciwników epatowania seksualnością, który z kolei wywołał protest przeciwnika przeciwników – gejów. Zabawne były te okrzyki i hasła. I jedni, i drudzy demonstranci twierdzili, że z całą pewnością wiedzą, kto i dlaczego dostanie się do raju.

A skoro już jesteśmy w tych rejonach, to jeszcze słowo o barze, w którym nie byliśmy, ale o którym opowiadał nam Tom. Przy głównej ulicy miasta na dachu jednego z budynków jest „goły” bar. Miejsce nazywa się Ogrody Edenu, odzienie bądź też nagość są pozostawione decyzji klientów, ale niestety – jak wyczytałem w licznych komentarzach internetowych – większość klientów to ciekawscy, którzy przyszli popatrzeć na golasów.

Kolejny zapamiętany obraz to kolejka do zdjęcia. Skoro Key West jest najbardziej wysuniętym na południe kawałkiem Ameryki, to musi być jakieś oficjalne, najbardziej południowe miejsce. I jest! A przed nim kolejka turystów grzecznie czekających, żeby zrobić sobie zdjęcie. Napis na pomniku przedstawiającym ogromną morską boję głosi, że od tego miejsca do Kuby jest tylko 140 kilometrów. Nasi przyjaciele narzekali, że mają bliżej do Hawany niż do porządnego centrum handlowego. Problem w tym, że pomnikowa boja wcale nie jest najbardziej południowym kawałkiem Ameryki, nie jest nawet najbardziej południowym cypelkiem Key West, ale dla turystów to nie ma znaczenia.

To jeszcze tylko dwa słowa związane z Key West: Ernest Hemingway. Pisarz mieszkał tu w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Z tego powodu Key West co roku ogarnia szaleństwo festiwalowego świętowania, a chyba najzabawniejszym elementem imprezy są wybory najbardziej hemingwayowskiego sobowtóra Ernesta Hemingwaya.

Pisałem, że Floryda jest między innymi latynoska i karaibska. Tę karaibskość czuć na każdym kroku na Key West i w Miami, gdzie jest i „mała Hawana”, i „małe Haiti”. Są ludzie, którzy Miami po prostu nie znoszą. My uwielbiamy! To prawda, w mieście czasami trudno dogadać się po angielsku, bo to jest latynoska stolica Stanów Zjednoczonych. Hiszpański słychać wszędzie, z angielskim jest znacznie gorzej.



Boja może najbardziej południowa nie jest, ale jak wszyscy, również i my karnie strzeliliśmy sobie bojową fotkę

Podczas jednej z naszych kilku wizyt w Miami pojechałem do sklepu, żeby kupić mąkę (dzieciaki uwielbiają polskie naleśniki). Sklep był duży, sieciowy, typu hipermarket. Podchodzę do niewiasty i mówię: „Gdzie mogę znaleźć mąkę do pieczenia?”. Pani zrobiła wielkie oczy, a po chwili powiedziała coś, co zabrzmiało jak: „No comprende”. Wreszcie trzecia z niewiast poproszona o wskazanie mąki do pieczenia (ang. *flour*) wykrzyknęła: „Aha!” i zaprowadziła mnie do stoiska z kwiatkami (ang. *flower*). Niby w wymowie brzmi tak samo, ale przecież mówiłem, że do pieczenia! Poddałem się, nie chciało mi się szukać i dzieci o polskich naleśnikach musiały zapomnieć.



Polskie naleśniki można mieć wszędzie, ale Mikołaja w krótkich gatkach pod palmą tylko na Florydzie

Supermiejsce jest nabrzeże, park i przystań turystyczna w samym centrum miasta. Długi ciąg restauracji i barów, a przy samej wodzie scena, na której codziennie gra jakaś latynoska kapela. Przed sceną zawsze podryguje spory tłumek. Kiedyś trafiliśmy na koncert kubańskiej kapeli, wśród

tańczących byli głównie emigranci, którzy pamiętali Kubę jeszcze sprzed czasów Fidela – babcie i dziadkowie wywijali tak, że nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Dla mnie taniec jest w ogóle czynnością zagadkową. Sam nie tańczę, Ola za to tańczy świetnie i przez moją kłocowatość potwornie cierpi.

Gdy pierwszy raz wyruszyliśmy z Miami na północ drogą A1A, Maja powiedziała zdanie, które na stałe weszło do naszego rodzinnego słownika: „Tata, to nie fair!”. Różne myśli przechodzą człowiekowi przez głowę, gdy jedzie się przez Miami Beach, a później przez Palm Beach. Posiadłości są większe, wspanialsze i bardziej zapierające dech w piersi niż te w słynnym Beverly Hills. Pierwszy i ostatni raz w życiu w Palm Beach widziałem przed sklepem spożywczym zaparkowane obok siebie dwa samochody ze znaczkiem Rolls Royce i trzy bentleye. Nie wiem, czy to fair, czy nie fair, ale zobaczyć warto.

Południowa Floryda chyba głównie ze względu na swój świetny klimat stała się miejscem, w którym mieszka stosunkowo wielu Żydów ocalałych z Holokaustu. W Hollywood, tym mniej znanym od kalifornijskiego, jest ośrodek edukacji o Holokauście, a prowadząca go Rositta Kenigsberg sprowadziła z Polski jeden z wagonów bydłowych, którymi wywożono więźniów na zagładę.

Wspominam o tym, bo właśnie na Florydzie w dużej mierze dzięki ośrodkowi i dzięki książce Stephena Shoostera doszło do spotkania, które w fikcji literackiej albo filmowej fabule wyglądałoby na tani kicz.

Leon Schagrin i jego kuzyn z Małopolski Leo Adler widzieli się ostatni raz w obozie zagłady Auschwitz w 1944 roku. Jeden pochodził z Tarnowa, drugi z Grybowa. Ich matki były siostrami, a mimo to po wojnie nie byli w stanie się odnaleźć. Być może dlatego, że oprócz nich getta i obozów zagłady nikt z ich rodziny nie przeżył. Co więcej, zmienili imiona i pisownię nazwisk. Leon Schagrin po tułaczce przez Polskę i Izrael dotarł do Stanów Zjednoczonych. Trafił tu za głosem serca. Jego żona była na słynnej dzięki filmowi liście Schindlera i dzięki temu przeżyła wojnę.

Schagrin osiadł na Florydzie, tu poznał Stephena Shoostera, z którym spisał swoje wspomnienia. I tak ukazała się książka *Koński adiutant*.

Leo Adler z założenia nigdy nie czytał opowieści o Holokauście, bo jak mówi, sam przeżył to piekło i nie są mu potrzebne opowieści innych. Jednak tym razem ktoś namówił go do przeczytania *Końskiego adiutanta*. Adlerowi wystarczyło kilka stron, nazwisko matki Schagrina, jakieś zdjęcie i... stał się cud. Po ponad siedemdziesięciu latach kuzyni z Tarnowa i Grybowa odnaleźli się na Florydzie. Okazało się, że Leo i Leon od lat mieszkają tuż obok siebie, w dwóch miasteczkach oddalonych o jakieś pół godziny jazdy samochodem.

Spędziłem z tymi sędziwymi panami kilka godzin. Nie-samowite doświadczenie. Słuchałem ich opowieści o Polsce. Jeden po wojnie wracał do naszej ojczyzny kilka razy, drugi nie. Nie zawsze były to historie i opowieści, których łatwo się słuchało. Niestety.

Gdy przeciętnego Amerykanina czy nawet turystę z Europy zapyta się o największą atrakcję Florydy, na bank odpowie: „Orlando i parki rozrywki”. Owszem, zaliczyliśmy. Ze strony starych Wron z entuzjazmem trochę ostudzonym przez tłumy ludzi, ze strony młodych Wron z szaleńczą ekstazą.

Jeszcze słabiej wypadło Centrum Lotów Kosmicznych im. Kennedy’ego. Tu nawet młodym się nie podobało. Może mieliśmy pecha, ale zabiły nas kolejki i, generalnie rzecz biorąc, nuda. Odbiłem sobie tę katorgę sprzed kilku lat w lipcu 2011, kiedy na własne oczy, z bliska mogłem zobaczyć ostatni w historii start promu kosmicznego. To była misja STS 135. Facet, który stał koło mnie przy tym słynnym ze zdjęć wielkim zegarze odliczającym czas do startu, po prostu się popłakał. Sam miałem dziwnie wilgotne oczy.

Na północnym wschodzie Florydy jest miasteczko St Augustine. Mało kto wie, ale właśnie St. Augustine to pierwsza europejska osada założona na terenie dzisiejszych Stanów Zjednoczonych

w 1565 roku. Założenie St. Augustine Amerykanie niespecjalnie świętują, może dlatego, że była to osada hiszpańska, a nie anglosaska tak jak Jamestown z 1607 roku. Nie wiem, czy to jest powód, ale nam się podobało niezwykle. Stara część miasta z obronnym fortem jest jak żywcem przeniesiona z południa Hiszpanii, jest tam tak ślicznie, że Ola zdecydowanie odmówiła wyjazdu z St. Augustine.

Na dodatek na przedmieściach miasta jest polski sklep prowadzony przez starszego pana, który na emeryturę przeniósł się na Florydę, bo ciepło i miło. W sklepiku można kupić miejscowy wynalazek: kiełbasa-burgeta. Smakuje jak nasza dobra kiełbasa, a wygląda całkiem jak hamburger.

I jeszcze jedno, farmy z aligatorami. Są ich tam dziesiątki, a wśród nich aligatory albinosy. Nic jednak nie przebije farmy, która trochę bardziej na południe znajduje się w osadzie Christmas, między Orlando a Titusville.

Tam treser wchodzi do bajora, w którym pływają krowiaste, wielkie aligatory, i karmi je z ręki. W 2011 roku robiliśmy tam zdjęcia do świątecznego materiału do „Faktów”. W pewnym momencie treser powiedział: „Marcin, podpisz to pismo, w którym, gdyby doszło do wypadku, zrzekasz się wszelkich roszczeń wobec farmy. Teraz odłóż mikrofon i wejdź za ogrodzenie”. Później wszystko zaczęło się rozgrywać jak w jakimś szalonym śnie. Treser o wdzięcznej ksywie Safari Todd wręczył mi kawałek kurczaka i kazał z bliskiej odległości wrzucić go do paszczy aligatora. Całość, począwszy od ruchu mojej ręki, po klapnięcie ogromnej szczęki, trwała ułamek sekundy. Po chwili powtórka, tak dla pewności, żebym zdążył się przestraszyć.

Aligatorów na Florydzie nie brakuje i lepiej na nie uważać!

Zanim, jadąc palcem po mapie, przeskoczę na zachodnie wybrzeże Florydy, chcę się na chwilę zatrzymać w Gainesville. Tam przeżyłem jedną z moich fajniejszych amerykańskich przygód. Tam też na chwilę zajrzałem do pilnie strzeżonego świata amerykańskich operacji specjalnych.

Na spotkanie w Gainesville umówił się z nami Chuck Pfarrer, były dowódca grupy uderzeniowej Seals i autor *Operacji Geronimo*, książki o zabiciu Osamy Bin Ladena. Chuck zrobił na mnie potężne wrażenie. Sam jestem dość sporym facetem, a przy nim wyglądałem jak zabiedzone dziecko. Zabrał nas, Marcina Wyszogrodzkiego i mnie, do swojego kolegi, który, jak mówił Chuck, ma strzelnicę. Strzelnica okazała się poligonem technicznym monitorowanym przez kamery, mikrofony, detektory ruchu i sensory wykrywające zwiększenie nacisku na grunt.

Kolega Chucka buduje tam i testuje nowe rodzaje sprzętu, który jest zamawiany na potrzeby konkretnych operacji specjalnych. Mogliśmy zobaczyć tylko część, jeszcze mniej mogliśmy sfilmować dla „Faktów”.

Poznaliśmy tam jeszcze jednego kolegę Chucka, który dość ogólnikowo przedstawił się nam jako konsultant techniczny do spraw wywiadu i kontrwywiadu. Taki z niego konsultant jak ze mnie królowa piękności. Wystarczyło popatrzeć, jak strzelał z uzi, żeby zrozumieć, w jakich konsultacjach się specjalizował.

Zresztą i mój operator Marcin, i ja też sobie z uzi postrzelaliśmy. Świetna zabawa.

Floryda jest niesamowita ze względu na klimat, świeże owoce, mieszankę kulturową i samo położenie geograficzne. Na wschodzie Atlantyka, na zachodzie Zatoka Meksykańska. Sporo było obaw, że po wycieku ropy z platformy wiertniczej, która wybuchła w kwietniu 2010 roku, zatoka zamieni się w jedną wielką katastrofę ekologiczną. Owszem, zniszczenia były spore, ropę wyrzucało na brzeg zwłaszcza w Luizjanie i Alabamie, ale wielkiego kataklizmu udało się uniknąć.

Nad zatoką byliśmy w okolicach Tampy i w Panama City Beach. Tam Ola przeżyła swoją pierwszą burzę tropikalną. Zaczyna się od silnego wiatru, a później leje. Oberwanie chmury trwa dwa dni. Non stop ściana wody.

W Panama City Beach wody zatoki są krystalicznie czyste, zaraz przy brzegu widać potężne ławice całkiem dużych ryb, które ocierają się o nogi kąpiących się. Dla mnie widok był fascynujący, ale Ola i Maja patrzyły na te smyrające po nogach ryby z wyraźnym obrzydzeniem.

Floryda jest jedynym amerykańskim stanem, który odwiedziliśmy już kilka, a może nawet kilkanaście razy i na pewno będziemy dalej przyjeżdżać. Coś nas tam ciągnie, znakomicie się tam czujemy i jak zauważyliśmy, z takiego samego założenia wychodzi coraz więcej rodaków, bo polskie sklepy i restauracje są praktycznie w każdej większej miejscowości.

Jedna praktyczna rada, na Florydzie dobrze znać choć podstawy hiszpańskiego, my nie znamy i czasem mamy spore problemy z komunikacją.

Każda z Wron dostała zadanie napisać albo powiedzieć, czy lubi Amerykę, a jeśli tak, to dlaczego. Gdy padło to pytanie, trzy Wrony były na wakacjach w Polsce, co jak się okazało, dało niektórym z nich interesującą perspektywę. Zacznę w kolejności rosnącej, czyli od naszej najmłodszej Wronki.

Janek nie zastanawiał się ani sekundy i ze szczerością czterolatka wypalił, że uwielbia Amerykę, bo „tam jest mój dom i mam tam dużo zabawek”. Ten mały Piernik ma faktycznie tonę zabawek, którymi sam często lubię się pobawić. W końcu na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych my, ówczesne dzieci, dzięki komunie nawet nie mogliśmy marzyć o tym, co Janek ma na wyciągnięcie ręki. Ja miałem najwyżej sześć albo siedem resorówek kupowanych za ciężkie pieniądze na bazarach, Jasiek ma kilkadziesiąt i uważa to za coś zupełnie normalnego.

Ale nie resorówki są najfajniejsze. Mamy, proszę łaskawie zwrócić uwagę na zastosowaną pierwszą osobę liczby mnogiej, całą kolekcję monster trucków, czyli tych wspaniałych samochodów na gigantycznych kołach. Od największego, zdalnie sterowanego chevroleta, którym obaj potrafimy wykonywać niezłe ewolucje, po średnie i małe modele. Janek najbardziej lubi przeskakiwać nimi przez przeszkody, czasem robimy zawody, który z nas skoczy dalej.

Jan ma jeszcze jedną, czysto amerykańską pasję. Gdy Ola sprezentowała mi stellę, czyli replikę starej vespy, mój przyjaciel David zaczął na mnie mówić „Evel Knievel na motorynce”. Przewisko serdecznie mnie ubawiło, ale kiedy opowiedziałem o tym Oli, zamiast spodziewanego wybuchu śmiechu w jej oczach zobaczyłem dwa znaki zapytania. A kto to jest Evel Knievel? Zamiast wyjaśniać, że w latach siedemdziesiątych Knievel był bohaterem amerykańskiego ludu, że cały świat z zapartym tchem patrzył na jego skoki na motorze przez samochody, autobusy, rzeki i kaniony, podszedłem do komputera, w wyszukiwarce wpisałem zadane hasło i puściłem stare relacje ze skoków kaskadera.

Kiedy popisy Knievela zobaczył Janek, opadła mu szczęka, przykleił się do monitora i w kilka godzin obejrzał wszystko, co w internecie można było znaleźć o Knievelu. Dziś Janek wie, ile kości kaskader połamał podczas którego upadku, w jakim stroju wykonywał najsztywniejsze skoki, a co więcej, nasz synek, kiedy jeszcze nie bardzo potrafił mówić, ułożył piosenkę na cześć swojego bohatera:

„Knievel, Knievel kace ja
auty kace, kace ja”.

Po tłumaczenie utworu proszę zgłaszać się do autora, czyli naszego Piernika. Miłość do popisów Knievela zaowocowała kolekcją modeli jego motorów, skoczni, specjalnych wyrzutni, z których motor wystrzeliwuje do skoku, i figurek samego kaskadera. Wydaje mi się, że jednym z najważniejszych dni w życiu Janka była wyprawa do Baltimore na popisy Nuclear Cowboyz, rewelacyjnego zespołu kaskaderów, którzy na motorach zadają kłam wszelkim prawom fizyki.

To Ameryka Jaśka – monster trucki i motory. Nic dziwnego, że ją kocha.

Maria zapytana, czy lubi Amerykę, odparła, że nie i po wakacjach zostaje w Polsce. Pomijając fakt, że ta odpowiedź to znak, że zbliża się okres buntu nastolatki, muszę przyznać, że jestem dumny z decyzji, jaką podjęliśmy z Olą. Bez względu na wszystko każdego roku dzieci spędzają w Polsce przynajmniej półtora miesiąca, a w domu pod groźbą bicia młotkiem po głowie Maja i Janek mają

mówić tylko po polsku. Po pierwsze, dzieci muszą wiedzieć i czuć, że są Polakami. Po drugie, chcemy, żeby były w pełni dwujęzyczne, bo wiemy, że za kilka lat wracamy do kraju. Zatem odpowiedź Maryśki, że zostaje w Polsce, pokazuje, że system działa, a jej serce bije po nadwiślańsku.

Ola, która jest pierwszym recenzentem, korektorem i doradcą przy moim skrobaniu, zasiadła do komputera i napisała o swojej Ameryce. Przypomnę, że dla Oli wyjazd na kontrakt to był w ogóle pierwszy w jej młodym życiu wyjazd do Ameryki.

Dziś żona Wrona Amerykę lubi, bo jak mówi: „przyzwyczaiałam się do tamtejszego życia, bo tam chyba dorosłam i dojrzałam mentalnie. Otworzyłam się na wiele nowych rzeczy, polubiłam tamtejszą może trochę fałszywą otwartość, uprzejmość i wszechobecny uśmiech. Poznałam inne kultury, tradycje, smaki, gusty. Generalnie, otworzyłam się na świat, na inność i różnorodność. Dobrze mi tam. Nie znaczy to, że nie potrafiłabym się przenieść w inne miejsce. Dziś zrobiłabym to bez problemu. Kiedyś nie wyobrażałam sobie życia poza Krakowem, który był dla mnie najpiękniejszym miejscem na świecie, dziś jego blask przygasł w moich oczach i wiem, że mogłabym zamieszkać wszędzie”.

Dodam jeszcze, że Ola jest absolutnym geniuszem, jeśli chodzi o znajdowanie lokalnych „ciekawoch”. To dzięki niej widzieliśmy te wszystkie czekoladowe łosie, słoniowe domy, wielkie globusy i inne dziwadła. Pamiętam, jak podczas jednej z naszych samochodowych wędrówek po Ameryce Ola wygrzebała informację, że na trasie naszego przejazdu jest jedna z pierwszych rzek, w których znaleziono złote samородki. Przed oczami stanęła nam wizja złotych sztabek, dodałem gazu i... szkoda gadać. Do rzeki schodziło się przez zarośla, w których siedziały całe legiony pajaków. Czy mówiłem już, że na widok pajaka drę się jak nastolatka? No właśnie. W samej rzece woda była zimna jak cholera. Mieszanie piachu w tej nieszczęsnej misce wcale nie jest takie fajne, jak wydawałoby się po obejrzeniu filmów o poszukiwaczach złota. Plecy bolą straszliwie. Po czterech godzinach poszukiwania złota nie znaleźliśmy nic i skończyło się na tym, że w sklepie z pamiątkami kupiliśmy małe szklane pojemniczki ze złotymi próbkami. Wtedy byłem trochę zły, dziś nasze poszukiwanie złota wspominam jako jedną z fajniejszych przygód. Gdyby nie Ola, która potrafi wszystko wyszukać i znaleźć, na pewno byśmy tam nie dotarli. Często dochodzi do tego, że amerykańskie koleżanki pytają Olę, gdzie pójść i co zobaczyć.

Na zakończenie została jeszcze stara Wrona, a w zasadzie został stary Wrona. Powiem szczerze, że jestem wielkim szczęściarzem. Zawsze ciągnęło mnie do Ameryki i zawsze chciałem przekonać się, jak tu się żyje. Zaczęło się od stypendium z 1991 roku, a później były olimpiada w Atlancie, mistrzostwa świata w piłce nożnej, szczyt NATO w Waszyngtonie, wizyty państwowe polskich polityków. Trzeba być w czepku urodzonym, żeby to wszystko zobaczyć na własne oczy. A później pojawiła się możliwość wyjazdu na kontrakt.

Marcin Wyszogrodzki, operator, z którym pracuję od 2008 roku, często powtarza, że mamy najciekawszą pracę na świecie. Racja. Nawet dziennikarz amerykański, na przykład akredytowany w Białym Domu, nie zobaczy choćby części tego, co my. Bo my obsługujemy wszystko. Dwa razy byłem w Gabinetach Ovalnym, gdzie stałem oko w oko z amerykańskimi prezydentami, byłem w niezliczonych amerykańskich bazach wojskowych włącznie z Guantanamo, byłem w miejscu huraganów, tornad, pożarów, trzęsień ziemi, rozmawiałem z artystami, politykami, wynalazcami... Wyliczam to wszystko nie po to, żeby się chwalić, no może troszeczkę, ale przede wszystkim, żeby pokazać, jak niezwykłą okazję poznania Ameryki dostałem dzięki temu, że jestem korespondentem „Faktów” TVN.

Ameryka zmieniła i zmienia moje życie. Tak jak mówi Ola, tu otwierają się nowe horyzonty. Na tej samej zasadzie jak Amerykaninowi, który przyjeżdża do naszego kraju, otwierają się nieznane horyzonty. Po prostu poznajemy i odkrywamy coś nowego. Przypomnę tu porównanie do innej planety w tym samym układzie słonecznym.

Stany Zjednoczone lubię i to bardzo, choć nie lubię tego, że amerykańskie władze nie traktują nas w należyty sposób. Oby do wydania tej książeczki wizy wreszcie były zniesione, bo to wstyd, po prostu wstyd. Nie dla nas. To Amerykanie powinni się wstydzić, że ich najsolidniejszy sojusznik w Europie Środkowej jest traktowany per noga.

Ale wracając do tego, co lubię. Niepowtarzalna, urzekająca jest amerykańska przestrzeń i przyroda. Uwielbiam sięść za kierownicą i jechać przez prerie albo pustynie. Nie ma nic wspanialszego, jak wyruszyć do jakiegoś zapomnianego przez świat miasteczka, gdzie można zatrzymać się na wspaniale niezdrowe śniadanie. Bezcenne są rozmowy z potomkami kowbojów, którzy narzekają, że sprawy znowu idą w złą stronę i trzeba wreszcie przegonić bankierów i przejąć kontrolę nad Ameryką.

Prawdziwie cenię amerykański patriotyzm. Te flagi przed domami, ręka na sercu podczas śpiewania hymnu, hymn na otwarcie każdej imprezy masowej i modlitwy za „naszych chłopców i nasze dziewczyny na froncie” – to może wydawać się sztuczne, na pokaz i nieprawdziwe. To tylko pozory. Amerykanie są naprawdę dumni ze swojego kraju, z żołnierzy i „amerykańskiego sposobu życia”. To ostatnie sformułowanie pojawia się tu niezwykle często, jego definicji nie sposób się nauczyć, trzeba ją wyczuć i zrozumieć.

Stany Zjednoczone nie są krajem idealnym. Mit o tym, że dolary leżą na ulicy i trzeba się tylko schylić, żeby je podnieść, odszedł w siną dal do przeszłości. Ludzie pracują tu niezwykle ciężko, żeby związać koniec z końcem, a mimo tych kłopotów i przeciwności losu jest tu fajnie. Warto spróbować, choć początki są bardzo, bardzo trudne.